

Wyspa z dala od świata. Przeróżający psychologiczny eksperyment.
Siedmioro kandydatów do tajnej pracy, a wśród nich morderca.
Zdecydujesz się wejść do gry?

ÅSA AVDIC



EKSPERYMENT

ISOLA



PRODUKTYWNA
FIRMA POLSKA

ÅSA AVDIC

EKSPERYMENT

ISOLA

Z języka szwedzkiego przełożył
Wojciech Łygaś



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

virtualo

Tytuł oryginału: ISOLA
Copyright © Åsa Avdic 2016

Published by agreement with Ahlander Agency Copyright © 2018 for the
Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright © 2017 for the
Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga Projekt graficzny okładki:

Mariusz Banachowicz Zdjęcie na okładce: © Sara Mac Kay

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Hanna Antos, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8110-451-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

konwersja.virtualo.pl

Spojrzałem na niego. O tak wiele chciałem go zapytać, wiele powiedzieć, jakoś jednak wiedziałem, że nie ma czasu, a nawet gdyby był, to wszystko nie ma właściwie nic do rzeczy.

– Jesteś tutaj szczęśliwy? – odezwałem się w końcu.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Nieszczególnie – odpowiedział. – Ale ty też nie jesteś u siebie bardzo szczęśliwy.

Tajemna historia, Donna Tartt

– *To dwuosobowe oszustwo – oznajmił Cię – a nie wojna, prawda?*

Amerykańscy bogowie, Neil Gaiman

PSUV Protektorat Szwecji w Ramach Unii Przyjaźni Zob. także Szwecja, Svea Rike

Protektorat Szwecji w Ramach Unii Przyjaźni, zwany potocznie Protektoratem Szwecji, jest krajem członkowskim Unii Przyjaźni. Jego niezależność jest sporna. Uznaje go sto siedem spośród stu dziewięćdziesięciu trzech państw członkowskich Organizacji Narodów Zjednoczonych, w tym USA, ale nie jest uznawany przez inne protektoraty Unii Przyjaźni.

Pierwszy krok w kierunku członkostwa w Unii Szwecja zrobiła po upadku muru w 1989 roku i rozruchach społecznych, do których doszło w efekcie tego zdarzenia. Od 1992 roku Szwecja i Finlandia funkcjonują w warunkach stanu wyjątkowego i wspólnego sojuszu obronnego. Później dołączyła do nich także Norwegia. Siedemnastego lutego 1995 roku Parlament Protektoratu Szwecji ogłosił się pełnoprawnym członkiem Unii Przyjaźni. Zachodni Blok nie akceptuje tej deklaracji i wiele spośród krajów członkowskich ONZ nadal uznaje PS za państwo samodzielne. Protektorat Szwecji sprawuje *de facto* i *de iure* kontrolę nad terytorium całego kraju, choć jednocześnie podlega wspólnemu ustawodawstwu Unii Przyjaźni, któremu podporządkowane są lokalne ustawodawstwa.

Zdaniem Międzynarodowego Trybunału w Hadze wejście w skład Unii Przyjaźni nie stoi w sprzeczności z prawem międzynarodowym.

Protektorat Szwecji przestał być członkiem ONZ, a struktury ówczesnej Unii Europejskiej opuścił przed jej rozpadem.

Protektorat Szwecji graniczy od wschodu z Protektoratem Finlandii (państwem członkowskim Unii Przyjaźni), od zachodu z Protektoratem Norwegii, od południowego zachodu z Danią. Granica z tym ostatnim państwem pozostaje zamknięta od 1992 roku.

Stolicą Protektoratu Szwecji jest Sztokholm.

Międzynarodowa Encyklopedia, 2016

SZTOKHOLM

PROTEKTORAT SZWECJI

MAJ 2037 ROKU

Wyjaśnienie tej sprawy powierzono dwojgu śledczych, kobiecie i mężczyźnie. Ustalili, że to on rozpocznie przesłuchanie, a ona będzie się tylko przysłuchiwać. Potem to ona miała przejąć jego rolę. Podobną taktykę stosowali w przeszłości wiele razy i zazwyczaj się sprawdzała. Uważali, że dobrze jest mieć na podorędziu jakiś element zaskoczenia. Większość przesłuchiwanym osób postrzegala tę metodę w tradycyjny sposób, a mianowicie taki, że to on jest głównym, kompetentnym śledczym, a ona mu tylko pomaga i występuje w roli podwładnej, na przykład asystentki albo sekretarki. Prawda była całkiem inna, bo w rzeczywistości to właśnie jej powinni się bardziej obawiać. Tworzyli zgrany zespół. W miarę upływu lat nauczyli się posługiwać tą metodą w sposób bezbłędny. Jedno z nich odgrywało rolę oficjalnego, groźnego twardziela, drugie udawało „dobrego policjanta”. Czasem, już w trakcie przesłuchania, zamieniali się nagle rolami, aby wytrącić przesłuchiwanym z równowagi. Na końcu to prawie zawsze ona ich łamała.

Na myśl o tym, jak dobra jest w tym, co robi, kobieta uśmiechnęła się z satysfakcją. Przed wejściem numer 302 zauważyła wolne miejsce parkingowe. Gwałtownie skręciła, lekko otarła stojący obok wóz i ustawiła się nieco po skosie. Wycofała i ponownie wjechała w to samo miejsce, ale tym razem zrobiła to w sposób perfekcyjny, parkując na samym środku kratki. Wzięła torebkę i szybko skierowała się do windy. Zanim do niej weszła, wyjęła legitymację służbową i podsunęła ją pod kamerę, aby potwierdzić swoją tożsamość. Denerwowało ją, że chociaż jest osobą zaufaną, musi się poddawać takiej kontroli. Wiedziała jednak, że podobne zasady obowiązują wszystkich. Nawet Przewodniczący musi się stosować do przepisów i okazywać legitymację, aby udowodnić, że to rzeczywiście on.

Tak jej to przynajmniej wyjaśnił. Dla niej liczyło się głównie to, aby pokazać, że należy do zespołu, chociaż w rzeczywistości nawet nie wiedziała, kto oprócz niej wchodzi w jego skład. Najważniejsze było to, że znała swojego partnera służbowego, który też był w zespole, i ufała Przewodniczącemu. To wprawdzie nie to samo, co znać go osobiście, ale niczego więcej nie oczekiwała. Musi jej to wystarczyć. W końcu drzwi windy się otworzyły, a gdy do niej weszła, zamknęły się, wydając dźwięk przypominający ssanie. Winda ruszyła, a ona odniosła wrażenie, jakby znalazła się w stanie nieważkości. Prawie w ogóle nie czuła, że jedzie w górę.

Winda zatrzymała się na jednym z wyższych pięter. Z okna rozpościerał się rozległy widok na całe miasto, na horyzoncie majaczyły zarysy portu, daleko za nim widać było szkiery i morze. Na myśl o tym, że horyzont to tylko złudzenie i niedoskonałość oka, ogarnęły ją mieszane uczucia. Czuła się bezpiecznie, choć niezbyt przyjemnie. Pomyślała, jak wiele rzeczy dzieje się w tym momencie poza budynkiem. Wcześniej czy później i tak wszystko wyjdzie na jaw, jak na przykład zawartość teczeki, którą trzymała w ręce.

Myślała o tym zjawisku jak o wyrzuconych na brzeg morza szczątkach, które osiadają na plaży i gniją. Jej praca polega na sprzątaniu takich rzeczy.

Zajmuje się tym razem ze swoim partnerem. Robili to już wiele razy, a mimo to na myśl o tym, co ich czeka, dostała skurczów żołądka.

Kiedy weszła do szatni, jej partner już tam był. Właśnie zapinał ostatnie guziki przy mundurze.

– Widzę, że założyłaś dzisiaj sportowe buty – powiedział z krzywym uśmiechem.

Nie bacząc na jego złośliwe słowa, kobieta zdjęła czarne czółenka z czerwonymi podeszwami i wstawiła je do szafki. Dostała je w prezencie od siostry, która mieszka za granicą. Sporo kosztowały. Może to śmieszne, ale ubzdurała sobie, że czerwony kolor przynosi jej szczęście. Wprawdzie nie jest przesadna, ale od pewnego czasu za każdym razem, gdy robi jakąś ważną rzecz, zakłada coś czerwonego. Postępuje w ten sposób od tak wielu lat, że nie ma odwagi zrezygnować z tego zwyczaju. W taki dzień jak dzisiaj stara się nie wyzywać losu. Woli nie ryzykować. Tyle że jak dotąd żaden dzień nie nadawał się do tego, aby w końcu zerwać z tą tradycją.

– Dobrze, że ich przesłuchamy – powiedział mężczyzna. – Będziemy musieli się sprężyć, chociaż najważniejsza osoba nie przyjdzie.

Spojrzała na niego z niepokojem i poczuła, jak jej żołądek jeszcze bardziej się kurczy.

– A co z Anną Francis? Nadal jest... niedysponowana? Sam nie wiem, jak to nazwać. Zresztą nieważne, bo wygląda na to, że i tak będziemy musieli się nią zająć. Poczekam na korytarzu.

Mężczyzna stuknął obcasami, jak gdyby chciał jej oddać honory, i wyszedł z szatni. Na takie gesty pozwalał sobie tylko wtedy, gdy byli sami. Kobieta rozebrała się i wyjęła z szafki mundur. Właściwie to głupie, że przed wyjściem z domu zakłada importowane markowe ciuchy i buty, jedzie samochodem do pracy i znowu się przebiera – tym razem w służbowe ubranie. Ale cóż, takie zachowanie daje jej poczucie, że jest człowiekiem.

Nie jest to oczywiście właściwe nastawienie, ale zajmując takie stanowisko, może sobie na to pozwolić – pod warunkiem, że nie będzie się nad tym zbyt szeroko rozwodzić. Tak przynajmniej uważała. Nikt jej nigdy nie krytykował za ubiór, a i ona nikogo o nic nie pytała. Kiedy zakłada granatowy mundur, staje się trybikiem maszyny, której początku i końca nigdy nie widziała.

Mimo to dokładnie wie, jak taki organizm funkcjonuje. No, może prawie dokładnie. Jest jednak pewna, że dzieje się tak dzięki niej i jej pozostałym kolegom z pracy. Są jak program antywirusowy w komputerze. Wykonują naprawy i wymieniają to, co przestało działać. Zapięła ostatnie guziki, podeszła do lustra i na swój widok skrzywiła się z niezadowoleniem. Jej najmłodszy syn nadal wchodzi nocą do jej łóżka i ciągle się wierci, a ona czuje się wtedy tak, jakby przez całą noc leżała obok kurczaka grillowanego na obracającym się rożnie. Ostatniej nocy, tak jak wiele razy wcześniej, skończyło się na tym, że o świcie położyła się w łóżeczku dziecięcym, z którego wystawały jej stopy i łydki. Przespała niespokojnie najwyżej godzinę, bo zaraz potem zadzwonił budzik i musiała wstać. Przesunęła

dłońmi po twarzy, jakby chciała się pozbyć zmęczenia, wyjęła gumową tasiemkę i zręcznym ruchem związała w koński ogon ciemnobrązowe włosy.

Odkręciła kran, zwilżyła dłonie i przyglądała kilka niesfornych kosmyków, które nie chciały się równo ułożyć na głowie. Wiosna przyszła w tym roku wyjątkowo późno, słońce na niebie widziała ostatni raz przed wieloma tygodniami. Przypomniła sobie, że na lato zaplanowała trzytygodniowy urlop. Ciekawe, czy zdążą wyjechać do firmowego domku, czy jagody będą dojrzałe i czy tym razem się na nie załapie. Na razie nie ma się co podniecać, że idzie lato. Urlop to też nic pewnego. W zeszłym roku trwał zaledwie cztery dni, bo pojawiły się „nagłe problemy wewnętrzne”, które trzeba było rozwiązać. No cóż, zdarza się. Taką wybrała sobie pracę. Wzięła do ręki teczkę i wyszła z szatni na korytarz, gdzie czekał na nią jej partner. Razem poszli korytarzem w kierunku zakratowanych drzwi. Przeszli rutynową kontrolę, ale gdy strażnik chciał otworzyć jej teczkę, położyła dłoń na zamku.

– Nie wolno jej otwierać – powiedziała. – Sprawdź na liście.

Strażnik wszedł do dyżurki i wziął do ręki czarną krótkofalówkę. Kobieta obserwowała przez dźwiękoszczelną szybę ruchy jego warg. Mężczyzna dowiedział się widocznie tego, o co pytał, bo wyszedł i skinął jej głową.

– Możecie iść – powiedział.

Drzwi rozsunęły się przed nimi, a gdy przez nie przeszli, od razu się zamknęły. Po kilku sekundach kolor lampy sufitowej zmienił się z czerwonego na zielony i otworzyły się przed nimi kolejne drzwi.

Nienawidziła całej tej procedury, tych kilku chwil, gdy musi tu tkwić jak w śluzie. Czuje się wtedy jak więzień, jak gdyby niczym nie różniła się od tych, którzy są tu pod kluczem.

Wewnętrzny korytarz był słabo oświetlony, bo jarzeniówki pod sufitem zamontowano w zbyt dużej odległości od siebie. Ludzie chodzili więc w blasku bladego światła bijącego z góry i wyglądali jak trupy. Przytłumione dźwięki, niemal niesłyszalne kroki. Kobieta szła wpatrzona w plecy idącego przed nią mężczyzny. Po pewnym czasie stanęli przed otworem w ścianie.

Mężczyzna zapukał, a gdy okienko się otworzyło i ukazała się w nim twarz starszego strażnika, wsunął do środka jakiś dokument. Po chwili strażnik wyszedł do nich z pękiem kluczy i bez słowa ruszył przed siebie korytarzem.

Oboje poszli za nim. Po kilkunastu metrach strażnik wsunął klucz do zamka i otworzył ciężkie stalowe drzwi po prawej stronie, prowadzące do następnego korytarza. Było w nim jeszcze ciemniej niż w poprzednim. Po lewej stronie były okna, za którymi znajdowali się ludzie. Siedzieli w pomieszczeniach przypominających małe poczekalnie w kształcie sześcianu. Jedni coś czytali, inni wpatrywali się niespokojnym wzrokiem w szyby. Kobieta wiedziała, że nie mogą widzieć tego, co jest poza pomieszczeniami, za to sami są w pełni widoczni. W pewnej chwili strażnik się zatrzymał. Byli na miejscu. Strażnik przekręcił klucz w zamku i wpuścił ich do skromnie

umeblowanego pokoju. Po obu stronach stały dwa krzesła i stolik, a na nim karafka z wodą, kilka plastikowych kubków i duży magnetofon.

– Daj nam kilka minut, potem możesz przyprowadzić pierwszą osobę – powiedział mężczyzna do strażnika. Ten skinął głową i zamknął za sobą drzwi. Kobieta postawiła teczkę na stole i wyjęła z niej dużą aktówkę ze zdjęciami, mapami i plikiem innych papierów. Na przedniej stronie widniała duża czerwona pieczęć ze słowem „TAJNE”. Pod spodem znajdował się napis:

SOR 234:397, Klass 3.

Raport w sprawie wydarzeń na Isoli.

Kobieta spojrzała na swojego partnera, który ze zmarszczonym czołem przeglądał papiery. Zauważyła, że wygląda na przestraszonego, co było do niego zupełnie niepodobne. Wiele razy widziała go poirytowanego, zmęczonego, znudzonego, sfrustrowanego, rozczarowanego, ale nigdy przestraszonego. Zastanawiała się, ile wie o sprawie, czy wie więcej od niej, a jeśli tak, to co. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Mężczyzna zauważył, że mu się przygląda, i się uspokoił. Zamknął teczkę i z lekkim trzaskiem rzucił ją na stolik.

– Mam nadzieję, że czerwony kolor znowu przyniesie ci szczęście. Dzisiaj naprawdę będzie nam potrzebne – powiedział na wpół do niej, na wpół do siebie, siadając na krześle.

– To znaczy, że Anny Francis nie będzie? Jesteś tego pewien? – Czują, że musi o to zapytać.

Mężczyzna popatrzył na nią.

– Nie, nie jestem, ale tak mi powiedzieli. A może wiesz coś więcej?

Kobieta pokręciła głową. Wiedziała jednak, że coś się w tym wszystkim nie zgadza. Za długo pracuje w tym fachu. Chciała coś dodać, ale się rozmyśliła. Wzięła aktówkę, wsunęła ją do teczki i postawiła na podłodze.

Chciała spytać swojego partnera, czy wie, co się dzieje z Francis, gdzie przebywa i jak się czuje, ale w tym samym momencie otworzyły się drzwi.

POCZĄTEK

Anna

To ciekawe, że prawdziwą naturę innego człowieka poznajemy czasem przez przypadek. Mam na myśli sytuację, kiedy osobę, która na przykład siedzi po drugiej stronie pokoju, zaczynamy nagle postrzegać w taki sposób, jakbyśmy ujrzeli ją po raz pierwszy w pełnym świetle, jakbyśmy dopiero od tej chwili dostrzegli w niej konkretnego człowieka – człowieka w ogóle. Kiedy po raz pierwszy popatrzyłam tak na Henry’ego Falla, pracowaliśmy razem w tym samym wydziale już od pewnego czasu. Najdziwniejsze było to, że zaczęłam postrzegać Henry’ego inaczej przez pewien prosty gest.

Naszym szefem był młody człowiek o wielkich ambicjach. Powiadano o nim, że jest właściwą osobą na właściwym stanowisku, potrafiącą „zdynamizować naszą działalność”. Pewnego dnia zaprosił do siebie do domu cały nasz wydział. Czuliśmy się tam trochę obco i niezręcznie.

Przyszliśmy w cywilnych ubraniach, panie nałożyły trochę bardziej odważny makijaż, napoje piliśmy w cienkich szklankach zamiast w zwykłych starych kubkach do kawy. Wiele osób założyło na tę okazję zupełnie nowe ubrania.

Spod kołnierza bluzki, w której przyszła sekretarka z naszego wydziału – starsza kobieta z fryzurą przypominającą hełm – wystawała metka. Paragon włożyła pewnie do portfela z nadzieją, że następnego dnia zwróci bluzkę do sklepu i dostanie z powrotem swoje kupony. Oczami wyobraźni ujrzałam, jak stoi przed kasą z bluzką w reklamówce, krytykuje jej jakość, rozmiar i krój i wykłóca się o zwrot kuponów. Ekspedientka ma ostry makijaż na zmęczonej twarzy. Tak, naszej sekretarce pewnie się ten numer uda.

Tuż przed kolacją, którą przygotowano w przestronnym salonie z widokiem na zatokę, z chromowanego wózka zastawionego butelkami serwowano wino musujące marki Rotkäppchen. Ogarnęła mnie złość, że takiego smarkacza jak nasz szef stać na tak eleganckie mieszkanie w jednym z nowych wysokościovców na Lidingö, z widokiem na Karlsudd i bazę wojskową na wyspie Tynningö. Denerwował mnie wózek z alkoholem i wódka importowana z zachodniej Europy. Wszystko to mogło oznaczać, że nasz szef ma wpływową rodzinę (co by wyjaśniało, jakim sposobem dostał taką pracę). Henry trzymał się jak zwykle na uboczu. Nagle ujrzałam, jak bez żadnych ceregieli bierze butelkę drogiego koniaku, nalewa sobie do kieliszka, opróżnia go i odstawia bezdźwięcznie na wózek z alkoholem takim gestem, jakby to, co przed chwilą zrobił, w ogóle się nie wydarzyło. Nie było to zbyt wyszukane i gdyby chodziło o kogoś innego, takie zachowanie mogłoby nawet wzbudzić niepokój, sugerując alkoholizm, zszargane nerwy, osłabienie albo złe wychowanie. W przypadku kogoś tak opanowanego jak Henry chodziło o coś zupełnie innego: był po prostu głodny. Kiedy zobaczyłam, jak kilkoma łykami opróżnia kieliszek, po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że być może nie jest tym, za kogo go brałam, i może być dla mnie groźny.

Kiedy zaczęłam mu się przyglądać uważniej, zauważyłam kilka innych

rzeczy. Przypominało to trochę zbieranie grzybów w lesie: najpierw nie widziałam nic, potem zobaczyłam coś, a na końcu ogarnęłam wszystko.

Zwróciłam na przykład uwagę na jego śmiech. Okazało się, że Henry umie się śmiać! Nie było w tym nic dziwnego, ale przecież większość ludzi się nie śmieje. Ściągają usta, kaszlą, chichoczą, ale tak naprawdę wcale się nie śmieją. Tymczasem Henry śmiał się na cały głos, niepowstrzymanym śmiechem, który zupełnie nie pasował do jego stonowanego stylu bycia. Im dłużej razem pracowaliśmy, tym częściej starałam się sprowokować go do śmiechu. Robiłam to tylko po to, żeby zobaczyć, jak pochyla się nad biurkiem, ociera łzy z twarzy albo obnaża równe białe zęby. One też zwróciły moją uwagę – były po prostu ładne.

Henry był dość przeciętnym facetem. Swoje obowiązki wykonywał rzetelnie i nie pozwalał sobie na żadne ekstrawagancje. Nie ryzykował. Kiedy przez tydzień pełnił dyżur w kuchni, wszystko w niej łśniło. Nie był zamknięty w sobie, ale nie był też zbyt otwarty. Jeśli ktoś go nie pytał wprost, nie opowiadał o sobie. Jeśli jednak ktoś to zrobił, odpowiadał krótko i grzecznie. Opowiadał nam, co robił w weekend, co sądzi o filmie, który ostatnio oglądał, i dokąd pojedzie na urlop. Nigdy nie zdradzał więcej, podawał nam tylko tyle szczegółów, żeby odpowiedzieć na zadane mu pytanie. Często kontynuował rozmowę z osobą, która go zagadnęła, ale nie dlatego, że był nią jakoś szczególnie zainteresowany, tylko z grzeczności albo – jak po pewnym czasie zaczęłam podejrzewać – żeby nie mówić o sobie. Kiedy nasi koledzy zapraszali nas na urodziny, na grilla albo na piwo po pracy, Henry prawie zawsze odmawiał. Robił to grzecznie i za każdym razem miał uzasadnione powody: jego ciotka obchodzi urodziny, ma zarezerwowany termin w pralni, musi wyjechać, więc niestety... Chętnie wpadnie, ale następnym razem. Henry nikomu nie wadził i jemu też się nikt nie naprzykrzał. Wszyscy uważali, że Henry Fall to porządny człowiek, ale gdy nie było go w pracy, nikt nie zauważał jego nieobecności. Kiedy zaczęłam go obserwować, zwróciłam uwagę, że ten grzeczny dystans i zrećznie wystudiowana bezpretensjonalność nie są przypadkowe.

Przeciwnie, Henry robił to świadomie, bo tak mu było najwygodniej.

Jego zewnętrzny wygląd też niewiele o nim mówił. Henry przypominał chłopca z małego miasta, który dorastał na trawniku za białym płotem.

Uprawiał jakąś drużynową dyscyplinę sportu, zbierał naklejki i jeździł na obozy harcerskie. Był trochę więcej niż średniego wzrostu i miał kanciaste ramiona, jak ktoś, kto w młodości trenował. Nie był ani za gruby, ani za szczupły. Do ludzi odnosił się grzecznie. Włosy miał brązowe, do fryzjera chodził rzadko, ale policzki miał zawsze gładko wygolone. Jego blady nos pokrywały piegi, choć trudno byłoby określić, czy latem opala się na brązowo czy na różowo. Zimą zakładał czapkę i rękawiczki. Czasem przychodził do pracy w pstrokatych skarpetkach we wzorki. Wyobrażałam sobie, że ma w domu krawat ze Świętym Mikołajem, ale nigdy go w czymś takim nie widziałam. Henry mówił opanowanym, lekko zrzędlwym głosem.

Był jak sąsiad, kumpel z dzieciństwa, ktoś, kogo kiedyś spotkaliśmy,

choć trudno nam stwierdzić, gdzie i kiedy. Rozpływał się po prostu w masie innych ludzi. Gdybym wtedy nie zauważyła, jak sięga po koniak, prawdopodobnie nigdy nie zwróciłabym na niego uwagi.

Zacząłam więc gromadzić o nim informacje, składając je w całość z niewielu znanych mi faktów. Henry nigdy nie mówił, że ma dzieci, żonę albo dziewczynę. Doszłam więc do wniosku, że jest singlem. Pewnego wieczoru zobaczyłam go na peronie dworca w towarzystwie kobiety, która nie pracowała w naszym wydziale. Była ładna, elegancka i przypominała kobiety z dawnych klas wyższych. Miała czekoladowobrązowe obcięte na pazia włosy, ubrana była w płaszcz z futrzanym kołnierzem. Kiedy się śmiała, kładła rękę na jego ramieniu. Pomyślałam, że pewnie są parą albo przynajmniej ze sobą sypiają. Próbowałam sobie wyobrazić, jak na pozwijanym prześcieradle uprawiają namiętnie seks, ale przychodziło mi to z trudem. Na myśl o tym, że ktoś tak opanowany jak Henry mógłby się zachowywać w taki sposób, zrobiło mi się wstyd. Mimo to nie dawało mi to spokoju. Zauważyłam, że w pracy często gapię się na jego dłonie, a gdy zostawałam sama, snułam fantazje, że mnie nimi dotyka, choć trudno mi było sobie wyobrazić, że do czegoś takiego mogłoby faktycznie dojść. Zazwyczaj kończyło się na tym, że czułam się jak idiotka i wcale nie byłam podniecona.

Wiedziałam, że nie powinnam się tak zachowywać, a mimo to nie przestawałam o nim myśleć.

Jakiś czas po historii z koniakiem przydzielono nam pewne zadanie. Nic szczególnego, zwykłe zlecenie, które trzeba było po prostu wykonać.

Tymczasem zdarzyło się coś, co oboje nas zaskoczyło: w trakcie pracy okazało się, że tworzymy zgrany duet. Czynności, które na co dzień wydawały nam się szare i nudne, nagle stały się interesujące. Mijały tygodnie, a my coraz częściej zostawaliśmy w biurze sami, pogrążeni w dyskusjach o szczegółach, które interesowały tylko nas i nikogo innego.

Zrodziło się między nami pewne intuicyjne porozumienie, dzięki czemu wspólne przebywanie zaczęło nam sprawiać przyjemność. Złapałam się na tym, że nie mogłam się doczekać, gdy wszyscy pójdą do domu, a my zostaniemy na cały wieczór sami, gdy w całym budynku – z wyjątkiem naszej małej, rozświetlonej blaskiem jarzeniówek wyspy – zgasną światła, a my zasiądziemy nad kubkami kawy, stosem papierów i owiniętymi w celofan kanapkami z ogórkiem kiszonym, które kupimy w automacie na korytarzu. W takich chwilach Henry jakby wypełzał ze swojej skorupy i stawał się bardziej ludzki. Zawijał rękawy koszuli powyżej łokci i co jakiś czas, chyba całkiem nieświadomie, przeciągał dłonią po włosach.

Dzięki intensywnej pracy nasz wydział został nominowany do nagrody za najlepsze wyniki. Wprawdzie ostatecznie trafiła ona do kolegów z innego wydziału, ale wcale mnie to nie zmartwiło. Dla mnie największym i nieoczekiwanym odkryciem okazał się Henry. Kiedy następnego dnia spotkałam go przy automacie z kawą, zauważyłam, że nie był zadowolony z

rozstrzygnięcia konkursu. Wspomniałam o nagrodzie, a on spojrział na mnie zaciętym wzrokiem i syknął coś w odpowiedzi. Domyśliłam się, że chociaż Henry był człowiekiem opanowanym i grzecznym, w tym momencie kipiał złością i mimo bezpretensjonalnego sposobu bycia nie lubił przegrywać.

Kilka dni później nasz młody szef zaprosił nas na kolację. Tym razem chciał nam zasygnalizować, że chociaż nie wygraliśmy konkursu, docenia nasz wysiłek. „Dla mnie, jako waszego przełożonego, wszyscy jesteście zwycięzcami”, napisał w cotygodniowym newsletterze, już po wysłaniu nam zaproszeń. Podejrzywałam, że zaczerpnął to zdanie z jakiegoś podręcznika dla menedżerów.

Kolacja odbyła się w jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji.

Słysnęła ona z importowanych świeżych ananasów i z tego, że prawie nigdy nie miała problemów z prądem. Niestety, jedzenie było suche i drogie, a kelnerzy niegrzeczni. Siedziałam obok Henry'ego i czułam się trochę niezręcznie: wszyscy patrzyli na nas takim wzrokiem, jakbyśmy samą swoją obecnością w tym miejscu i wznoszeniem toastu za projekt, który nie dostał żadnej nagrody, zdradzali swoje prywatne tajemnice. Byłam tak pochłonięta myślami, że nie zauważyłam, iż sztywni kelnerzy coraz częściej dolewają mi alkoholu do kieliszka. Kiedy byliśmy mniej więcej w połowie kolacji, poczułam, że jestem pijana. Na moje nieskładne i bardzo osobiste pytania Henry odpowiadał grzecznie, acz z pewnym dystansem. Posługiwał się zupełnie innym tonem niż wtedy, gdy zostawialiśmy wieczorem w biurze.

Zachowywał się tak, jak gdyby w grzeczny sposób chciał mi dać do zrozumienia, żebym się odczepiła, i zamiast zajmować się mną, przez większą część wieczoru rozmawiał z jednym z naszych kolegów z biura o wadach i zaletach składowania kompostu na działce. Do domu wracałam taksówką, czułam, jak ogarnia mnie lęk. Zaczęło do mnie docierać, że się wygłupiłam, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć, w jaki sposób. Za oknem taksówki pojawiali się pojedynczy ludzie, którzy wracali na noc do domu albo kierowali się w stronę alei Zaprzyjaźnionych Narodów. Na dworze padał śnieg. Taksówkarzowi dałam zbyt szczodry napiwek, weszłam do mieszkania, zdjęłam buty, poszłam do salonu, rozebrałam się i rzuciłam na niepościelone łóżko. W pewnej chwili poczułam, że robi mi się niedobrze, a moje łóżko pędzi w błyskawicznym tempie przez niewidzialny tunel.

Przewróciłam się na plecy i próbowałam się skoncentrować na jakimś punkcie na suficie. W końcu zasnęłam, chociaż nie zauważyłam kiedy. Śnił mi się Henry. Znajdowaliśmy się w dużym białym pokoju, leżeliśmy w łóżku w samej bieliźnie. W ślepych oknie poruszały się firanki. Chcieliśmy się całować, ale za każdym razem coś nam w tym przeszkadzało. Czas jakby się kurczył i rozciągał. W sąsiednim pokoju trwała impreza. Ludzie przez cały czas tam wchodzili i czegoś szukali. W pewnym momencie Henry też wyszedł z naszego pokoju i zaczął czegoś szukać. Po chwili wrócił, ale znowu wstał z łóżka. „Może w końcu mnie pocałuje” – pomyślałam we śnie.

Zadzwoił budzik, a ja nie wiedziałam, gdzie jestem. Kiedy w końcu

zrozumiałam, że leżę we własnym łóżku, miałam ochotę wedrzeć się z powrotem do mojego snu.

Poranne czynności wykonywałam jak we mgle. Wzięłam prysznic, umyłam zęby i ubrałam się, nie zwracając uwagi na to, co zakładałam. Każda komórka mojego ciała krzyczała, że chce się od niego oderwać. Jadąc kolejką do pracy, siedziałam skurczona, jakby przed chwilą ktoś walnął mnie w brzuch. Miałam kaca i ogarnął mnie „chemiczny lęk”. Nie byłam pewna, co wygadywałam podczas wieczornej imprezy. Obserwowałam szare przedmięcia i ze wszystkich sił próbowałam sobie przypomnieć każde wypowiedziane słowo i każdy wykonany gest. W pewnej chwili stało się dla mnie jasne, że chyba zakochałam się w Henrym.

Kilka tygodni później nasz szef wezwał mnie niespodziewanie do swojego gabinetu i poprosił, abym skompletowała *dream team*. Tak się właśnie wyraził. Mieliśmy oszacować koszty i przeprowadzić analizę pewnej operacji na wypadek, gdyby zlecono nam realizację misji humanitarnej w Protektoracie Kyzyl-kum położonym między Turkmenistanem a Uzbekistanem. Tereny te oddano pod nadzór Unii Przyjaźni na początku XXI wieku, zaraz po zakończeniu drugiej zimnej wojny. Im bardziej nasz szef zagłębiał się w istotę misji, tym sceptyczniej oceniałam szanse jej realizacji. Projekt pomocowy już po pobieżnym zapoznaniu się z niektórymi jego założeniami wydał mi się niewykonalny. Za równie trudne uznałam przygotowanie rzetelnej kalkulacji, uwzględniającej takie składniki, jak wydajność pracy, koszty materiałowe i osobowe wyłącznie na podstawie luźnych przesłanek i sztywnych ram finansowych, które udostępniono nam w celu opracowania kosztorysu. Wsłuchując się w słowa szefa, czułam, jak drżą mi kolana, chociaż było to bardziej wrażenie niż rzeczywiste drżenie.

W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że zamierzamy zrobić coś, co naprawdę będzie miało jakieś znaczenie. Coś dobrego. Projekt oznaczał niewolniczą harówkę przy biurku, konieczność sporządzenia szczegółowych wyliczeń i koordynacji między wydziałami wielu różnych urzędów, które słynęły ze złej organizacji pracy. Tymczasem czasu na przygotowania pozostało nam naprawdę niewiele. Krótko mówiąc, projekt był niewykonalny. Czułam jednak, że mimo tylu biurokratycznych barier i komplikacji tli się iskierka nadziei, że nam się uda. Zadeklarowałam więc gotowość podjęcia się tego zlecenia i z satysfakcją przyglądałam się zdumionej twarzy szefa, który chyba nie mógł uwierzyć, że jednak zgodziłam się przyjąć to wyzwanie. Upewniałam się tylko, czy faktycznie będzie mi wolno dobrać sobie współpracowników według własnego uznania.

– Pod warunkiem, że sami się zgodzą – zastrzegł szef, po czym podał mi rękę i znowu spojrzął na mnie zdumionym wzrokiem. Widać było, że moja decyzja go zaskoczyła. Być może spodziewał się, że będę go podejrzewała, iż pod pretekstem tego zlecenia chce mi dać kopa w dół i nawet się z tym nie kryje. A może czekał na trudne pytania, objawy niechęci albo oporu z mojej strony?

Zaraz po spotkaniu wróciłam do biura, żeby poszukać Henry’ego. Po

ostatnim projekcie kilka razy poszliśmy razem na lunch. Potem coś się zmieniło i zaczęłam się czuć tak, jak gdyby nasza skryta nić nagle pękła.

Przestaliśmy wspólnie pracować wieczorami i dlatego ucieszyłam się, że będę miała pretekst, aby odbudować to, co nas niedawno łączyło.

Henry'ego spotkałam na korytarzu. Kiedy zaciągnęłam go do stołówki i opowiedziałam o nowym projekcie, zauważyłam, że oczy mu rozbłysły.

Okazało się, że w wojsku nauczył się sporządzać ten rodzaj kalkulacji, który będzie nam potrzebny do wyliczenia kosztów. Od razu wiedziałam, że pozyskanie go do mojego zespołu to strzał w dziesiątkę. Dość długo rozmawialiśmy, od czego zacząć, które osoby z naszego wydziału powinniśmy zaangażować i w jaki sposób przygotować cały projekt pod względem logistycznym i czasowym. W pewnym momencie poczułam się tak, jakbyśmy wrócili do naszej poprzedniej „bańki”. Kiedy rozmowa dobiegła końca i rozeszliśmy się do domów, doznałam ulgi. Po raz pierwszy poczułam, że bez względu na to, co nas czeka, między mną a Henrym istnieje pewna więź i oboje o tym wiemy.

Kiedy następnego dnia przyszedłam do pracy, w skrzynce czekał na mnie e-mail od Henry'ego. Wysłał go do mnie poprzedniego wieczora. Napisał w nim, że mimo wszystko nie będzie mógł wziąć udziału w moim projekcie, ponieważ doszedł do wniosku, że ma niewystarczające kwalifikacje: „... i dlatego muszę się niestety wycofać. Mam nadzieję, że nie sprawię Ci tym zbyt wielu kłopotów. Pozdrawiam”. List napisano formalnym językiem, jak gdyby jego autorem była obca mi osoba, która grzecznie, acz stanowczo odmawia prenumeraty jakiejś gazety. Godzinę później sekretarka poinformowała mnie, że Henry ma gripę i został w domu. Następnego dnia Henry zjawił się w biurze, jakby nic się nie stało, ale nawet słowem nie wspomniał o projekcie ani o swoim dziwnym e-mailu napisanym sucho brzmiącym tonem. Wobec mnie nadal zachowywał się grzecznie i poprawnie.

Miesiąc później przestał pracować w naszym wydziale i przeszedł do Budynku F. Został tam szefem Wydziału do spraw Oceny Programów Rehabilitacyjnych. Ostatniego dnia pożegnaliśmy się jak dwie obce sobie osoby, choć umówiliśmy się niezobowiązująco, że wybierzemy się kiedyś razem na lunch. Oczywiście, nic z tego nie wyszło, bo Henry już się do mnie więcej nie odezwał. Co jakiś czas widywałam go na peronie kolejki, ale ani razu do niego nie podeszłam i z nim nie rozmawiałam.

Do kolejnej naszej rozmowy doszło po długiej przerwie, na Isoli.

Zlecenie, z którego Henry się wycofał, zakończyło się niespodziewanym sukcesem. Dziwnym zrządzeniem losu – chyba tylko dlatego, że chciałam utrzymać nosa szefowi, a przy okazji Henry'emu – zrealizowałam je w wyznaczonym terminie, nie przekroczyłam budżetu i osiągnęłam wyznaczony cel. W nagrodę pojechaliśmy z częścią zespołu do Kżyżł-kum.

Mieliśmy dopilnować, żeby wszystko poszło jak należy, gdy nasz projekt pomocowy zostanie wdrożony. Na początku chodziło tylko o jedną wizytę,

ale potem kilka razy poproszono nas, abyśmy tam jeszcze wrócili. Każdy kolejny pobyt był coraz dłuższy. W końcu doszło do tego, że sama kierowałam projektem, koordynując na miejscu współpracę z akcjami wojskowymi. Kiedy między lokalnymi klanami doszło do eskalacji napięć, a w okolicy wybuchły rozruchy, okazało się, że tylko my jesteśmy na miejscu i tylko my kontynuujemy akcję humanitarną. Wojsko też tam było, ale miejscowa ludność nie bez powodu żywiła wobec żołnierzy pewne obawy.

Ludzie przychodzili więc do nas, a ja z szefowej organizacji humanitarnej stałam się szefową obozu dla uchodźców, który każdego dnia coraz bardziej się rozrastał. Najgorsze było to, że nie miałam zielonego pojęcia, jak się takim obozem zarządza. Nigdy wcześniej nie miałam z czymś takim do czynienia. Brakowało mi kwalifikacji, a tymczasem do obozu przez cały czas napływały tłumy zrozpaczonych ludzi, którzy nie mieli nic oprócz ubrań.

Przez cały czas czekaliśmy na obiecaną pomoc, a gdy w końcu nadeszła, okazało się, że jest tak symboliczna, iż uwłacza to ludzkiej godności.

Brak kwalifikacji i wiedzy starałam się nadrabiać ciężką pracą.

Harowałam, jak nigdy przedtem. Najpierw po całych dniach, potem także nocami. W końcu wszystko zaczęło działać jak należy. Poczulałam się tak, jakbym znalazła ukryte konto, do tej pory nienaruszone i dlatego wciąż z mnóstwem pieniędzy. Robiłam rzeczy, o których dawniej nawet mi się nie śniło, czerpałam z mojego wewnętrznego konta całymi garściami, a konsekwencje takiego zachowania zauważyłam dopiero wtedy, gdy było już za późno. W trakcie pracy nie miałam czasu na choćby chwilę zastanowienia, liczył się tylko wynik. Wszyscy pracowaliśmy tak ciężko, że czasem nie widzieliśmy na oczy z przemęczenia. Pewnego dnia zauważyliśmy, że ludzie zaczęli traktować nas jak bohaterów. Odwiedzali nas dziennikarze, którzy robili nam zdjęcia, zadawali pytania i wracali do domu bezpiecznymi środkami transportu. Co jakiś czas docierały do nas gazety, chociaż na poczcie nie można było polegać. Czytaliśmy w nich o naszych wspaniałych czynach. Takie teksty wydawały się nam czymś nierzeczywistym i wprost niedorzecznym, bo w tym samym czasie staliśmy po kolana w błocie, starając się wytłumaczyć ludziom, dlaczego nie ma co jeść i dlaczego nie umiemy im pomóc wydostać się z tego miejsca. Mimo to pracowaliśmy bez ustanku. Dostawaliśmy nagrody, mówiły o nas media.

Nasz młody szef awansował i przeniósł się do innego wydziału, a ja stawałam się coraz bardziej znana. Za każdym razem, gdy wracałam do kraju, moja popularność stwarzała mi coraz więcej kłopotów. Zapraszano mnie do programów radiowych i telewizyjnych jako eksperta od Kyzył-kum, a potem zaczęto interesować się moim życiem prywatnym. Jeden z największych państwowych portali informacyjnych przyznał mi tytuł Bohatera Unii.

Zapraszano mnie do programów kulinarnych, żebym gotowała razem z celebrytami, znani z koszmarnego smaku dekoratorzy wnętrz proponowali, że na nowo zaprojektują mi salon w domu, politycy chcieli mnie sadzać na honorowym miejscu podczas wielkich gali i konwencji partyjnych, miałam chodzić po czerwonych dywanach i tak dalej. Za każdym razem

odmawiałam, bo przerażało mnie, że w końcu stanę się powszechnie rozpoznawaną osobą. Dlatego – choć może to dość dziwnie zabrzmieć – powroty do Kyzył-kum, gdzie katastrofa humanitarna wciąż trwała, przyjmowałam z ulgą.

W końcu nie dało się tak dłużej żyć. Stało się tak z wielu różnych powodów.

A jak już wszystko zaczęło się sypać, to na dobre. Polecono mi zakończyć projekt i dwa lata po pierwszej wizycie musiałam opuścić Kyzył-kum na zawsze. Po powrocie do domu byłam w bardzo złej kondycji. Pierwszy miesiąc spędziłam na zamkniętym oddziale rekonwalescencji w szpitalu dla kombatantów i weteranów. Potem przeniesiono mnie na bardziej wyspecjalizowany oddział, aż w końcu dostałam wypis i wróciłam do rodziny i do mojej dawnej pracy przy biurku. Po pewnym czasie ogarnęła mnie nuda, poczucie bezsensu, a zwłaszcza wstydu: oto bowiem wróciłam do mojego bezpiecznego kraju, wygodnego domu i pełnej lodówki, podczas gdy ludzie w Kyzył-kum nadal potrzebują pomocy. Poczułam się tak, jakbym ich na różne sposoby zdradziła. Przypomniała mi się książka, którą dawno temu czytałam. Opowiadała o nieszczęściach, jakie spadały na ludzi obarczonych poczuciem strasznej winy, że udało im się przeżyć. Wtedy wydawało mi się to absurdalne, ale teraz, w świetle tego, przez co przeszłam w Kyzył-kum, stało się to dla mnie w pełni zrozumiałe. Czułam się tak, jakbym nie miała racji, jak gdyby gdzieś popełniono błąd. A może po prostu udawałam? Po powrocie do kraju, podczas pobytu w szpitalu, miałam ochotę tylko na jedną rzecz: żeby się wreszcie porządnie wyspać. Kiedy jednak rehabilitacja dobiegła końca i wypisano mnie do domu, zaczęłam sypiać coraz gorzej.

Kyzył-kum nadal mocno we mnie tkwiło. Byłam jak górnik, który po latach pracy w kopalni nie może zmyć z rąk pyłu węglowego. Ogarnął mnie strach i niepewność. Nocny chłód, wszechobecny niepokój, szepty dobiegające z sali, w której spaliśmy, nocne eksplozje, dalekie i bliskie... Słyszałam drapanie szczurów, kroki ludzi, nakrywałam się cienkim wojskowym kocem, jakbym marzła, chociaż leżałam we własnym mieszkaniu pod ciepłą puchową kołdrą. Często siadałam nocą na kanapie i zaspanymi oczami oglądałam telewizyjne programy o groźnych zwierzętach, wojnach albo zbrodniach popełnionych przed laty, czarno-białe kroniki filmowe albo filmy dokumentalne o spokojnej akcji, które lecą w telewizji w porze, gdy normalni ludzie śpią. Często siedziałam tak do świtu, słyszałam, jak gazeciarze wrzucają mi przez szczelinę w drzwiach prasę do mieszkania. Bałam się tego dźwięku, a zarazem czekałam na niego, bo był dla mnie sygnałem, że zarwałam kolejną noc i doznałam kolejnego niepowodzenia. Ten sam dźwięk oznaczał też, że mogę wrócić do łóżka, żeby się ze dwie godziny przespać, zanim budzik wyrwie mnie ze snu, zapowiadając nowy dzień.

Siri nadal mieszkała u Nour. Niby nie było w tym nic dziwnego, ale tylko

pozornie. Nour zadziwiła mnie już w dniu, w którym Siri się urodziła, bo zaczęła robić rzeczy, których nie doświadczyłam od niej przez całe moje dzieciństwo. Pierwszym prezentem, jaki podarowała Siri, była sukienka przypominająca tort na wesele oligarchy: gigantyczne białoróżowe ciasto z migdałowej masy w kształcie wieży, udekorowane wzdłuż i wszerz koronkami. Odwróciłam sukienkę na drugą stronę i znalazłam nalepkę z informacją, że należy ją prać chemicznie. Wyraziłam wątpliwość, czy niemowlę potrzebuje sukienki, której nie można uprać w zwykłej pralce, ale Nour pokręciła z irytacją głową.

– Powinnaś się pozbyć tak pruderyjnego nastawienia – powiedziała, zaciągając się mocno dymem z cyigaretki. Robiła to mimo tabliczek z zakazem palenia tytoniu na szpitalnym oddziale. – Niech nosi ładne ubrania, nikt od tego jeszcze nie umarł.

Tego rodzaju stwierdzenie w ustach kogoś, kto kiedyś strzygł włosy swojemu dziecku za pomocą kuchennych nożyc i co rok kupował mu używane wojskowe ubranie, bo było „niedrogie, praktyczne i poprawne politycznie”, wydawało się dużą przesadą. Nour posługiwała się tymi czterema słowami, aby w skrócie opisać, jak mnie wychowywała w tamtym okresie. I tylko w jednym była dobra – w zapominaniu. Czułam jednak wobec niej wdzięczność, że okazywała Siri tak duże zainteresowanie, co wcale nie musiało być aż tak oczywiste, choć była jej babcią.

Szybko się okazało, że Nour nie tylko interesuje się Siri, ale naprawdę ją kocha. Na dodatek Siri odwzajemniała to uczucie. Kochała swoją „mommo” z twarzą pooraną zmarszczkami, farbowanymi na czarno włosami (Nour posiwała, choć właściwiej byłoby powiedzieć, że włosy jej zbieleły; stało się to przed wielu laty, ale Nour nadal je farbowała), jej szorstkim obejściem i zakasany po łokcie rękawami koszuli. Nour pachniała tytoniem i szamponem z domieszką olejków z brodzieca paczulki. Kiedy wpadała w złość, waliła kulą o podłogę; kiedy gotowała *čevapčići*, nucila coś pod nosem i paliła tytoń. Mieszkała na Osiedlu Olofa Palmego, które kiedyś nazywano Starym Miastem. Siri często u niej zostawała, jeszcze zanim wyjechałam do Kyzyl-kum. Później doszłam do wniosku, że chyba zbyt często. Nour odbierała Siri z wojskowego żłobka, przywoziła ją do swojego domu, gotowała jedzenie. Ja odbierałam ją od Nour około siódmej wieczorem. Jeśli pracowałam do późnych godzin, Siri zostawała u niej na noc.

Z czasem biuro Nour zamieniło się w pokój dla Siri. Ze stosami książek i papierów działo się coś, co nigdy nie zdarzało się w okresie mojego dzieciństwa – zmieniały albo zwalniały miejsce. Coraz więcej przestrzeni w pokoju zajmowała armia pluszaków i innych zabawek, małe sukieneczki i kwiecista kołdra. W końcu stopy książek wylądowały pod ścianami, gdzie znalazły sobie nowe miejsce. Z czasem niektóre z nich trafiły nawet do kartonów na strychu. Fakt, że podczas mojego pierwszego wyjazdu to właśnie Nour opiekowała się Siri, nie wydawał się niczym niezwykłym.

Najdziwniejsze było to, co stało się później: Siri tak naprawdę nigdy nie wróciła do naszego mieszkania, a ja nie zauważyłam, jak i kiedy to się stało.

Kiedyś, gdy byłam młodsza, Nour wymusiła na mnie, żebym przeczytała jedną z jej ulubionych, zakurzonych powieści. Zapamiętałam z niej fragment, w którym główny bohater, spytany o to, jak bankrutował, odparł: „Sukcesywnie, a potem nagle”. Dokładnie tak to wyglądało z Siri, gdy przeprowadziła się do Nour. Kiedy pierwszy raz wróciłam z Kyzył-kum, już wiedziałam, że wkrótce znowu tam pojedę. Doszłam więc do wniosku, że nie ma sensu zabierać Siri do siebie. Potem sytuacja się powtórzyła. Następnym razem, gdy wróciłam do kraju chora, uznałam, że zabieranie Siri od Nour jest niepotrzebne, żeby nie powiedzieć: niemożliwe. Później okazało się to niepotrzebne z zupełnie innych, bardziej skomplikowanych powodów.

Kiedyś obserwowałam, jak Nour i Siri siedzą z pochylonymi blisko głowami i rozumiałam, że do siebie pasują. Gdy wychodziły na dwór, Nour wspierała się jedną ręką na kuli, a na drugą brała Siri, chociaż musiało to być dla niej trudne i niewygodne.

Nigdy wcześniej nie postrzegałam Nour w taki sposób. Nagle okazało się, że jej troskliwość jest wprost niezmierną. Razem z Siri gotowały jedzenie, zaplatały włosy, ubierały się, zaciągały zamek błyskawiczny, zawiązywały sznurowadła. Siri wkładała jej rękę we włosy, kładła na ramieniu, dotykała policzków. Kiedy na nie patrzyłam, widziałam zamknięty, zwarty, samowystarczalny system, w którym jedna strona przekazuje drugiej część swojej energii i w którym niczego nie brakuje. Kiedy wyjeżdżałam, siedziały w domu, tworząc własny, codzienny świat, gdzie bywałam gościem. Czasem odnosiłam wrażenie, że im przeszkadzam. Wydawało mi się, że obie czują wstyd, bo powinny mnie kochać, a nie potrafią. Siri mieszkała więc nadal z Nour, a ja odwiedzałam je dwa razy na tydzień. Ale nawet gdy przebywałyśmy razem w tym samym pokoju, wydawało mi się, że patrzę na nie jakby z zewnątrz. Siedziały w kręgu światła, pochylone ku sobie, pogrążone we wspólnych zajęciach wymagających skupienia i uwagi.

Czasem chciałam wyciągnąć rękę, żeby je dotknąć, ale nie mogłam się przemóc. Przestałam być częścią mojej rodziny, a one stały się kimś innym niż ja.

Osoba, która patrzyła na mnie z lustra, bardzo mnie przypominała: wysoka kobieta w średnim wieku, w praktycznym ciemnym ubraniu, z krótko obciętych włosami, które z jasnych stały się szare. Twarz w lustrze była chuda i poważna. Być może byłaby ładna, a przynajmniej nieodpychająca, gdyby nie zmarszczki, czerwone plamy po egzemie i ciemne cienie pod oczami. I właśnie oczy stanowiły największy problem, bo przestały należeć do mnie. Z głębokich oczodołów patrzyła na mnie zupełnie obca osoba. W jej oczodołach krył się jakiś człowiek, który jakby wyglądał z czarnego okna, ukryty w ciemnościach, nie do zauważenia. Coraz częściej łapałam się na tym, że pragnę wrócić do pełnego namiotów obozu w Kyzył-kum, chociaż tak naprawdę było to ostatnie miejsce na ziemi, do którego chciałam się przenieść. Mieszkałam we własnym domu, ale nigdy nie czułam się tak zagubiona, jak w tamtym czasie.

I właśnie wtedy zaproponowano mi nowe zadanie.

SZTOKHOLM

PROTEKTORAT SZWECJI

MARZEC 2037 ROKU

Pewnego dnia do mojego pokoju weszła nasza sekretarka.

– On chce się z tobą spotkać. Masz się stawić na czternastym piętrze w budynku administracji rządowej.

– Co to znaczy „on”?

– On chce się z tobą spotkać!

Sekretarka miała podekscytowaną minę. Na nosie podskakiwały jej okulary z grubymi szklami, więc podciągała je energicznym ruchem, a one znowu zsuwały się na poprzednie miejsce. Dobrze rozumiałam jej ozywienie.

Urzednicy rządowi rzadko interesowali się naszą działalnością, a tym bardziej konkretnymi pracownikami naszego wydziału. Kiedy ostatnim razem wróciłam do kraju z Kyzyl-kum, Przewodniczący wysłał mi do biura bukiet kwiatów, do którego dołączono bilecik z błędnie wydrukowanym nazwiskiem. Doszłam więc do wniosku, że cała sprawa w ogóle ich nie interesowała. Jak się okazało, nie miałam racji. Poczulałam się mile połączona, a zarazem lekko zdenerwowana.

– Kiedy mam tam iść?

– Po południu.

Sekretarka patrzyła na moją wygniecioną koszulę o sekundę za długo, jak gdyby nad czymś się zastanawiała.

– Myślę, że zdążysz pojechać do domu i się przebrać – powiedziała w końcu, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju tak szybko, że nawet nie zdążyłam udać, że jej słowa wcale mnie nie oburzyły.

Trzy godziny później maszerowałam w strumieniach deszczu przez dziedzińiec kompleksu rządowego. Duże płatki na wpół zmarzniętego śniegu zawiewały z boku, chłostając mnie mocno po twarzy, aby nagle zmienić kierunek i zaatakować z zupełnie innej strony. Był luty, typowy dzień, gdy wszystko jest szare i mokre, a nadzieja na to, że zrobi się jaśniej, jest tylko nadzieją. W czasie tej zimy takich dni było wiele. Wiadomości telewizyjne codziennie przypominały, że nigdy wcześniej nie mieliśmy w Szwecji tak niewiele słońca, jak w ciągu tego roku. Nikt nie wiedział, czy to jakiś wybryk natury, czy raczej efekt zmian klimatycznych. A może jedno i drugie? Albo coś jeszcze gorszego, chociaż z prognozy pogody wcale tak nie wynikało?

W każdym razie tak to komentowali zwykli ludzie, gdy byli pewni, że nikt inny ich nie słucha.

Wchodząc do budynku, miałam wrażenie, że piętrzy się przede mną jak wieża, jakbym zapuszczała się w przesmyk prowadzący do szerokiej doliny.

Ostatni podmuch wiatru prawie wbił mnie do środka. Zgłosiłam się na recepcji, dostałam identyfikator z napisem „Gość”, przeszłam przez bramki kontrolne, oddałam do skanowania kurtkę i torebkę, a potem strażnik wskazał mi drogę do windy. Jej wnętrze wyłożone było przyciemnionymi lustrami, które boleśnie mi uświadomiły, jak wyglądam w nowej marynarce i anonimowych, niemodnych butach, kupionych w zwykłej sieciówce z konfekcją. Marynarka była całkiem ładna, ale zrobiona z grubego, gryzącego

materiału, przez co już w windzie mocno się spociłam. Stopy miałam przemoczone i zmarznięte, rajstopy pozwijane. Makijaż nałożyłam w nadziei, że nie będę wyglądać tak strasznie, jak myślałam, ale doszłam do wniosku, że efekt jest przeciwny do zamierzonego. Deszcz rozmył mi tusz wokół oczu, tani puder na policzkach prawie całkiem się roztopił, a jego zbite grudki zasłaniały plamy po egzemie, które wskutek zdenerwowania wykwitły mi na nosie i u nasady włosów. Czułam się niepewnie, jakbym się za kogoś przebrała.

Kiedy na czternastym piętrze wyszłam z windy, od razu zauważyłam, że dźwięki są tam bardziej przytłumione i mają inne brzmienie. Na podłodze leżała tak gruba wykładzina, że chodzenie po niej w butach na obcasach było prawdziwą sztuką. Można powiedzieć, że wystrój piętra utrzymano w typowo męskim stylu: ciemne drewno, chromowana stal, kwiaty o dużych liściach.

Innymi słowy – prosto, ale drogo. Od ścian, podłogi i sufitu biła władza.

Szum wentylatora przypominał słyszany z dużej odległości dźwięk helikoptera. Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie było gdzie usiąść, na ścianach nie wisiały dzieła sztuki, które mogłabym postudiować.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi i na korytarz wyszła elegancka starsza kobieta. Spytała mnie o nazwisko i poprosiła, żebym za nią poszła. Ruszyłam za nią korytarzem i zauważyłam, że chociaż miała pantofle na obcasach, poruszała się pewnym, szybkim krokiem. Na końcu korytarza otworzyła drzwi i wpuściła mnie do sali konferencyjnej. Widok, który się z niej rozpościerał, zapierał dech w piersiach.

– Kawy? Herbaty? Wody?

– Poproszę czarną kawę.

Kobieta skinęła głową, wykonała dłonią drobny gest, który potraktowałam jako zachętę do tego, żeby usiąść, i wyszła z sali. Zostałam sama. Kiedy zamykała za sobą drzwi, rozległ się dźwięk przypominający ssanie, jak gdyby w sali powstała nagle próżnia. Rozglądając się po pokoju, doszłam do wniosku, że wszystkie szczegóły wyposażenia zostały starannie przemyślane.

Nawet tak zwykłe, jak klamka u drzwi czy listwa przypodłogowa. Czułam się tak, jakbym samą swoją obecnością rzuciła wyzwanie całemu wyposażeniu tego pomieszczenia. W chwili gdy przyciągałam krzesło, żeby na nim usiąść, drzwi znowu się otworzyły i do sali weszła sekretarka w towarzystwie Przewodniczącego.

Był to wysoki mężczyzna o gęstych włosach, ze śladami po młodzieńczym trądziku na twarzy. Chociaż miał na sobie drogi garnitur – prawdopodobnie z importu albo szyty na miarę – wyglądał w nim fatalnie, jak gdyby ktoś ubrał pomnik. Kiedyś był na wizytacji w naszym wydziale. Pamiętam, że staliśmy przy swoich biurkach jak dzieci z sierocińca czekające na adopcję.

Przewodniczący chodził po wydziale w towarzystwie innych szefów i przeprowadzał kontrolę pokoi i personelu. Wszędzie panowała napięta atmosfera. Teraz poczułam się prawie tak samo. Przewodniczący zrobił kilka

kroków w moją stronę i podał mi rękę.

– Pani Francis... wspaniale, że znowu się widzimy!

Wystarczyło, że Przewodniczący na mnie spojrział, a ja od razu zrozumiałam, dlaczego mimo władzy, jaką posiada, ludzie tak często wypowiadają się o nim w ciepłych słowach. Spojrzenie miał szczere, otwarte i serdeczne, dzięki czemu każdy jego gość od razu czuł się zauważony, jakby naprawdę był jedyną ważną osobą na całym świecie. Przewodniczący zachowywał się tak, jakby rzeczywiście się cieszył, że spotkał się właśnie ze mną, a nie z kimś innym. Prawie mu uwierzyłam.

– Cała przyjemność po mojej stronie – wykrztusiłam.

– Zechce pani usiąść?

Przewodniczący wskazał ręką na krzesła stojące przy okrągłym stole, a gdy usiadłam, obszedł go i usiadł naprzeciwko mnie.

– Przede wszystkim chciałbym skorzystać z okazji, żeby złożyć na pani ręce podziękowania za to, jak wspaniałych rzeczy dokonaliście w Kyzył-kum. To było naprawdę coś wielkiego – zaczął Przewodniczący tak wyraźnym głosem, że zaczęłam się zastanawiać, czy nasza rozmowa nie jest nagrywana. – Jesteśmy bardzo zadowoleni z wyników waszej pracy. Pan minister prosił mnie, żebym panią od niego pozdrowił. To wprost zachwycające. Równie wspaniałego sukcesu, który naszemu państwu przyniósł tak wielką renomę, nie mieliśmy od wielu lat. Chyba pani wie, co mam na myśli... Humanitarne mocarstwo i tak dalej. Świetnie się składa.

Cieszymy się, że mogliśmy panią wspierać w tej naprawdę ważnej pracy.

– Bardzo dziękuję za szansę, jaką mi dano – usłyszałam swój głos i od razu sobie uświadomiłam, że początek nie był dla mnie najlepszy. Rozmawiamy dopiero od minuty, a Przewodniczący tak pokierował rozmową, że to ja podziękowałam mu za to, iż na wiele lat doszczętnie zrujnował mi życie.

Najwidoczniej był w tym mistrzem. Zaczęłam się zastanawiać, po co mnie tu zaprosił. Przewodniczący pochylił się nad stołem.

– Anno, to, o czym chcę z panią pomówić, jest ściśle tajne. Wszystko, o czym będziemy rozmawiać, powinno pozostać między nami.

Przewodniczący spojrział mi prosto w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno zrozumiałam, co przed chwilą powiedział. No cóż... W Kyzył-kum spędziłam pod rządami reżimów i władz wojskowych tyle czasu, że wiedziałam, iż jego słowa znaczą mniej więcej: „Jeśli cokolwiek wypłynie do mediów, będę wiedział, kto jest autorem przecieku”. Skinęłam więc głową na znak, że rozumiałam. Przewodniczący kontynuował.

– Czy słyszała pani o projekcie RAN?

Ponownie skinęłam głową, ale czułam się coraz fatalniej. RAN to jeden z tych projektów, o których wszyscy wiedzą, ale nikt się nie orientuje, czego tak naprawdę dotyczą. Ze względu na okrywającą go tajemnicę lepiej o nim nic nie wiedzieć. Pewnego razu, jeszcze podczas mojego pobytu w Kyzył-kum, jeden z wojskowych wspomniał w rozmowie o zadaniu, które zlecono do realizacji grupie RAN. Kiedy jednak zaczęłam go pytać o szczegóły,

zmieszał się i chyba nawet przestraszył. Od razu zmienił temat, a ja nie pytałam dalej. O pewnych sprawach lepiej nie wiedzieć.

– Wiem, że taki projekt istnieje, ale nie znam szczegółów – odparłam.

Przewodniczący pokręcił z niechęcią głową.

– Wolelibyśmy, aby nikt nie wiedział o nim zbyt wiele. Dotyczy to także pani – powiedział, po czym pochylił się nad stołem i dodał: – Zanim rozwinę ten temat, muszę się upewnić, czy mogę liczyć na pani dyskrecję. Jeśli nie, od razu zakończymy tę rozmowę.

Przełknęłam ślinę i zastanawiałam się, czy mam jakieś inne wyjście.

Niestety, nic mądrego nie wymyśliłam.

– Oczywiście – odparłam. – Na czym ten projekt polega?

Przewodniczący zrobił zadowoloną minę i sięgnął po leżącą na stole teczkę. „Skąd on ją wziął” – pomyślałam zdumiona. Przed chwilą, gdy weszłam do pokoju, stół był pusty i nie zauważyłam na nim żadnej teczki.

– Zaprosiłem panią do nas, żeby poprosić o pomoc. Jak już wspomniałem, chodzi o projekt RAN. Nie będę przytaczał zbyt wielu szczegółów, ponieważ pełny wgląd w prace grupy ma ograniczona liczba osób. Jeśli zaś chodzi o to, co się wydarzyło... – Przewodniczący oparł się o krzesło i westchnął. – No cóż, jedna z osób w sekcji operacyjnej dopuściła się zdrady. Mówiąc w skrócie: skład zespołu zmniejszył się o jedną osobę.

Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu, a ja poczułam suchość w gardle.

– Bardzo dziękuję za zaufanie, ale nie wiem, czy będę w stanie... – zaczęłam, ale od razu przerwałam, widząc zdumioną minę

Przewodniczącego. Przez dwie sekundy spoglądał na mnie z uniesionymi brwiami, a potem wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem.

– Nie chodziło mi oczywiście o to, aby pani weszła w skład grupy RAN!

Nie, droga Anno... Tak między nami powiem tylko tyle, że do tej roboty zgłasza się mnóstwo kandydatów, którzy posiadają... hm... trochę inne kwalifikacje. Będziemy potrzebować pani pomocy na etapie rekrutacji.

Zrobiło mi się głupio i poczułam się jak ktoś, kto odpowiada na gest pozdrowienia i dopiero po chwili widzi, że nie było adresowane do niego, tylko do kogoś stojącego z tyłu. Szybko jednak przeszłam nad tym do porządku dziennego i zaczęłam drażnić temat.

– W jaki sposób mogę być pomocna?

Przewodniczący splótł przed sobą dłonie.

– Jak pani wie, przyglądamy się różnym kandydatom. Każdy z nich posiada bogate doświadczenie i umiejętności. Postanowiliśmy poddać ich testowi w warunkach bojowych. Będzie to coś w rodzaju ćwiczeń w terenie, jeśli mogę to tak określić. I właśnie tu pojawia się Anna Francis. Wiele razy miała pani okazję obserwować ludzkie zachowania w sytuacjach ekstremalnych. Potrafi pani oceniać silne i słabe strony ludzi. Wie pani, jak daleko człowiek może się posunąć i gdzie są granice ludzkich możliwości.

Posiada pani nieocenioną wiedzę w tym zakresie. Niewiele osób może się tym pochwalić.

Poczułam się mile połączona, chociaż dobrze wiedziałam, że pochwały

stanowią zawsze część strategii. Miałam się poczuć jak ktoś, bez kogo rzecz się nie uda. I rzeczywiście tak się stało, chociaż od razu domyśliłam się sensu tej zagrywki. Milczałam jednak, czekając na to, co Przewodniczący ma mi jeszcze do powiedzenia.

– Postanowiliśmy przeprowadzić test na odporność w warunkach stresu.

Nasi kandydaci znajdą się w realnej sytuacji, a pani dokona oceny ich zachowań. Powie nam pani, kto sprawdzi się w roli przywódcy, kto umie strategicznie myśleć, kto jest dyplomata, a kto się na niego nie nadaje.

Nadal nie wiedziałam, do czego Przewodniczący zmierza.

– A tak konkretnie... co miałabym robić?

Przewodniczący spojrział na mnie z radosnym uśmiechem.

– Właściwie to bardzo proste. Będzie pani udawać martwą.

A więc o to chodziło... Przewodniczący chciał mnie wciągnąć w swój misterny plan. Symulowana śmierć jako test na wytrzymałość na stres. Plan był następujący: kandydat do pracy w grupie RAN zostanie wysłany na wyspę pod pozorem, że weźmie tam udział w pierwszej fazie rekrutacji.

Będzie ona obejmować ćwiczenia grupowe i przygotowania do kolejnej fazy testów. Ja miałam udawać jednego z kandydatów. W skład grupy wejdzie doświadczony lekarz, który jest specjalistą od radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych. W czasie pierwszej doby zainscenizuje moją śmierć („Na początku zastanawialiśmy się nad samobójstwem, ale ostatecznie wybraliśmy zabójstwo”, wyjaśnił Przewodniczący tonem świadczącym o tym, że jest elastyczny i nie upiera się przy swoim zdaniu). Kiedy lekarz stwierdzi mój zgon, zacznę obserwować zachowanie kandydatów z „ukrytej pozycji”, jak się wyraził Przewodniczący. Moje zadanie będzie polegać na ocenienu, w jaki sposób kandydaci zareagowali na moją nagłą śmierć. Miałam zanotować, kto przejął inicjatywę, kto pomyślał o bezpieczeństwie grupy, kto pierwszy sformułował teorię na temat tego, co się stało, i tak dalej. Ćwiczenia skończą się po czterdziestu ośmiu godzinach, wszyscy zostaną zabrani z wyspy, a ja przygotuję raport na temat przydatności każdego z kandydatów do udziału w projekcie RAN. Z Przewodniczącym miałam się kontaktować za pośrednictwem sekretarza RAN-u, z zachowaniem pełnej dyskrecji.

– Interesuje nas pani ocena intuicyjna – kontynuował Przewodniczący. – Głębszą analizą każdego z kandydatów możemy się zająć później. Na początku ważne będzie to, co podpowie pani intuicja.

Kiedy Przewodniczący skończył, poczułam się naprawdę fatalnie.

– Bardzo przepraszam, ale... Czy nie chcemy potraktować tych ludzi zbyt okrutnie? I do tego całkiem niepotrzebnie?

Przypomniały mi się egzekucje, także te pozorowane, i porwania, z którymi miałam do czynienia w Kyzył-kum. Przypomniałam sobie, w jaki sposób takie zdarzenia odcisnęły się na ludziach z mojego otoczenia.

Doświadczenie czyjejś śmierci zawsze pozostawia ślad, nawet wtedy, gdy później się okazuje, że ta osoba żyje. Przewodniczący wpatrywał się w jakiś

odległy punkt za moimi plecami, jakby właśnie tam szukał odpowiedzi na moje pytanie.

– Anno, pragnę zapewnić, że nie kieruje mną niepotrzebne okrucieństwo.

Na członkach grupy RAN ciąży wielka odpowiedzialność. Zależy od nich życie wielu ludzi. Niepotrzebnym okrucieństwem byłoby przyjęcie do grupy kogoś, kto się do niej nie nadaje, zarówno dla tej osoby, jak i dla bezpieczeństwa naszej Unii. Domyślam się oczywiście, o co pani chodzi, i w pewnym sensie podzielam taki tok myślenia. Okrutne – tak; niepotrzebne – nie. Cieszę się jednak, że dostrzegła pani powagę sytuacji, i dlatego to właśnie pani ocena będzie rozstrzygająca. Musimy sprawdzić, kto umie sobie radzić ze stresem. Każdemu z kandydatów zaoferujemy całkowite wsparcie, a także pomoc psychologów i specjalistów od zachowań w sytuacjach kryzysowych. Pani też taką pomoc otrzyma. Za swój wkład zostanie pani odpowiednio wynagrodzona.

W tym miejscu Przewodniczący rzucił kwotę, od której zakręciło mi się w głowie. Jej wysokość przekraczała moje najśmielsze oczekiwania. Nie wiem, czy mogłabym tyle wygrać nawet na loterii.

– Abstrahując od pieniędzy... dlaczego miałabym się zgodzić?

Przewodniczący uśmiechnął się uprzejmie.

– No cóż... bądźmy szczerzy... Czy ma pani inne wyjście?

Przewodniczący był albo zręcznym manipulatorem, albo szedł na całość.

Bez względu na to, która z tych ewentualności była prawdziwa, osiągnął swój cel. Tak naprawdę moja obecna praca nie miała sensu, nie mogłam wrócić do Kyzyl-kum, a dla mojej rodziny stałam się kimś obcym. Z takimi pieniędzmi, jakie oferował mi Przewodniczący, mogłabym zacząć nowe życie. Wziąć roczny urlop, wyjechać z Siri do jakiegoś ciepłego, spokojnego miejsca, stworzyć coś nowego i naprawić to, co do tej pory nie działało. Mogłybyśmy też kupić dom z ogródkiem. Siri pójdzie do dobrej szkoły, ja znajdę pracę biurową w jakiejś lokalnej administracji, dzięki czemu będę mogła odbierać Siri ze szkoły o ludzkiej porze. Będziemy piekły bułeczki i zaplatały włosy.

Mogłabym znowu stać się kimś – częścią mojego własnego życia. Nagle uświadomiłam sobie, jak wiele przez ostatnie lata straciłam. Mało brakowało, a straciłabym wszystko. Zebrało mi się na płacz, ale opanowałam się i spojrzałam w sufit, żeby się nie rozkleić. Gdybym to zrobiła, rozmowa skończyłaby się katastrofą.

Przewodniczący mówił dalej, jak gdyby czytał mi w myślach.

– Anno – powiedział miękkiem głosem. – Rozumiem, że ma pani za sobą trudny okres. Jeśli więc zgodzi się pani na moją propozycję, daję słowo honoru, że już nigdy więcej nie będzie pani musiała pracować. Chyba że na własne życzenie.

Tymczasem ja wpatrywałam się w listwę sufitową. Pomalowano ją na ten sam kolor co ściany. O tym, że tam była, świadczyła jedynie delikatna smuga. Przewodniczący czekał na moją odpowiedź przez jedną, dwie sekundy, jak gdyby chciał mi dać szansę, żebym sama odpowiedziała na jego

ofertę. Widząc, że dalej milczę, dodał:

– Moglibyśmy też zapomnieć o pewnych... hm... nieprawidłowościach, które miały miejsce w Kyzył-kum. Z tego, co pamiętam, nikt się nimi do tej pory nie zajmował?

Przewodniczący wypowiedział te słowa swobodnym tonem, ale na mnie spadły jak grom z jasnego nieba. Spodziewałam się, że ktoś wróci kiedyś do starych spraw, a mimo to nie byłam na to przygotowana. Wyrównałam oddech i spojrzałam na Przewodniczącego. Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund i właśnie w tym krótkim czasie podjęłam decyzję.

– Muszę porozmawiać o tym z moją rodziną.

– Oczywiście.

– Jak długo potrwa to zlecenie?

– Zaczynamy pod koniec tygodnia. Na samej wyspie spędzimy dwie, maksymalnie trzy doby.

– A potem?

– Złoży pani raport.

– I będę wolna?

– Tak, potem będzie pani wolna.

Przewodniczący wstał z krzesła, otworzył drzwi i wyszliśmy na korytarz.

– Czekam na decyzję jutro do południa. Moja sekretarka skontaktuje się z panią.

Przewodniczący podał mi rękę i uściśnął ją tak mocno, że prawie zatrzeszczała w stawach. Na koniec obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Liczę na panią – powiedział.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Stałam w miejscu i wpatrywałam się w jego szerokie, czworokątne plecy. Wchodząc do windy, uświadomiłam sobie, że sekretarka nie przyniosła mi kawy, o którą prosiłam.

Z sekretarzem RAN-u spotkałam się dwa dni później, aby odebrać od niego informacje potrzebne do udziału w projekcie. Był to drobny, niski mężczyzna o dziwnie wytrzeszczonych oczach i wielkim nosie. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się przewrócić. W jego pokoju panował chłód i pachniało tytoniem. Domyśliłam się, że wbrew zakazowi popała w tajemnicy przy otwartym oknie. Kiedy się witaliśmy, chwycił mnie tak mocno za rękę, jakby chciał mi ją wyrwać i uciec. Przedstawił się jako Arvid Nordquist.

– Nordquist? Tak jak ten słynny niegdyś gatunek kawy? – spytałam, żeby tylko coś powiedzieć, ale sekretarz spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby w ogóle nie zrozumiał, co miałam na myśli. Podeszedł do ściany i przez dłuższy czas zajęty był otwieraniem szarego sejfu zabezpieczonego szyfrem.

Wyjął z niego plik papierów i rzucił je z trzaskiem na stół.

– Wszystko, w czym pani weźmie udział, jest ściśle tajne. Tych dokumentów nie wolno wynosić z pokoju ani robić z nich notatek...

W każdym razie nie wolno ich ze sobą zabrać. Jeśli będzie pani chciała wyjść z pokoju... na przykład do toalety... dokumenty muszą wrócić na ten

czas do sejfu. Wolno stąd zabrać jedynie to, co zostanie w głowie. Nie możemy ryzykować, że te dokumenty „dostaną nóg”.

Wypowiadając ostatnie słowa, sekretarz wykonał w powietrzu znak cudzysłowu. Potem zaczął mi pokazywać mapy morza, a także mapy i rysunki wyspy o nazwie Isola. Była bardzo mała, leżała gdzieś na obrzeżach szwedzkich szkierów. Można się było na nią dostać tylko w jeden sposób – łodzią. Na wyspie znajdowało się niewiele zabudowań: hangar na łodzi i główny budynek. Dom okazał się dość nietypowy. Z zewnątrz wyglądał normalnie – składał się z dwóch kondygnacji i piwnicy, w której urządzono punkt medyczny – ale w rzeczywistości krył coś więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Sekretarz wyjaśnił mi, że w ścianach między pomieszczeniami wytyczono wąskie korytarze. Mają szerokość człowieka, w ścianach wykute są małe otwory. Można przez nie obserwować, co dzieje się w środku.

– A więc to dlatego otrzymałam to zlecenie? Po prostu nie znaleźliście nikogo innego, kto byłby na tyle szczupły, żeby zmieścić się w korytarzu?

Był to oczywiście żart, ale sekretarz spojrzał na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu i dalej objaśniał mi treść map. Coś jednak nie dawało mi spokoju.

– Czy zamiast kryć się między ścianami nie prościej byłoby użyć kamer monitoringu?

Sekretarz pokręcił głową.

– Nie chcemy, żeby po tym teście pozostały jakiegokolwiek nagrania.

Wprawdzie każde z nich moglibyśmy potem skasować, ale ktoś mógłby zapomnieć tego zrobić, celowo albo przez przeoczenie. Takie nagrania można by potem wykorzystać w złych celach.

Sekretarz wskazał na mapie zaciemiony obszar pod piwnicą.

– Tutaj, pod punktem medycznym, na poziomie piwnicy, znajduje się kolejna kondygnacja. Nazwalismy ją Poziomem Strategicznym. Kiedy lekarz stwierdzi zgon, uda się pani do tego miejsca na noc, aby opracować dla nas analizę. Do tej części budynku dostęp ma jeszcze tylko lekarz.

– Co to za lekarz?

Sekretarz po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Nazywa się Katerina Ivanovitj i jest nie tylko doktorem medycyny, ale także ekspertem w zakresie psychologii kryzysu. Mogę tylko powiedzieć, że to zaufana osoba, która współpracuje z nami w ramach projektu RAN prawie od samego początku. Znajdzie się pani w doborowym towarzystwie.

Z miny sekretarza domyśliłam się, że o wiele większym zaufaniem darzy lekarzkę niż mnie.

– Drzwi prowadzące do Poziomu Strategicznego są otwierane i zamykane kodem. Jest w tej kopercie. Poznają go tylko dwie osoby: pani i doktor Ivanovitj. Proszę się go nauczyć na pamięć. Jak już wspominałem, robienie notatek jest zabronione.

Po tych słowach sekretarz wstał z krzesła.

– Teraz zostawię panią samą. Proszę się zabrać do odrabiania lekcji.

Wrócę za dwie godziny.

Sekretarz wyszedł z pokoju, a ja usiadłam przy stole. Zaczęłam oglądać mapy i plany i cały czas się zastanawiałam, w co się wplątałam.

Wieczorem, w dniu poprzedzającym wyjazd na wyspę, odwiedziłam Nour i Siri, żeby się z nimi pożegnać. Nour mieszka na jednej z najstarszych ulic w Sztokholmie. Osiedle Olofa Palmego to jedno z niewielu miejsc, które ocalały podczas wielkiej akcji wyburzania starej zabudowy. Niektóre ulice nadal są wyłożone starą kostką brukową. W głębi duszy cieszyłam się, że tej okolicy nie zdążono zrównać z ziemią, chociaż nigdy bym się do tego nie przyznała. Nour przejęła mieszkanie po swoim ojcu, który postanowił wrócić do Bośni, gdy po wojnie na Bałkanach kraj ten wystąpił z Unii. Mój dziadek wyjechał ze Szwecji, gdy zaczęto zabudowywać podmiejskie dzielnice, do których co pięć minut docierały szybkie pociągi. Nagle okazało się, że mieszkanie w centrum miasta jest obciachowe i świadczy o niskim statusie.

W końcu doszło do paradoksalnej sytuacji, kiedy jedynymi lokatorami pięknych mieszkań w starej części miasta stali się imigranci, jak ojciec Nour, a teraz ona.

Weszłam do budynku i ruszyłam w górę wąskimi, nierównymi kamiennymi schodami. Miały wygładzone krawędzie, jak stare mydło. Było dla mnie tajemnicą, w jaki sposób Nour wchodzi, podpierając się swoją kulą.

Jak zwykle się spóźniłam. Nour popatrzyła na mnie surowym wzrokiem.

– Myślałam, że już nie przyjdiesz – powiedziała, wpuszczając mnie do przedpokoju.

– A niby dlaczego miałabym nie przyjść?

Zdjęłam buty i postawiłam je obok zimowego obuwia Siri, stojącego pod jej kurtką. Były to małe czarne buty z futrzanym obramowaniem. Wyglądały na nowe i drogie. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam spytać Nour o cenę, żeby zwrócić jej pieniądze, ale się rozmyśliłam. Nour nie odpowiedziała na moje pytanie, tylko poszła do kuchni i zaczęła trzaskać naczyniami. Przez cały czas mruczała coś pod nosem.

– Co mówisz? – spytałam.

– Siri leży już w łóżku. Idź i przywitaj się z nią, zanim zaśnie.

Weszłam w głąb mieszkania i schodami dostałam się na piętro, gdzie Nour miała kiedyś biuro. Takie biura utrzymywała we wszystkich naszych mieszkaniach, ale nigdy nie wolno mi było do nich wchodzić bez pozwolenia.

Na drzwiach wisiała biała tabliczka z rysunkiem przedstawiającym kota i kwiatki. Siri napisała na niej swoje imię pochylonymi różnokolorowymi literami. Zapukałam lekko do drzwi, a nie słysząc odpowiedzi, weszłam do pokoju. Siri leżała pod kołdrą w niebieskie kropki i przeglądała książkę, którą jej kiedyś dałam. Była to historia niedźwiadka, który poszedł do szkoły. Na łóżku leżały porozrzucane pluszaki, patrzyły na mnie niemym wzrokiem. Na ścianie nad łóżkiem wisiały zdjęcia przedstawiające mnie i Siri w Kyzyłkum. Dwa podobne uśmiechy, ciemne włosy Siri, krótkie i jasne moje.

Podczas mojego pierwszego pobytu w Kyzyl-kum Nour i Siri przyleciały do mnie samolotem. W tamtym okresie zajmowałam się sprawami administracyjnymi. Odwiedziły mnie przed falą chłodów i uchodźców, zanim doszło do aktów przemocy. Do kolejnej wizyty nie doszło. Nie było też nowych wspólnych zdjęć.

Usiadłam na łóżku i poczułam, że Siri od razu zeszywniała.

– Czy chcesz, żebym ci poczytała?

Siri pokręciła głową. Patrzyła na mnie wielkimi, rozszerzonymi jak u kota oczami. Na chwilę się zawahałam, a potem wyciągnęłam rękę i odgarnęłam jej grzywkę z czoła. Siri miała ładne włosy, lekko szorstkie w dotyku.

Wstrzymała na chwilę oddech, a potem pochyliła głowę w moją stronę.

Objęłam ją ramieniem i przygarnęłam do siebie. Siedziałyśmy tak przez chwilę, aż sytuacja zrobiła się trochę niezręczna, choć na te kilka sekund byłyśmy sobie bardzo bliskie. Nie chciałam tego przerywać. Głaskałam ją po jej gładkich i miękkich policzkach. Zaokrąglone dziecięce kształty widoczne na zdjęciu wiszącym nad łóżkiem zaczęły powoli znikać. Patrząc na nią, wiedziałam, że jako nastolatka będzie ładną dziewczyną. W ręce trzymała książkę. Kiedy była młodsza, stale obejmowała dłońmi moje palce, dotykała policzkiem mojej piersi, czułam jej serce tuż przy moim.

– Chyba już wiesz, że muszę wyjechać?

Poczułam, jak Siri znowu sztywnieje. Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

– Tym razem jadę tylko na kilka dni. Potem od razu wrócę do domu i już nigdzie więcej nie pojadę.

Jej ciało nadal było sztywne i nieruchome, poruszały się tylko ręce, którymi bawiła się wstążkami przy kołdrze. Przez cały czas gładziłam ją po policzku.

– Kiedy wrócę do domu, będziemy robiły razem mnóstwo ciekawych rzeczy. Możemy na przykład pojechać nad morze. Chcesz?

Siri nadal milczała. Mój głos brzmiał tak, jakbym siliła się na mówienie radosnym, przymilnym tonem. Ciekawe, dlaczego miałyby chcieć ze mną jechać nad morze? Przecież byłam dla niej prawie obcą osobą.

– Zobaczymy się za kilka dni. Dobranoc, skarbie. Śpij spokojnie.

Wzięłam książkę, przykryłam Siri kołdrą, pocałowałam ją w policzek i zgasiłam lampę. Siri leżała na plecach, ale twarz odwróciła do ściany.

Zarysy jej ciała były ledwo widoczne pod przykryciem. Kiedy podeszłam do drzwi, po raz pierwszy od mojego wejścia do pokoju odezwała się do mnie.

– Mamo?

– Słucham, serduszko?

– Czy ty wrócisz?

Przez kilka sekund nie wiedziałam, jak jej odpowiedzieć.

– Oczywiście, że tak. A teraz już śpij, córeczko.

Kiedy szłam po schodach, poczułam, że mam mokrą brodę. Dopiero gdy uniosłam rękę, żeby ją wytrzeć, domyśliłam się, że to łzy.

Przeszłam przez duży pokój i na chwilę się zatrzymałam. Nie tylko dom wydawał się stary. Także mieszkanie Nour przypominało w pewnym sensie dawny świat. Kiedy byłam dziewczynką, Nour przywiozła do niego meble z IKEI i Helleraum, bo tak zalecała partia. W miarę upływu lat, gdy jej entuzjazm do partii zaczął maleć, jej mieszkanie coraz bardziej przypominało mieszkanie dziadka. Stare zdjęcia rodzinne zastąpiły fotografię przywódcy, na podłodze pojawiły się wschodnie dywany, półki wypełniły się starymi książkami. Zresztą nie tylko półki – zakurzone książki leżały wszędzie. Nour opowiadała mi kiedyś, że gdy w latach siedemdziesiątych jej ojciec sprowadził się z Bośni do Szwecji – Bośnia była wtedy jeszcze częścią Jugosławii – dzielnicę zamieszkiwało wielu cudzoziemców. Teraz prawie ich tu nie ma. Większość z tych, którzy tu wtedy przyjechali, wyemigrowała z krajów nadbałtyckich. Przybyli tu w 1989 roku, gdy dysydenci próbowali zburzyć mur oddzielający NRD od zachodnich Niemiec, jeszcze przed aneksją. Nour i jej dom stali się w tym świecie wymierającym gatunkiem.

W pewnym sensie byłam zadowolona, że Siri tego doświadczyła, chociaż w przyszłości może to dla niej stanowić pewien problem.

Weszłam do kuchni i usiadłam przy stole. Nour stała tyłem do mnie i była zajęta zmywaniem. Nagle przerwała, opuściła ręce i nie odwracając się do mnie, powiedziała:

- Siri ciągle mnie pyta, czym się zajmujesz.
- To znaczy?
- Nie rozumie, dlaczego stale cię nie ma.

Poczułam, jak ogarnia mnie panika. Chciałam się jakoś bronić, ale milczałam. Dopiero po chwili odpowiedziałam na jej pytanie: – Przecież ma ciebie.

Nour odwróciła się i spojrzała na mnie ponurym wzrokiem. Nagle dotarło do mnie, że ma prawie siedemdziesiąt lat. Dla mnie zawsze była nieśmiertelna i ponadczasowa. Przez pewien czas wpatrywała się we mnie badawczym wzrokiem, a potem odwróciła się do szafki, wyjęła z niej dwa kieliszki i butelkę wódki, usiadła obok mnie, postawiła kieliszki na stole i naląła do nich alkoholu. Przyglądała mi się przez długą chwilę, jakby chciała sprawdzić, czy zareaguję z niechęcią na to, co zamierzała mi powiedzieć.

- Tylko się na mnie nie złość – powiedziała w końcu.
- A o co miałabym się złościć?
- Chcę cię o coś spytać.
- Zależy o co.
- Nie żartuj sobie ze mnie. Mówię poważnie.
- W takim razie pytaj.

Nour uniosła kieliszek, wychyliła go i odstawiła na stół.

- Chcę cię spytać, czy wrócisz.
- Nie będzie mnie przez dwa albo trzy dni, potem...

Nour pokręciła energicznie głową.

- Nie o to mi chodzi. Pytałam, czy w r ó c i s z.

Spojrzałam na nią i przyglądałam jej się tak długo, aż odwróciła wzrok i

popatrzyła w ciemne okno. Przez długi czas obie milczałyśmy. W końcu Nour powiedziała cichym głosem:

– Na górze leży mała dziewczynka, która nie wie, czy ma mamę. Nie wspomina o tym, ale czuję, że ją to gryzie. Widzę to, nawet jeśli ty niczego nie dostrzegasz.

– Przecież ma ciebie – odparłam bezdźwięcznym głosem, jakbym recytowała mantrę. Nour nadal wpatrywała się w okno.

– Chyba rozumiesz, że sytuacja jest złożona... To nie ja jestem jej mamą.

Jestem t w o j ą mamą. Chciałabym więc usłyszeć, czy...

Nour przerwała w pół zdania i przełknęła ślinę.

– Co chcesz usłyszeć?

– Czy wrócisz. Czy wrócisz do życia.

Po policzku spłynęła jej łza, ale Nour nie zwróciła na nią uwagi.

– Moja mała dziewczynka – powiedziała cichym głosem, a ja nie wiedziałam, kogo ma na myśli: mnie czy Siri. Jednym haustem opróżniłam kieliszek i od razu poczułam, jak wódka uderzyła mi do głowy. Wstałam od stołu i podeszłam do Nour, która nadal siedziała sztywno na krześle, wpatrzona w okno. Pogłaskałam ją i zauważyłam, że odrastają jej białe włosy. Wyglądało to tak, jakby nosiła perukę.

– Zobaczymy się za kilka dni – odparłam.

Wyszłam do przedpokoju i błyskawicznie się ubrałam. Zbiegłam schodami, a na ulicy zwymiotowałam do kosza na śmieci.

Następnego dnia wyszłam z domu, zanim zrobiło się jasno. Na ulicy czekała na mnie zamówiona wcześniej taksówka. Kierowca wkładał moje walizki do bagażnika, a w powietrzu wirowały drobne płatki śniegu. Nagle naszła mnie ochota, żeby się odwrócić i zrobić zdjęcie mojego domu, jak gdybym wybierała się w dłuższą podróż.

Kierowca wyjechał z miasta i ruszył w kierunku nabrzeża przemysłowego przy ujściu rzeki, gdzie przez pewien czas lawirował wśród magazynów i stosów kontenerów. W końcu zatrzymał się przed zamkniętą na kłódkę bramą. Wyjął z bagażnika moje walizki i postawił je na ziemi, ale zanim zdążyłam spytać, ile jestem winna za kurs, mężczyzna wsiadł do wozu i szybko odjechał. Zostałam sama. Zastanawiałam się, dokąd pójść, gdy nagle ujrzałam, jak od drugiej strony zbliża się do mnie umundurowany strażnik.

Bez słowa otworzył kłódkę łączącą grube ogniwa łańcucha, którym owinięte były dwa skrzydła bramy, i wpuścił mnie do środka. Rozejrzałam się po terenie i na wysokich słupach, na których wisiała brama, zauważyłam kamery monitoringu. Domyśliłam się, że to dzięki nim strażnik odnotował moje przybycie. Ziemię pokrywała cienka warstwa śniegu. Idąc nabrzeżem, odwróciłam się w pewnej chwili i spojrzałam na swoje ślady. Powoli znikają pod padającym śniegiem.

Na końcu nabrzeża czekała szara wojskowa łódź. Tuż przy niej stał sekretarz Nordquist w towarzystwie kobiety. Domyśliłam się, że to doktor Katerina Ivanovij. Była ode mnie młodsza, bardziej niż się spodziewałam.

Miała jasne włosy związane w zwykły węzeł, szczerą twarz i czarne jak węgiel, błyszczące oczy. Nosiła zwykłe, wygodne ubranie, przez ramię przewiesiła plecak z funkcjonalnego materiału. Mimo chłodnego ranka i wczesnej pory wyglądała jak rześka, energiczna drużynowa, która wyrusza z grupą harcerzy na wyprawę w góry. Od razu przypomniały mi się moje zmęczone z niewyspania oczy i worki, które mi się pod nimi porobiły.

Przedstawiłam się, a ona uściśniła mi mocno rękę.

– Witaj, Anno. Mam na imię Katerina. Mów mi Katja.

Kiedy się witałyśmy, patrzyła mi prosto w oczy, a gdy się przedstawiłam, powtórzyła moje imię. Sposób, w jaki to zrobiła, świadczył o tym, że jest przyzwyczajona do faktu, iż tak szybko wzbudza zaufanie u obcych ludzi.

Zastanawiałam się, czy władze mają na nią jakieś haki, z powodu których zgodziła się wziąć udział w takim przedsięwzięciu.

Sekretarz zgasił papierosa, rozgniół go butem i otulił się szczelnie szarym płaszczem.

– Wejźmy na pokład. Po drodze przedstawię paniom szczegóły naszej wyprawy. Na morzu spędzimy dwie godziny, więc proponuję, abyśmy stąd jak najszybciej odpłynęli.

Pod pokładem znajdowały się dwa pomieszczenia. W jednym z nich, które traktowano jako pokój towarzyski, stały przymocowane do ścian kanapy obite brązową skórą. W drugim było coś w rodzaju wąskich kuszetek, umieszczonych jedna nad drugą. Sekretarz wskazał nam ręką miejsca na kanapie. Usiadłyśmy z Katją obok siebie, a on przyniósł nam z przymocowanego do ściany automatu kawę w kartonowych kubkach.

Napój przypominał prawdziwą paloną kawę, ale miał dziwny posmak. Kubki, z których piłyśmy, były bardzo cienkie. Wydawało się, że rozpuszczą nam się w rękach, jeśli w miarę prędko nie wypijemy. Najważniejsze, że było w nich coś ciepłego. Wzięłam pierwszy łyk, ale zrobiłam to zbyt łapczywie i oparzyłam się w język. Sekretarz dmuchał na kawę swoimi cienkimi wargami, jakby próbował wygrywać jakąś melodię na źle skonstruowanym flecie. W końcu odstawił kubek i zaczął nam wszystko objaśniać.

– Myślę, że na początku odświeżę paniom zasady, jakie będą obowiązywać na wyspie w ramach naszej współpracy. Pani Anna zostanie przedstawiona pozostałym uczestnikom projektu jako jedna z kandydatek ubiegających się o miejsce w RAN-ie. Katja wystąpi w roli lekarki, która przebywa na wyspie na wypadek, gdyby ktoś nagle zachorował albo uległ wypadkowi. W podobny sposób wytłumaczymy uczestnikom testu obecność punktu medycznego w podziemnej kondygnacji budynku. Powiemy, że został tam zorganizowany po to, aby w razie nagłego wypadku ratować ofiarę, ponieważ ściągnięcie pomocy z zewnątrz będzie wymagać czasu. Chyba nie chcemy wyjść na osoby nieodpowiedzialne, prawda? – spytał sekretarz, nie uświadamiając sobie, że jego słowa mogą zabrzmieć ironicznie. – Test na odporność w warunkach stresu będzie trwał dwie doby. Rankiem między dzisiejszą nocą a jutrzejszym dniem zostanie pani „zamordowana” –

powiedział sekretarz. Spojrzał przy tym na mnie i wykonał znak cudzysłowu. – Katja panią uśpi i wstrzyknie środek rozluźniający mięśnie, żeby nie mogła pani wykonać żadnego ruchu, nawet nieświadomie. Potem Katja stwierdzi, że Anna została „zamordowana”, i poprosi jednego z kandydatów, aby potwierdził, że Anna nie żyje. Postaramy się, żeby w tym momencie nasz kandydat był pod wpływem środków odurzających, dzięki czemu nie zwróci uwagi na szczegóły. Następnie, zanim ktokolwiek inny zdąży ją zbadać, Anna zostanie zamknięta w zamrażarce w punkcie medycznym, a Katja ogłosi, że tylko ona posiada kod dostępu do mechanizmu zabezpieczającego. Anna będzie jednak mogła otworzyć zamrażarkę od środka, aby dostać się stamtąd do punktu medycznego albo na Poziom Strategiczny. Kiedy zastrzyk przestanie działać, Anna wyjdzie z zamrażarki przez otwór w dnie i przejdzie na Poziom Strategiczny. Potem będzie już tylko obserwować uczestników testu i oceniać ich reakcje. Po jego zakończeniu wszyscy wyjdziemy z ukrycia, zbierzemy uczestników, a w drodze z wyspy na ląd wyjaśnimy im, w czym uczestniczyli. Po powrocie zostaną oddani pod opiekę naszego zespołu. Anna sama wybierze kandydata, którego uzna za najlepszego. Jakies pytania?

Zanim otworzyłam usta, chrząknęłam. Trochę się bałam, że po długim wystąpieniu sekretarza głos mi się nagle załamie. Zastanawiałam się, czy mogę sobie pozwolić na całkowitą szczerłość. Sekretarz to nie Przewodniczący, nie posiada jego władzy, chociaż bezpośrednio mu podlega.

Uznałam jednak, że powinnam zadać kilka konkretnych pytań.

– Zjawicie się dopiero po dwóch dobach, bez względu na to, co się wydarzy?

– Tak.

– Co będzie, jeśli ktoś nie zda testu i po prostu się załamie?

Sekretarz spojrział na Katję, a ona odpowiedziała mi w jego imieniu: – Istnieje wiele rozwiązań, z których będziemy mogli skorzystać. Nie musisz się o to niepokoić.

– Co to za rozwiązania?

Katja zawahała się przez chwilę.

– Głównie medyczne.

– To znaczy, że jeśli ktoś się załamie, zostanie nafaszerowany prochami i w takim stanie będzie czekał na nadejście pomocy? Jak to się ma do twojej etyki lekarskiej?

Katja zrobiła niepewną minę. Między jej czarnymi oczami pojawiła się nagle drobna zmarszczka.

– To kwestia do dyskusji, ale przecież istnieją bardzo skuteczne środki przeciwlękowe, które można stosować w sytuacjach kryzysowych. Z tego, co wiem, ty też z nich korzystałaś w czasie pobytu w Kyzyl-kum?

Pytanie zostało zadane w sposób otwarty, ale przyprawiło mnie o lekkie mdłości. Domyśliłam się, że Katja wie o mnie więcej niż ja o niej. Uznałam więc, że nie warto się kłócić, i wzruszyłam ramionami.

– To nie ja odpowiadam za sprawy medyczne. To twoja działka.

– No to w porządku – stwierdził sekretarz. – Wasza dobra współpraca jest

fundamentem powodzenia naszego eksperymentu.

W tym momencie nie mogłam się już powstrzymać, chociaż przed chwilą głośno stwierdziłam, że to nie mój problem.

– A jeśli eksperyment się nie powiedzie?

Sekretarz westchnął poirytowany.

Dla zabicia czasu włączyłam telewizor. Akurat leciał serial *Przyjaciele*.

W jednej ze scen, w której Ross i Rachel kolejny raz ze sobą zerwali z powodu jakiegoś drobnego nieporozumienia, sekretarz szarpnął mnie mocno za ramię. Nie usłyszałam, jak się do mnie skrada, i aż podskoczyłam na krześle.

– Za kwadrans będziemy na miejscu, proszę się przygotować.

Wyprostowałam się, żeby wstać, i nagle poczułam, jak ogarnia mnie fala strachu. Była tak mocna, że prawie przygwozdziła mnie do krzesła. Zakręciło mi się w głowie. Zaczęłam mieć wątpliwości, czy postąpiłam słusznie, przyjmując to zlecenie. Podczas pobytu w Kyzył-kum przyzwyczaiłam się do różnych niedogodności. Często zdarzały się tam sytuacje trudne do przewidzenia, a niektóre z nich były tak niebezpieczne, że napawały mnie prawdziwym strachem. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, żeby się zastanawiać, po co tam pojechałam i jaką odniosę z tego korzyść. Za to teraz nie dawało mi to spokoju. Jak to możliwe, że dałam się namówić na coś takiego?

Mój mózg włączył znany mi mechanizm obronny, który w ciągu ostatnich dni kilka razy sama wprawiłam w ruch. Po co? Bo potrzebowałam pieniędzy i pracy, głównie jednak po to, żeby władze „zapomniały” o raportach na temat Kyzył-kum. Miałam mało do stracenia, za to wiele mogłam zyskać. Co prawda, stałe powtarzanie tego zaklęcia nie spowodowało, że strach zniknął, ale uspokoiłam się na tyle, że bez trudu udało mi się zawiązać sznurówki, założyć kurtkę, zabrać walizki i wyjść na pokład.

Katja była z sekretarzem przy relingu. Stałam po jego drugiej stronie i zaciągnęłam zamek błyskawiczny kurtki aż po usta. Od morza wiał lodowaty, przeszywający wiatr, który rozwiewał mi włosy.

– Isola! – krzyknął sekretarz, wskazując jakiś punkt na horyzoncie.

Punkt zmieniał się stopniowo, pojawiły się też pierwsze realne kształty.

Kiedy podpłynęliśmy bliżej, uświadomiłam sobie, że moje wyobrażenia o tym miejscu były całkowicie błędne. Spodziewałam się, że ujrzę skrawek lądu o groźnym wyglądzie, cały najeżony sprzętem wojskowym. Tymczasem moim oczom ukazała się pofałdowana wysepka podobna do wielu innych szkierów. Po lewej stronie stał budynek przypominający plebanię. Nie był zbyt duży ani imponujący. Poniżej niego skały opadały stromo aż do morza, a cała wyspa wyglądała jak tort ulepiony z kamieni i trawy. Na samym dole znajdował się przenośny pomost, od którego w górę biegła przymocowana do skały metalowa drabina. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, doszłam do wniosku, że umieszczono go w tym miejscu przede wszystkim po to, żeby w ogóle

można było dobić do brzegu. Skały okazały się wyższe i bardziej strome, niż mi się wydawało na pierwszy rzut oka. Z wody wystawał wielki kamienny blok, który wrzynał się w głąb łądu. Gdyby nie pomost, wyspa byłaby niedostępna. Zastanawiałam się, w jaki sposób ludzie, którzy jako pierwsi tu dotarli, zdołali na nią wejść, a tym bardziej zbudować tu dom.

Kiedy zeszliśmy pomostem na łąd, sekretarz zaczął się od razu wspinać po drabinie. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Musimy się trochę pospieszyć – zawołał w naszym kierunku ostrym, przestraszonym głosem, żeby wiatr nie zagłuszył jego słów. – Reszta osób jest już w drodze. Pokażę wam tę część budynku, która będzie dostępna tylko dla was.

Przełknęłam ślinę, starając się nie patrzeć w dół. Wspinaliśmy się po stromej ścianie. Śnieg przestał sypać, ale rozpadał się deszcz, przez co stopnie drabiny stały się jeszcze bardziej śliskie. Obserwowałam Katję, która bez problemu wspinała się przede mną. Na nogach miała buty do trekkingu z grubo żłobioną podeszwą. Przeklinałam w myślach moje wyslizgane obuwie sportowe. Kiedy w końcu dotarliśmy na górę, sekretarz od razu ruszył w stronę budynku, a Katja poszła posłusznie za nim. Maszerowała energicznym krokiem, co mogło świadczyć o wielu godzinach spędzonych latem na joggingu albo kilometrach pokonanych zimą na nartach.

Tymczasem ja wlokłam się za nimi jak marudna nastolatka. Kiedy dotarliśmy do budynku, zrozumiałam, że i w tym przypadku moje pierwsze wrażenia były mylne. Mimo zwykłej fasady dom emanował czymś groźnym. Może wynikało to z proporcji? Wyglądał na dość rozbudowany. Pomieszczenia zdawały się znajdować zbyt wysoko nad sobą, okna były jakby zbyt oddalone od siebie. Przypomniałam sobie, że między ścianami pokoiów istnieją wąskie korytarze, którymi będę mogła się swobodnie przemieszczać i obserwować uczestników testu. Będę dla nich niewidoczna, a oni nie będą wiedzieć, że są obserwowani. Odsunęłam mokre włosy z czoła i zwiększyłam tempo marszu.

W kilku krokach zrównałam się z Katją i sekretarzem.

– Do czego używano tego miejsca na początku? – spytałam.

– Do testów – odparł krótko sekretarz.

– Jakich testów?

– Takich jak ten. Testowaliśmy kandydatów na wymagające stanowiska.

– Czy to znaczy, że ten dom został zbudowany po to, abyście mogli szpiegować swoich własnych ludzi?

Sekretarz zerknął na mnie przez ramię.

– Niektórzy ukrywają swoje słabe strony. A przecież zdarzają się miejsca i sytuacje, w których może się to odbić negatywnie na innych ludziach – odparł. – Lepiej przekonać się o tym tutaj, zanim komuś stanie się krzywda.

I właśnie tym mamy się zająć.

Sekretarz zwiększył demonstracyjnie tempo, jakby chciał pokazać, że rozmowa dobiegła końca, i z mozołem pokonywał kolejne metry. Mimo to nie ustępowałam.

– Czy naprawdę zamierzacie oprzeć się wyłącznie na mojej ocenie i dlatego oprócz mnie nikogo innego nie zatrudniście?

– Nie tylko pani będzie ich obserwować – odparł sekretarz, zerkając na Katję, która taktownie zwolniła tempo i szła kilka kroków za nami, żeby nie słyszeć naszej rozmowy. – Obie sporządzicie raporty. Jestem przekonany, że dzięki temu uzyskamy pełen obraz, na podstawie którego będziemy mogli kontynuować proces rekrutacji.

Sekretarz znowu zwiększył tempo i wysforował się do przodu, zmierzając szybkim krokiem w kierunku domu.

– Tutaj panią przyniesiemy, gdy Katja stwierdzi „zgon” – wyjaśnił sekretarz, uderzając dłonią o skrzynię, która przypominała zamrażarkę. Stała w punkcie medycznym, w piwnicy budynku. Całe pomieszczenie wyglądało jak mały, acz dobrze zaopatrzony szpital polowy. Można w nim było bez problemu opatrywać rany, nastawić zwichnięte barki, tamować krwotoki i leczyć otarcia naskórka. Pokój nie nadawał się za to do leczenia psychotycznych reakcji na stres. Wiele spośród medykamentów stojących na półkach od razu rozpoznałam, bo przysłano nam je do Kyzył-kum. Na półkach stały w równych rzędach środki usmierzające ból, antydepresanty i środki uspokajające. W czasie gdy sekretarz oprowadzał nas po pomieszczeniu, przypomniało mi się to, co Katja mówiła o „rozwiązaniach medycznych”.

Sekretarz wszedł do zamrażarki i położył się na dnie, z rękami założonymi na piersi. Wyglądał jak Nosferatu.

– A potem zrobi pani to! – powiedział i uruchomił coś, co przypominało agregat chłodzący i było zamontowane na wewnętrznej ścianie.

Prawdopodobnie był tam ukryty przycisk, bo w tej samej chwili w miejscu, gdzie znajdowały się stopy sekretarza, dno pojemnika rozsunęło się bezszelestnie i powstała szczelina. Sekretarz spuścił do niej zręcznym ruchem nogi. – Teraz wystarczy tylko zejść.

– Panie przodem – powiedziałam do Katji. Lekarka spojrzała na mnie zmieszonym wzrokiem, ale posłusznie zeszła. Zrobiłam to samo i chwilę później znalazłam się w sąsiednim pomieszczeniu.

– Witam na Poziomie Strategicznym – powiedział sekretarz.

Naszym oczom ukazało się niezwykle miejsce, rozświetlone przytłumionym żółtawym blaskiem. Pomyślałam, że właśnie tak wyglądało oświetlenie gazowe przed wielu laty. Wyposażenie i sprzęt techniczny też sprawiały wrażenie starych. Radiostacja mogła pochodzić z pierwszej połowy XX wieku. Ciemne drewno, lśniąca miedź, zielonkawa, zużyta skóra na niektórych elementach wyposażenia. Sufit wisiał niżej, niż powinien.

W pewnej chwili złapałam się na tym, że chodzę skulona, chociaż nie było to konieczne. Powietrze było wilgotne, w środku pachniało ziemianką.

Sekretarz przekręcił kontakt i nagle cały pokój rozświetlił blask monitorów.

Niestety, emitowały ziarniste, czarno-białe obrazy. Na ekranach widać było to, co działo się w innych pomieszczeniach. Domyśliłam się, że pod sufitem każdego z nich zamontowano kamery monitoringu.

– Twierdził pan, że tu nie ma kamer – zwróciłam się do sekretarza.

– Te kamery nie zostały podłączone do żadnego urządzenia nagrywającego. Są na szczęście zbyt stare, żeby je wykorzystać we współczesnej technice. Jak już wspomniałem, chcemy uniknąć ryzyka, że ktoś to wszystko nagra i udokumentuje. Wprawdzie widzimy, co się dzieje w każdym pomieszczeniu, ale za to brakuje dźwięku. Poza tym emitowany obraz nie jest najlepszej jakości. Kamery pełnią funkcję uzupełniającą.

Z naszych doświadczeń wynika, że obserwacja bezpośrednia przynosi lepszy efekt.

– Ma pan na myśli obserwowanie uczestników przez otwory w ścianach?

– Mam na myśli profesjonalną obserwację – odparł sekretarz, jakby chciał mnie naprowadzić na właściwy tok myślenia. – O prąd nie musicie się martwić. Nawet jeśli na górze nastąpi nagła przerwa w dostawie, urządzenia znajdujące się na dole są zasilane przez własny generator.

Sekretarz podszedł do jednej ze ścian i rozsunął zasłonę. W ścianie znajdowała się niewielka wnęka z lodówką, zlewozmywakiem i łóżkiem, a wszystko to na powierzchni nie większej niż pięć metrów kwadratowych.

Całość była nadzwyczaj mała, jakby dopasowana do potrzeb dziecka.

Pomyślałam o ludziach, którzy przebywali tu przede mną. Całymi dniami i nocami byli pozbawieni naturalnego światła, zajęci obserwacją zachowań innych osób. Z łatwością wyczuwałam ich samotność wypełniającą wnętrze wnęki.

Sekretarz nadal oprowadzał nas po Poziomie Strategicznym. Pokazał nam przymocowaną do ściany szafkę z konserwami, skrzynię z rakietnicami i rakietami sztormowymi, środki przeciwbólowe i opatrunki. Obok schodów, którymi zeszliśmy, znajdowały się wąskie drzwi z ciemnego drewna.

Wyglądały, jakby prowadziły do innego świata.

– Można się stąd dostać do każdego innego miejsca w budynku – powiedział sekretarz, podając mi latarkę emitującą przytłumione czerwone światło. Następnie dał mi znak, żebym weszła do środka, więc ruszyłam przed nim. Korytarz był wąski, sufit nisko zawieszony. Idąc stromymi schodami, dotykałam głową sufitu i ocierałam się biodrami o ściany.

Podłoga, sufit i ściany wyłożone były gąbczastym, dźwiękochłonnym materiałem. Wprawdzie przez cały czas się w nim zapadałam, ale za to poruszałam się zupełnie bezszelestnie. Czułam się trochę nieswojo, nie słysząc własnych kroków. Nagle stanęłam przed kotarą. Odwróciłam się i zaświeciłam latarką prosto w twarz sekretarzowi, który szedł tuż za mną.

W jej blasku jego twarz przypominała trupa czaszkę.

– Taka zasłona oznacza, że w tym miejscu zaczyna się następny pokój – powiedział stłumionym głosem sekretarz. – Proszę dotknąć ściany, znajdzie pani na niej zasuwane okienko. Można przez nie zajrzeć do środka. Trzeba

tylko pamiętać, żeby najpierw wyłączyć latarkę.

Dotknęłam ściany i na wysokości oczu znalazłam okienko. Wyłączyłam latarkę i odsłoniłam je.

Przez dwa niewielkie otwory zajrzałam do salonu znajdującego się obok dużych schodów. Dziwnie się czułam, stojąc w kompletnych ciemnościach i zaglądając do pomieszczenia skąpanego w dziennym świetle. Miałam wrażenie, że jestem duchem. Nagle usłyszałam, jak sekretarz szepcze mi coś do ucha.

– Wszystkie pomieszczenia są nagłośnione, dzięki czemu wyraźnie słyszać każdą rozmowę. Jeśli jednak ktoś zacznie mówić szeptem, słyszalność będzie gorsza.

Włączyłam latarkę i ruszyliśmy do miejsca znajdującego się na wysokości sypialni. Dopiero tam dotarło do mnie, że będę mogła zobaczyć wszystko.

Przez okienka w ścianach będę mogła zajrzeć wszędzie: do sypialni z łózkami i garderobami, a nawet do toalety.

– Ważne jest to, aby obserwować ich na okrągło – zauważył sekretarz.

Chyba się domyślił, że niezbyt entuzjastycznie odnoszę się do perspektywy obserwowania obcych ludzi w sypialniach. – Ludziom się wydaje, że w takim miejscu są lepiej chronieni, dzięki czemu przestają być ostrożni i stają się bardziej otwarci.

Wzruszyłam ramionami, jakbym chciała pokazać, że jest mi to obojętne, chociaż myśl o tym, że mam obserwować ludzi nawet w toalecie, napawała mnie obrzydzeniem.

– Możemy wracać – powiedziałam. – To, co widziałam, w zupełności mi wystarczy.

Oddałam latarkę sekretarzowi, który odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Szłam za nim schodami oświetlonymi matowym blaskiem. Kierowaliśmy się do wnęki, w której po swojej „śmierci” miałam spędzić kilka następnych dób.

Kiedy znaleźliśmy się w dolnym pomieszczeniu, sekretarz rozłożył przed nami szkice i rysunki, które wcześniej widziałam w jego biurze. Wszystkie sypialnie miały numery – od jednego do siedmiu. Sześć z nich znajdowało się na piętrze, jedna na parterze. Ta ostatnia była przeznaczona dla osoby, którą Katja obudzi w środku nocy, aby potwierdziła moją „śmierć”. Pokoi nie przypisano jeszcze do konkretnych osób. Ponownie omówiliśmy kolejne etapy testu: w tym miejscu zostanę „zamordowana” i znaleziona (kuchnia), tam mnie zanoszą (zamrażarka), stąd zabiorą mnie później. W trakcie odprawy zadzwonił telefon sekretarza. Ten odebrał, mruknął coś i się rozłączył.

– Kandydaci są już na wyspie. Wyjdźmy im naprzeciw.

Ruszyliśmy wąskimi schodami na górę, przeszliśmy przez wąskie drzwi, zamknęliśmy je dokładnie za sobą, wyszliśmy na dwór i ruszyliśmy w kierunku stromej skały nad pomostem. Po przybyciu na miejsce ujrzeliśmy właśnie dobijającą do pomostu wojskową łódź. Była trochę większa od tej,

którą przyplłynęliśmy na wyspę. Pierwszy na ląd zszedł Przewodniczący. Jak na męża stanu przystało, ubrany był w gruby granatowy płaszcz i lśniące pantofle. Wyglądał jak ktoś, kto za moment padnie pod własnym ciężarem.

Sekretarz podbiegł do niego, energicznie uściśnął mu rękę i zamienił z nim kilka słów. Przewodniczący skinął krótko głową mnie i Katji, po czym stanął obok nas, żeby zrobić miejsce innym.

Widok pierwszej osoby, która weszła po drabinie, bardzo mnie zaskoczył – była to kobieta w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Chociaż nigdy jej nie spotkałam, jej twarz wydała mi się znajoma. Franziskę Scheele znano w całym kraju, ponieważ prowadziła serwis informacyjny na jednym z kanałów telewizyjnych. Jej twarz pojawiała się w naszych telewizorach tysiące razy.

Od kiedy sięgam pamięcią, prowadziła jeden z najpopularniejszych programów dyskusyjnych o tematyce politycznej, emitowany w niedzielę wieczorem. Jej rozmówcami byli zazwyczaj czołowi politycy Unii. Z bliska wyglądała na bardziej kruchą niż na ekranie telewizora. Była wysoka i szczupła, dało się ją wziąć zarówno za nastolatkę, jak i starzejącą się pisarkę. Czarne włosy miała zaczesane na kark i związane w prosty kok – taki sam, w jakim występowała w swoich programach. Miała na sobie szyty na miarę ciepły ciemnozielony płaszcz z futrzanym kołnierzem. Na palcach nosiła kilka pierścionków, paznokcie były elegancko pomalowane. Kiedy pokonywała ostatni szczebel drabiny, wyciągnęła wąską dłoń, jak gdyby stanowiło dla niej oczywistość, że ktoś zaraz podbiegnie i pomoże jej wydostać się na górę. Ubiegł nas sekretarz.

Drugą osobą, która pokonała wszystkie szczeble drabiny, był mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku co dziennikarka. Miał drogie luzackie ciuchy, pstrokate obuwie sportowe, besjbolówkę, zagraniczne džinsy i coś w rodzaju pikowanej kurtki. Jego twarz też wydała mi się znajoma, ale nie potrafiłam jej skojarzyć. Chodziło mi po głowie, że reprezentuje środowisko przedsiębiorców. Być może widziałam jego zdjęcie w jednym z ekonomicznych dodatków do gazet.

Trzeci mężczyzna mógł mieć ponad siedemdziesiąt lat – na tyle go przynajmniej oceniłam. Zaczęłam się zastanawiać, do jakich zadań mogą kandydować ludzie, którzy są na emeryturze i ledwo potrafią wspiąć się po drabinie. Kiedy jednak podał mi rękę, odniosłam wrażenie, jakby w ciele starego człowieka umieszczono młodzieńca. O jego wieku bardziej świadczyły siwe włosy i pobrużdżona twarz niż żywe jasne chłopięce oczy.

Kolejną osobą okazała się kobieta, mniej więcej w moim wieku. Po drabinie wspięła się bez większego trudu, uścisk dłoni był bezpośredni i zdecydowany. Na nogach miała pełne czyste pantofle na niskim obcasie, na głowie krótką i praktyczną fryzurę. Doszłam do wniosku, że zajmuje kierownicze stanowisko w którymś z państwowych urzędów – nie za wysokie, ale i nie za niskie. W chwili gdy się z nią witałam, pojawił się siódmy, a zarazem ostatni uczestnik naszego eksperymentu. Na jego widok po prostu mnie zatkało.

Był to Henry.

Henry

Annę Francis zauważyłem na długo przedtem, zanim ona zwróciła uwagę na mnie. Myślę, że często tak z nią jest: wpada ludziom w oczy wcześniej, niż sama na nich spojrzy. No cóż, pewne osoby bardziej przykuwają uwagę niż inne. Kiedy wchodzi do pokoju, nie można ich nie zauważyć. Anna wpadała do pracy biegiem, jakby się spóźniła. Zawsze wyglądała tak, jakby była pogrążona we własnych myślach. Ubrana w marynarkę i szalik szukała czegoś w swojej dużej torebce. Korytarz pokonywała wydłużonym krokiem, przez co sprawiała wrażenie, że w porównaniu z innymi porusza się szybciej.

Zachowywała się tak, jakby zawsze dokądś szła: na ranną odprawę, do ekspresu do kawy albo do toalety. Jej biuro przypominało papierową twierdzę, było zavalone segregatorami, raportami i kubkami z niedopitą kawą, w których znajdowała się pleśń w różnych stadiach rozwoju. Za biurkiem siadała w taki sposób, jakby chciała się zabarykadować przed innymi. Mówiła ostrym, przeszywającym głosem, więc wszyscy zawsze słyszeli, gdzie się akurat znajduje. Mimo to nie można powiedzieć, że była nielubiana. Wszyscy wiedzieli, że jest dobra w tym, co robi, ale cieszyła się opinią osoby trudnej we współpracy. Wiele osób irytował jej zwyczaj polegający na tym, że na każdym zebraniu czy odprawie zadawała mnóstwo pobrzmiewających krytyką pytań, najczęściej już po zakończeniu spotkania, gdy w sali słychać było skrzypienie odsuwanych od stołu krzeseł. Odnosiłem wrażenie, że Anna sama nie potrafiła się powstrzymać od kwestionowania różnych rzeczy, niezależnie od tego, czy pora i miejsce temu sprzyjały. Jej zachowanie uległo pogorszeniu, gdy nasz wydział przejął nowy szef. Był to młody, niezbyt pewny siebie i zajęty własnymi sprawami i własną karierą człowiek, nie za bardzo zainteresowany tym, czego od niego chcemy.

Uznaliśmy więc, że najlepiej będzie przybrać maskę i udać, że współuczestniczymy w jego grze. Jedynie Anna nie robiła tajemnicy z tego, że uważa go za idiotę. Wśród pracowników naszego wydziału krążyły pogłoski, że miała chrapkę na jego stanowisko, ale została pominięta, chociaż była od niego bardziej kompetentna. Bez względu na to, jak wyglądała prawda, nasze wydziałowe narady zaczęły nagle przypominać nieformalne rozprawy sądowe, w których Anna odgrywała rolę zarówno oskarżyciela, jak i sędziego – i to z własnego nadania. Pełnym zadufania głosem masakrowała każdą propozycję zgłaszaną przez nowego szefa. Jej sposób bycia wskazywał na to, że jest święcie przekonana, iż tylko ona przejrzała go na wskroś, jakby nie zauważyła, że inni też widzą, iż nasz przełożony jest nikim, a spieranie się z nim uznają za rzecz bezsensowną, niepotrzebną i niegrzeczną. Im więcej jednak takich bezowocnych bitew staczała Anna, stając się stopniowo kimś, z kim coraz trudniej było wytrzymać, tym lepiej rozumiałem, że nie próbuje robić z siebie dziwaczki, tylko taka po prostu jest. Kiedy w końcu pojąłem, według jakich zasad funkcjonuje, zacząłem ją lubić trochę bardziej, chociaż nadal uważałem, że jest trudna w kontaktach z ludźmi.

Nie wiem, dlaczego Anna zaczęła się mną interesować, ale stało się to w ciągu jednej nocy. Wcześniej ledwo się ze mną witała, a tu nagle zaczęła szukać mojego towarzystwa: wdawała się ze mną w krótkie rozmowy przy automacie do kawy, na stołówce dosiadała się do mojego stolika. Wiele razy złapałem ją na tym, jak obserwuje mnie w pokoju tym swoim skupionym, niezgłębionym wzrokiem, jakby uwierzyła, że jeśli tylko będzie mi się wystarczająco długo przyglądać, usłyszy ode mnie jakąś odpowiedź. Zaraz po tym, jak zauważyłem tę zmianę, która się w niej dokonała, wyznaczono nas do wspólnego projektu. Niezbyt mnie to ucieszyło, bo się bałem, że swoją wieczną krytyką tak długo będzie dusić każdy pomysł, aż w końcu nic się nie ostanie. Tymczasem ku swojemu zdumieniu zauważyłem, że nasza współpraca przebiega bez żadnych zgrzytów. Pogłoski o tym, że jest bardzo kompetentna, potwierdziły się. Poza tym Anna była bezpretensjonalna i dosyć zabawna. Nerwowa energia, która ją zazwyczaj przepełniała, przestała mi przeszkadzać z chwilą, gdy Anna zaczęła jej używać do pożytecznych celów. Dzięki temu łatwiej mi było z nią wytrzymać. Coraz częściej zaczęliśmy zostawać w biurze sami. Dla mnie nadgodziny nigdy nie stanowiły problemu, ale byłem zdumiony faktem, że jej też to nie przeszkadzało, zwłaszcza gdy należało zostać dłużej kilka razy z rzędu.

Wiedziałem, że samotnie wychowuje córkę, ale nigdy jej nie pytałem, kto się nią opiekuje wieczorami. Zresztą ona też nie poruszała tego tematu.

W trakcie pracy, gdy każde z nas było pochłonięte własnymi obowiązkami, czasem ją obserwowałem. Kanciaste ramiona, jasne i krótkie włosy z długą grzywką, która rzucała cień na jej bladozielone policzki, wyraziste rysy twarzy oświetlonej blaskiem rtęciówek, zero makijażu. Większość ludzi czuje podświadomie, że ktoś na nich patrzy, ale Anna była pod tym względem wyjątkiem. Mogłem jej się przyglądać bez końca, a ona i tak tego nie zauważała. Sprawiała wrażenie osoby całkowicie pochłoniętej pracą, zajętej tym, co leżało na jej biurku. Mogła tak pracować bez końca, skupiona i przez cały czas w pełni skoncentrowana. Czasem jednak unosiła wzrok, a na jej twarzy pojawiał się uśmiech, jak gdyby chciała spytać: „Czy nie jest nam tu razem dobrze?”. Któregoś dnia, gdy wdałem się w konflikt z naszym beznadziejnym szefem, Anna stanęła po mojej stronie i wcale mi tego nie wypominała. Broniła mnie nie tylko przed nim, ale i przed całą grupą. Kiedy podziękowałem jej za wsparcie, wzruszyła ramionami, jakby chciała mi pokazać, że nie ma o czym mówić. Doszedłem do wniosku, że musiałem sobie czymś zasłużyć na taką lojalność, i denerwowało mnie, że nie wiedziałem czym.

Inną rzeczą, która podczas naszej wspólnej pracy zwróciła moją uwagę, był jej chorowity wygląd. Na początku myślałem, że jest z czegoś niezadowolona, ale z czasem okazało się, że jest po prostu smutna. Pewnego razu spytałem o ojca jej córki. W oczach Anny natychmiast pojawił się niezwykle, mroczny blask. Wymijająco i krótko odparła, że ten ktoś nigdy

nie był dla niej kimś ważnym. Domyśliłem się też, że na co dzień pomaga jej mama, o której nie wypadało rozmawiać, bo kiedyś została wykluczona z partii za brak lojalności. Czasem, gdy dzwoniła do naszego biura, po głosie Anny od razu można było poznać, że to jej matka. Za każdym razem Anna wychodziła z pokoju, żeby porozmawiać z nią bez świadków. Kiedy wracała, miała zaciśnięte usta. Po pięciu minutach następował wybuch, podczas którego rozładowywała na kimś emocje. Na firmowych imprezach upijała się bardziej od innych, stawiała się gadatliwa i trochę natarczywa. Do dzisiaj nie wiem, czy miała problemy z alkoholem czy raczej jakieś kłopoty życiowe.

Kiedy odszedłem z naszego wydziału, przestaliśmy się spotykać. Czasem widywałem ją na peronie, gdy czekała na kolejkę podmiejską. Za każdym razem miała na sobie zbyt obcisłą kurtkę, w rękach dźwigała wielkie torby.

Ani razu do niej nie podszedłem. Po tym, jak zrezygnowałem z udziału w jej projekcie, nasze stosunki uległy ochłodzeniu. Szczerze mówiąc, nigdy nie powinienem był wdawać się z nią w jakiegokolwiek dyskusję. Błędnie oceniłem tamtą sytuację. Anna spotkała mnie pewnego dnia na korytarzu i zaczęła opowiadać o nowym projekcie. Moja pierwsza myśl była taka, że nasz szef specjalnie go wymyślił, żeby się jej pozbyć. Uznałem, że pomysł jest z góry skazany na porażkę, a próba jego realizacji bez przydzielonego budżetu i jasnego celu oznacza po prostu zawodowe samobójstwo. Udział w projekcie wiązał się z koniecznością sporządzenia niezliczonej ilości kalkulacji finansowych i wykańczającej pracy przy biurku. Każdy zwykły człowiek mający choć odrobinę godności zawodowej od razu by odmówił, uznając projekt za niewykonalny. Każdy – z wyjątkiem Anny, bo ona naprawdę podjęła się jego realizacji. Pewnego dnia piliśmy kawę na stołówce. Po chwili Anna zaczęła mi opowiadać o wszystkich problemach, jakie mogą się pojawić podczas realizacji projektu i metodycznie darła na drobne kawałki papierowe serwetki, z których po pewnym czasie na brązowej tacy powstał stos białych płatków. Oczy iskrzyły się jej jak u pięciolatka, który zobaczył pierwszą choinkę w życiu.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że projekt może się zakończyć głośną klapą? – spytała z szerokim uśmiechem na twarzy. W takich momentach wyglądała naprawdę niezwykle. Czasem przypominała brzydką prostaczkę, ale gdy ogarniał ją entuzjazm, potrafiła być zachwycająca. Siedziałem z nią, przysłuchiwałem się, jak planuje swoje wielkie czyny, i czułem się jak dziecko, które bawi się w fantazyjne gry i oczekuje, że w każdej chwili zdarzy się coś niezwykłego – bo przecież wszystko jest możliwe. Nie można się było oprzeć jej entuzjazmowi, więc jej nie przerywałem, chociaż już podczas tamtej rozmowy wiedziałem, że nasze wspólne plany, które snuła, nigdy nie zostaną wdrożone. Potem serdecznie się pożegnaliśmy, każde z nas wsiadło do swojej kolejki i pojechaliśmy do domu. Muszę przyznać, że czułem się wtedy dość nieswojo. Wieczorem wysłałem jej maila, choć powinienem był jej odmówić od razu, podczas rozmowy. Wyjaśniłem jej, że nie zamierzam brać udziału w projekcie pozbawionym środków finansowych.

Sformułowałem to oczywiście w oględny sposób: napisałem po prostu, że nie czuję się kompetentny w tych sprawach (co nie było prawdą, choć tego nie musiała wiedzieć). Pomyślałem, że dzięki takiemu przedstawieniu powodów odmowy zranię ją mniej, niż gdybym powiedział prawdę. Tak czy inaczej, Anna odebrała moją wiadomość, bo nigdy więcej nie wróciła do tego tematu.

Zauważyłem jednak, że moja odmowa wywarła na niej pewne wrażenie.

Wydawało mi się, że przestała się mną interesować. Co prawda, nadal prowadziliśmy nasze pogaduszki przy automacie do kawy, ale przestała się do mnie uśmiechać tak szczerze i szeroko, jak przedtem. Od tej pory utrzymywała wobec mnie grzeczny dystans. Prawdopodobnie była rozczarowana faktem, że nie chcę z nią współpracować. I chociaż wiedziałem, że podjąłem słuszną decyzję, sposób, w jaki zaczęła mnie traktować, sprawił, że czułem się niezręcznie. Dlatego gdy zaproponowano mi pracę w Budynku F, od razu się zgodziłem. Przeniosłem się tam i poczułem ulgę, że nie muszę się z nią dłużej widywać.

Z czasem okazało się, że jej nie doceniałem. Ponieważ po mojej odmowie nie wspominała już o projekcie, uznałem, że z niego zrezygnowała. Tak się jednak nie stało. Wkrótce po moim odejściu dowiedziałem się, że poprowadziła go do końca i nie tylko spisała się nadspodziewanie dobrze, ale otworem stanęła przed nią także droga do Kyzył-kum. Dwa miesiące po moim odejściu do Budynku F Anna wyjechała wraz z niewielką grupą ekspertów, wybranych prawdopodobnie spośród pracowników innych wydziałów, na granicę dzielącą Turkmenistan i Uzbekistan. Ku zaskoczeniu wielu osób projekt zakończył się dużym sukcesem. Najpierw zrobiło się o nim głośno w internecie, potem doszło do większych przecieków. Nagle okazało się, że wszyscy wiedzą, kim jest Anna Francis. Ludzie zaczęli o niej rozmawiać, jak gdyby dobrze ją znali, nawet ci, którzy jej nie doceniali (wiem coś o tym). Im bardziej niepewna robiła się sytuacja w tamtym regionie, tym częściej mówiono o charytatywnym projekcie Anny. Spadało na nią coraz więcej pochwał. Jeden z pracujących dla publicznych mediów dziennikarzy pojechał na miejsce i nakręcił obszerny reportaż na temat obozu dla uchodźców w Kyzył-kum, w którym całą działalność koordynowała Anna. Dziennikarz towarzyszył jej podczas obchodu w obozie, gdy jechała dokądś dżipem, gdy pomagała dzieciom, szkolili wojskowych albo podawała lekarstwa. Filmował ją z pewnej odległości, kiedy negocjowała z uzbrojonymi po zęby partyzantami, albo z bliska, gdy dała jabłko jakiemuś biedakowi. Kiedy na spotkaniach zadawała trudne pytania, nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy odgrywała swoją rolę, dając dziennikarzom to, czego od niej oczekiwali, czy też naprawdę nie wiedziała, jak świetnie wpisuje się w ich opowieść. Kiedy stała na tle obozu z głową obwiązaną szalem (nie chciała prowokować lokalnej milicji), z wyrazistymi rysami twarzy, jasnymi włosami, przenikliwym spojrzeniem i niezwykłą, zdystansowaną powagą, przypominała archanioła. Połowa nakręconego materiału składała się z ujęć,

na których Anna rozgląda się ze zmarszczonym czołem po surowej okolicy, podczas gdy luźno zawiązany szal powiewa na wietrze. Lektor opowiadał pełnym podziwu głosem, jak niebezpiecznie jest mieszkać w Kzyżł-kum, jak wspaniały jest cały projekt i jego koordynatorka, Anna. Właśnie jej poświęcono w tym materiale najwięcej czasu. Można powiedzieć, że dziennikarz stworzył epos bohaterski. Wiedział, że musi przygotować coś, co spodoba się partii.

Po emisji reportażu Anna Francis zaczęła się pojawiać prawie wszędzie.

Jedna z wieczornych gazet umieściła ją na liście kandydatek do tytułu „Kobiet, które dźwigają na swych barkach Unię” pod hasłem „Głosuj na najbardziej inspirującą kobietę roku”. Anna dostała wiele głosów, chociaż dziwnym zrządzeniem losu zwyciężyła pewna księżniczka, która swój bezsensowny tytuł dziedziczyła od wielu lat. Przejrzałem minuta po minucie wszystko, co o niej napisano, oglądałem wszystkie programy telewizyjne na jej temat, przestudiowałem wszystkie ujęcia jej twarzy zarejestrowane przez kamery i aparaty fotograficzne, wiele razy poszukiwałem jej imienia i nazwiska. Byłem oczywiście pod wrażeniem tego, co zrobiła, ale nie chodziło mi tylko o to. Złapałem się bowiem na tym, że co jakiś czas zastanawiałem się nad jej wadami i porażkami, szukałem dowodu na to, że jej się nie powiodło, że zrobiła niewłaściwy krok, zdenerwowała kogoś albo przynajmniej stała się obiektem niewybrednego ataku w jakimś wstępniaku redakcyjnym lub podczas debaty. Zauważyłem też, że wiele czasu – głównie nocą, gdy nie mogłem zasnąć – spędzam na rozważaniu dylematu, czy nie popełniłem błędu, rezygnując z udziału w projekcie, do którego zaprosiła mnie Anna. I chociaż za każdym razem dochodziłem do tego samego wniosku (decyzja była słuszna), nie czułem się z tym najlepiej. Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki, uznałem, że to ja dokonałem słusznego wyboru, a nie ona. Mimo to dziwnym zbiegiem okoliczności to Anna wyszła z tego zwycięsko.

Moje zainteresowanie Anną wzrosło, gdy po odejściu z wydziału moja kariera zatrzymała się w miejscu. Wprawdzie w nowej pracy dostałem imponujący tytuł, wyższą pensję i tak dalej, ale okazało się, że przydzielono mi zwykłe czynności administracyjne – monotonne i często nudne. To, co uznałem za awans – bo tak potraktowałem przeprowadzkę do bardziej eleganckiego gabinetu – w praktyce okazało się odstawieniem mnie na bok.

Wylądowałem na końcu jakiegoś długiego, szarego korytarza. Kiedy dopominałem się o bardziej stymulujący zakres obowiązków, więcej odpowiedzialności i decyzyjności, moja szefowa uśmiechała się do mnie obojętnie i udzielała mi wymijających odpowiedzi. Domyśliłem się więc, że nie zamierza z tym nic robić. Świadomość, że zatrzymałem się w rozwoju, nachodziła mnie zaskakująco często. Dawniej piąłem się regularnie i dostawałem różne propozycje, zarówno z kręgów cywilnych, jak i wojskowych. Ciężko pracowałem i wiedziałem, że mi się to opłaci. I nagle wszystko stanęło w miejscu, a ja odczuwałem coraz większe niezadowolenie.

Najpierw zacząłem przybierać na wadze, a gdy przeglądałem się w lustrze,

zauważyłem, że moje rysy twarzy stopniowo się rozmywają. Zacząłem się coraz bardziej zaokrąglać, linia podbródka zlała mi się z szyją, a szyja z ramionami. Nie zauważyłem, że coraz częściej jeżdżę do pracy samochodem i coraz więcej wieczorów spędzam w domu. W końcu prawda do mnie dotarła i postanowiłem wziąć się w garść – zacząłem biegać.

Każdego wieczoru pokonywałem w mojej dzielnicy coraz większy dystans.

Samotne wieczory spędzałem ze słuchawkami na uszach. Biegłem przez ciemne, puste osiedla i tylko z rzadka spotykałem na swej drodze pojedyncze osoby z psem albo grupki młodzieży popalające papierosy na skraju lasu. Co jakiś czas mijał mnie samochód, którego reflektory rozświetlały ciemność i przebijały się przez słaby blask ulicznych latarni. Zrzuciłem trochę kilogramów, odzyskałem dawną figurę i zacząłem się zastanawiać nad tym, co jem. Studiowałem przepisy kulinarne, liczyłem kalorie i kupowałem zdrową żywność, a menu planowałem na cały tydzień. Ważyłem się i mierzyłem na wszelkie możliwe sposoby. Kupiłem wagę, która wyliczała zawartość tłuszczu w organizmie, liczyłem uderzenia serca i wilgotność powietrza, sporządzałem dokładne tabele i wykresy, aż w końcu stwierdziłem, że jestem w lepszej formie niż w czasie służby wojskowej.

Było mi z tym dobrze do momentu, gdy zreflektowałem się, że tak naprawdę nic mi to nie dało. Bez względu na to, ile kilometrów przebiegłem, nadal siedziałem w tym samym gabinecie na tym samym korytarzu. Od kiedy wyszedłem z wojska, nastawiłem się całkowicie na minimalizację ryzyka w sprawach, które wymagały mojego osobistego zaangażowania. Unikałem zbytniej zażyłości z sąsiadami i kolegami w pracy, utrzymywałem wobec nich dystans, nie trzymałem zwierząt domowych, nie założyłem rodziny i nie robiłem niczego, co mogłoby ograniczać moją swobodę i przeszkadzać mi w robieniu tego, na co miałem ochotę. Zarabiałem wystarczająco dużo, aby zapłacić za sprzątanie mieszkania (na czarno), stać mnie było na świeże owoce, gotowe jedzenie i własny generator prądu, który sam się włączał, gdy dochodziło do awarii albo przerwy w dostawie. Co jakiś czas pozwalałem sobie nawet na kupno zachodniego alkoholu. Żyłem wygodnie, za wszelką cenę unikałem konfliktów. Byłem niezależny, niezwiązany, nie miałem specjalnych oczekiwań ani zobowiązań, które by mnie w czymś ograniczały.

Mogłem pracować tyle, ile chciałem, poświęcać na swoje hobby dowolne weekendy i nikt przeciwko temu nie protestował. Wydawało mi się, że znalazłem idealny sposób na życie. I nagle poczułem, że mi to nie wystarcza.

Doszedłem do wniosku, że ktoś mnie szukał. Nie wiedziałem tylko kto.

I właśnie wtedy odebrałem telefon w sprawie udziału w projekcie RAN. Propozycja wydała mi się interesująca już w czasie pierwszej rozmowy (zadzwoił do mnie sekretarz, który odgrywał ważniaka). Od dawna czekałem na taką okazję, chociaż sam o tym nie wiedziałem. Kiedy Anna zaoferowała mi miejsce w swoim „pociągu”, odmówiłem. Teraz, obserwując z mojego nudnego peronu jej głośny triumf, postanowiłem, że drugi raz nie

popelnę tego samego błędu i jeśli na stację wtoczy się taki sam pociąg, na pewno do niego wsiądę. Podczas wspomnianej rozmowy telefonicznej uzgodniłem termin spotkania i kilka dni później wybrałem się do pewnej pięciogwiazdkowej restauracji. Założyłem najdroższy garnitur, kupiony za granicą, z nadzieją, że wzbudzi szacunek mojego rozmówcy. Sekretarz przyjął mnie w specjalnej salce dla VIP-ów i nie pytając o zdanie, złożył zamówienie.

– A więc jest pan zainteresowany – zaczął.

Było to stwierdzenie faktu, co trochę mnie zdziwiło, bo nadal nie wiedziałem, o co dokładnie chodzi.

– Zdecydowanie tak – odparłem. – Mam jednak nadzieję, że podczas tego spotkania dowiem się czegoś więcej.

Sekretarz zrobił taką minę, jakby uważał, że nie będzie to potrzebne, ale odparł:

– Jak już wspomniałem przez telefon, jest to zlecenie jednorazowe.

Weźmie pan udział jako obserwator w niezwykle ważnym procesie rekrutacyjnym. Więcej nie mogę powiedzieć, chyba że wyrazi pan zgodę na udział. Projekt jest ściśle tajny, realizowany w izolowanym miejscu i w zamkniętej grupie. Będziemy współpracować z tajnymi agentami, w niektórych momentach sytuacja może być niezwykle... hm... powiedzmy niezwykle stresująca. Chcielibyśmy umieścić pana w tej grupie w charakterze czynnika stabilizującego, który w krytycznej fazie operacji udzieli pomocy i wsparcia. Jeśli sytuacja ulegnie zmianie, trzeba będzie interweniować.

Zapoznałem się z pańskimi aktami osobowymi i zdobyłem pełen wgląd w przebieg pana służby wojskowej. Uważamy, że ma pan wysokie kompetencje. Będzie pan miał z nich pożytek, a my będziemy mieli pożytek z pana.

Poczułem się trochę rozczarowany tymi wyjaśnieniami. Myślałem, że otrzymam propozycję pracy w Kancelarii, a może nawet w tajnych służbach operacyjnych. Tymczasem zaproponowano mi jednorazowy udział w jakiejś niejasnej misji. Nie na to liczyłem.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie bardzo rozumiem, jaka będzie moja rola.

O co tu chodzi?

Sekretarz wyjął kopertę i podał mi ją. Spojrzałem na niego pytającym wzrokiem, jakbym prosił o pozwolenie. Sekretarz skinął głową.

– Proszę ją otworzyć – powiedział.

Zrobiłem to i wyjąłem z koperty plik dokumentów. Na pierwszy rzut oka przypominały CV. Odwróciłem je i w lewym górnym rogu pierwszej kartki zobaczyłem paszportowe zdjęcie znanej mi osoby.

Anny Francis.

Anna

Kiedy Henry stanął na ostatnim szczeblu drabiny, z pewnością zauważył zdumiony wyraz mojej twarzy, bo gdy spojrzeliśmy sobie w oczy, pokręcił głową. Mimo to od razu zrozumiałam, co chciał mi zasygnalizować: udawaj,

że się nie znamy. Potem, uprzedzając moją reakcję, na wypadek gdybym tego ostrzeżenia nie zrozumiała, zrobił krok w moją stronę i przedstawił się z imienia i nazwiska, jakbyśmy dopiero teraz się poznali. Lekko zdumiona poszłam za jego przykładem. Moim pierwszym odruchem było uczucie wdzięczności. Z przyczyn, których nie potrafiłabym ująć w słowa, poczułam się nagle tak, jakbym przez samo przyznanie, że z Henrym znamy się z dawnych czasów, obnażała się zarówno przed Przewodniczącym, jak i przed sekretarzem. Dopiero później uświadomiłam sobie, że obaj i tak wiedzą, że się znamy, bo przecież kiedyś pracowaliśmy razem w tym samym wydziale i choćby z tego powodu nasze zachowanie mogło ich zdziwić.

Potem zadałam sobie bardziej niepokojące pytanie: jeśli obaj wiedzą, że się znamy, a mimo to kazali mi to przed wszystkimi ukryć, to co Henry tutaj robi?

Kiedy weszliśmy do budynku, sekretarz rozdał nam klucze do naszych pokojów. Mój znajdował się na samym końcu korytarza na piętrze, tuż obok pokoju Katji. Znalazłam w nim torbę. Poproszono mnie, abym się do niej na wszelki wypadek spakowała, bo pozostawione przeze mnie rzeczy osobiste mogłyby wzbudzić czyjeś podejrzenia. Moja własna walizka, do której zapakowałam głównie ubrania i bieliznę, czekała na mnie na Poziomiu Strategicznym. Drzwi zostawiłam uchylone, żeby słyszeć innych. Do pomieszczenia naprzeciwko mnie wprowadził się mężczyzna, który wyglądał jak prezes firmy. Kiedy sekretarz wszedł do jego pokoju, aby wziąć od niego telefony, komputer i inny sprzęt służący do kontaktowania się ze światem, usłyszałam, że mężczyzna skarży się na standard pokoju. Sekretarz zaczął się usprawiedliwiać pokornym głosem, zupełnie innym od tego, którego używał w rozmowach ze mną. Tłumaczył się przed nim nie tylko z powodu warunków, ale także dlatego, że mężczyzna musiał mu oddać do depozytu swoje rzeczy osobiste. Następnie sekretarz wszedł do mojego pokoju.

Oddałam mu prywatny telefon.

– Za kwadrans zbiórka w salonie. Jest pani gotowa? – spytał.

– Myślę, że tak – odparłam. – Zresztą teraz i tak nie mam innego wyboru, prawda?

Sekretarz nie odpowiedział na moje pytanie.

– Do zobaczenia za kwadrans – powtórzył, po czym wyszedł i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

I znowu zostałam sama. Nie bardzo rozumiałam, dlaczego mój sąsiad tak się skarżył. Pokój nie był wprawdzie luksusowy, ale na pewno świeżo po remoncie, elegancki i czysty. Choć wyposażenie było proste, to wysokiej jakości. Fotele obciąpane owczą skórą, materiały ze Svenskt Tenn, eleganckie stoliki z drogiego błyszczącego drewna. Nic nie było tu tanie albo przypadkowe. W lodówce znalazłam wodę mineralną, orzechy, czekoladę i buteleczki wina i wódki znanych krajowych i zagranicznych marek.

Z całego wyposażenia emanowało jasne przesłanie: klasa i pieniądze. Każdy z tych mebli kosztował więcej niż całe wyposażenie domu przeciętnej rodziny w Kyzyl-kum – a może nawet cały dom. Podeszłam do okna i

spojrzałam na dwór. Tuż za naszym budynkiem skały opadały stromo, do samego morza. Brzegu po lewej stronie nie było widać, za to po prawej zauważyłam kawałek plaży, która znajdowała się w czymś w rodzaju wąwozu. Trochę dalej wznosiły się granitowe skały w kształcie siekaczy.

Przypomniała mi się zatoka, którą widziałam na mapach wyspy, i to, co powiedział sekretarz, a mianowicie, że gdy nie wieje, można tam wpłynąć łodzią. Za to przy silnym wietrze łatwo rozbić się o skały. Wyspa była tak mała, że nie było dokąd pójść, a tym bardziej się ukryć. Zdjęłam mokre buty i postawiłam je przed kominkiem, w którym trzaskał ogień. Położyłam się na nakrytym kremową narzutą łóżku i zaczęłam przypatrywać się ścianie.

Miałam nadzieję, że uda mi się znaleźć kamery i ukryte otwory. Przy suficie biegła ciemna listwa dekoracyjna, w której bez trudu można by taką małą kamerę zamocować. Trudniej było znaleźć otwory w ścianie, ale w końcu mi się udało: małe czarne dziurki w dolnej części obrazka. Wstałam z łóżka, podeszłam do ściany i zajrzałam przez otwór, ale w środku była tylko ciemność. Wyobraziłam sobie, że stoi tam sekretarz i bladymi oczami nocnego zwierzęcia zagląda do mojego pokoju. Wróciłam na łóżko, przeciągnęłam dłonią po narzucie i zaczęłam się zastanawiać nad sytuacją, w której się znalazłam. Trochę mnie zmartwiło, że Henry jest na wyspie.

Utrzymywanie pewnych faktów w tajemnicy przed uczestnikami projektu i odgrywanie teatru to jedna rzecz. O wiele trudniej jest robić coś takiego w obecności kogoś, kogo się zna. Najbardziej niepokoiła mnie jednak inna kwestia, a mianowicie, po co Henry tu przyjechał. Czy on też jest jednym z kandydatów? Dochodziły mnie sygnały, że całkiem dobrze sobie radzi na nowym stanowisku. Czy jednak na tyle, aby jego ewentualny akces do RAN brać na poważnie? Nie mogłam uporządkować myśli, a im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiałam, tym większy odczuwałam niepokój. W końcu wstałam z łóżka, wyjęłam z walizki parę butów, uczesałam się i zeszłam do salonu.

Większość osób już tam była. W jednym rogu pokoju stała Franziska Scheele i rozmawiała z mężczyzną z pokoju położonego naprzeciwko mojego.

W drugim rogu na kanapie siedział wspomniany starszy mężczyzna, który rozmawiał z Katją. Henry zajął stojące obok krzesło i co jakiś czas przytakiwał im z zainteresowaniem głową. Kiedy weszłam, nawet na mnie nie spojrzał. Zatrzymałam się przy drzwiach, popatrzyłam na osoby zebrane w pokoju, a potem uważnie obejrzałam ścianę. Próbowałam zlokalizować miejsce, w którym niedawno stałam, zaglądając do środka przez otwór.

W pewnej chwili usłyszałam za sobą kroki na schodach, a gdy się odwróciłam, ujrzałam sekretarza w towarzystwie Przewodniczącego.

Schodzili razem, rozmawiając z jakąś kobietą w moim wieku.

Przewodniczący i sekretarz zatrzymali się na środku salonu, kobieta stanęła trochę dalej. Na ich widok rozmowy od razu ucichły, wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Przewodniczący chrząknął.

– Serdecznie państwa witam! W imieniu pana ministra chcę powiedzieć, że bardzo się cieszymy, iż wszyscy państwo zgodziliście się tu przybyć, aby wziąć udział w pierwszym etapie procesu rekrutacyjnego. Od razu omówię nasz plan, ale zanim zacznę, mam pewną prośbę: proszę nie rozmawiać ze sobą o tym, dlaczego się tu znaleźliście! Brzmi to może trochę dziwnie, ale zapewniam, że mamy powody zwracać się do was z taką sugestią. Całkowita dyskrecja ma rozstrzygające znaczenie dla powodzenia tego projektu, więc jeszcze raz powtórzę: proszę o nim nie rozmawiać.

Przewodniczący obrzucił nas ufnym spojrzeniem, jakby chciał się upewnić, czy się z nim zgadzamy, i po krótkiej chwili podjął swoje wystąpienie na nowo:

– Poza tym macie państwo całkowitą swobodę, możecie się bliżej poznać.

Wszyscy jesteście barwnymi postaciami, każde z was ma wiele do opowiedzenia, więc sądzę, że będziecie się dobrze czuli we wspólnym towarzystwie. Zacznę od krótkiej prezentacji. Reszty dowiecie się podczas kolacji.

Przewodniczący odwrócił się do sekretarza, który zabrał głos: – Zaczniemy od osoby, której chyba nie muszę przedstawiać, bo wszyscy znamy ją z telewizji. Pani Franziska Scheele!

Franziska zrobiła krok do przodu i szeroko się uśmiechnęła – do wszystkich i do nikogo. Widać było, że jest przyzwyczajona do publicznych wystąpień.

Sekretarz opowiadał przez chwilę o jej sukcesach, a gdy przeszedł do prezentacji mojego sąsiada z naprzeciwka, zrobił to w tak zagmatwany sposób, że niewiele się o nim dowiedziałam. Jon von Post należał do najbogatszych ludzi w kraju, a majątek zrobił na tanich plastikowych meblach. Jego firma była jedną z największych i najbardziej zyskownych w Szwecji. Dzięki sukcesowi przez pewien czas plasował się na publikowanych przez gazety listach najbogatszych i najbardziej podziwianych osób w kraju. Pewnego dnia niespodziewanie zlikwidował niektóre swoje firmy i z tego, co wiem, od tamtej pory zasiada jedynie w kilku zarządach. Krążyły nawet pogłoski o jakimś skandalu z jego udziałem. Teraz, gdy obserwowałam go z bliska, nie wydawało mi się to aż tak niemożliwe. Wprawdzie ubrany był elegancko, ale pod warstwą opalenizny wyglądał na znużonego i wyczerpanego. Od czasów gdy pisano o nim na pierwszych stronach, przytył przynajmniej dwadzieścia kilogramów. Jakieś dziesięć z nich odłożyło mu się na twarzy, która miała niepokojący fioletowo-czerwony kolor. Post uniósł dłoń i pozdrowił wszystkich. Zrobił to jednak tak sztywno, jakby pozdrowiał kogoś, kogo przed chwilą minął na ulicy.

– Kolejna osoba, którą chciałbym państwu przedstawić, to Katerina Ivanovitj – kontynuował sekretarz. – Jest tu jedyną osobą, która nie ubiega się o pracę, tylko jest w pracy, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Przyjechała tu dla was, bo macie spędzić na wyspie kilka dób w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego.

– A ja zupełnie nie rozumiem, dlaczego ta izolacja jest aż tak konieczna –

przerwała mu Franziska. Słowa te wypowiedziała tonem osoby, której płacą za przerywanie innym.

Sekretarz spojrział nerwowo na Przewodniczącego, a ten od razu podjął wątek:

– Droga Franzisko, z pewnością pani wie, jak bardzo cenimy pani poglądy, ale czy mogę prosić o odrobinę zaufania? Tylko tym razem. Przynajmniej ze względu na mnie.

Przewodniczący rozłożył ręce i uśmiechnął się do niej ujmująco.

Pomyślałam, że jest w tym dobry, bo zawsze wie, czego komu potrzeba.

Właśnie przed chwilą zdołał przekonać Franziskę, że oboje dobrze wiedzą, iż wspólna zabawa z innymi dorosłymi osobami w obóz jest śmieszna, ale niestety takie obowiązują zasady, którym trzeba się podporządkować.

Metoda okazała się skuteczna. Franziska wzruszyła lekko ramionami, popatrzyła na niego miłościwym spojrzeniem i sekretarz mógł kontynuować prezentację Katji.

– Jak już powiedziałem, lekarza ściągnęliśmy tu przez wzgląd na państwa bezpieczeństwo. W podziemiach budynku znajduje się punkt medyczny. Jest tam też radiostacja, za pomocą której można się komunikować ze światem.

Jeśli pojawią się jakieś problemy, spróbujemy je najpierw rozwiązać we własnym zakresie, ale gdyby przytrafiło się nam coś poważnego, Katerina będzie mogła ściągnąć pomoc. Wiadomo jednak, że nie chodzi tu o wspinaczkę wysokogórską, więc... Tak czy inaczej, warto wiedzieć, że Katerina jest jedną z naszych najbardziej zaufanych osób, które od samego początku współpracują z nami przy realizacji projektu RAN.

Katja zrobiła zawstydzoną minę, podczas gdy sekretarz przystąpił do prezentacji kolejnej osoby. Pułkownik Per Olof Ehnmark miał tyle zasług, że samo ich wyliczanie zabrało sekretarzowi trochę czasu. Tajne służby podczas pierwszej i drugiej zimnej wojny, praca za granicą, misje wojskowe w różnych krajach... Słuchałam tego jednym uchem, bo przez cały czas obserwowałam pułkownika, próbując dopatrzeć się w nim cech, o których wspominał sekretarz. Już wiedziałam, że to on zajmie pokój na parterze i za pół doby znajdzie mnie martwą.

– Przejdę do prezentacji kolejnej osoby. Pan Henry Fall – powiedział sekretarz, przerywając mi rozmyślenia. – Jego prace o tematyce psychologiczno-strategicznej są w naszej organizacji bardzo wysoko cenione.

Henry stał nieruchomo. Na jego twarzy błąkał się typowy dla niego neutralny uśmiech, podczas gdy sekretarz opowiadał o jego ostatnich zasługach. Teraz, gdy wszyscy na niego patrzyli, ja też mogłam mu się dokładniej przyjrzeć. Ostatni raz widziałam go prawie dwa lata temu.

Wyglądał jak zawsze, tylko włosy mu trochę posiwiały, a pod oczami pojawiły się czarne cienie. Sekretarz chrząknął i przeszedł do dalszej prezentacji:

– *Last but not least...* Niektórzy z państwa na pewno znają Annę Francis.

Sekretarz spojrział na mnie, a ja spuściłam wzrok. Wychwalał moje zasługi

dla Unii związane z projektem w Kyzył-kum i chyba tylko ja wiedziałam, że przez cały czas wypowiadał się o mnie w ironiczny sposób. Kiedy skończył, uniosłam wzrok, żeby sprawdzić, jak na jego słowa zareagowały poszczególne osoby. Pułkownik przyglądał mi się z sympatią, podczas gdy Franziska demonstracyjnym ruchem odwróciła głowę. Henry stał ze wzrokiem wbitym w sekretarza.

– Myślę, że na tym prezentacja dobiegła końca – powiedział, splatając dłonie.

– Nie do końca.

Wszyscy spojrzeli w kierunku kanapy, na której siedziała kobieta w średnim wieku. Ubrana była w wygodne buty. Wstała z kanapy i powiedziała:

– Przedstawię się sama, bo chyba pan o mnie zapomniał. Nazywam się Lotte Colliander. A może zostałam wykluczona z grupy i powinnam wrócić do domu?

Lotte roześmiała się głośno, ale zabrzmiało to jak szczekanie psa.

Sekretarz spojrział bezradnym wzrokiem na Przewodniczącego, a potem obaj zaczęli Lotte na wyścigi przeproszać. Oczywiście nie chcą, żeby wróciła do domu, i jest im bardzo przykro, że pominieli ją podczas prezentacji uczestników projektu. Lotte robiła dobrą minę do złej gry, jak gdyby nic wielkiego się nie stało, ale czerwone plamy, które wykwitły jej na twarzy, wskazywały na to, że jest wściekła i czuje się poniżona. Lista jej zasług robiła wrażenie: specjalistka od rekrutacji personelu, dyrektorka działów personalnych w kilku wielkich firmach, doktoraty z ekonomii przedsiębiorstw i psychologii, stopień wojskowy. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś był tak dobry w tylu dziedzinach.

– Mam więc nadzieję, że mimo wszystko pozostanie pani z nami w tej fazie projektu i wybaczy panu sekretarzowi jego niezręczność. Czasem mu się zdarza, że zbyt szybko przechodzi od jednej sprawy do drugiej – zakończył swoje wystąpienie Przewodniczący. Sekretarz, który stał tuż za nim, aż się wzdrygnął na dźwięk tych słów, jak gdyby ktoś smagnął go batem.

Lotte skinęła głową i usiadła bez słowa na kanapie, ale gdy Przewodniczący przestał na nią patrzeć, zdecydowanym ruchem skrzyżowała ręce na piersi.

– W takim razie przejdźmy do planu zajęć na najbliższą dobę.

Sekretarz sięgnął po stos czarnych teczek z naszymi nazwiskami i zaczął je nam wręczać, podczas gdy Przewodniczący podjął przerwany wątek: – Wszystkie ważne szczegóły znajdziecie państwo w teczkach, które trzymacie w rękach. Dokumenty są przeznaczone wyłącznie dla was, więc proszę ich nigdzie nie zostawiać. Jutro podzielimy was na grupy i będziecie wykonywać różne ćwiczenia. Większość z nich ma charakter akademicki.

Niektóre są bardziej konkretne, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Szczegóły znajdują się w teczkach. Resztę dnia możecie przeznaczyć, by się poznać.

Może się wam to przydać na pozostałych zajęciach, więc wykorzystajcie

tę okazję. Wieczorem zjecie razem kolację. Jedzenie i napoje znajdują się w kuchni na parterze i w przylegającej do niej piwniczce na wino. W kuchni jest też jedzenie na następne dni. Zapewniam, że pod względem kulinarnym naprawdę staraliśmy się państwu dogodzić. Nikt nie wyjedzie stąd głodny, ale gotowaniem zajmiecie się sami. Potraktujcie to jako test na współpracę.

A teraz – Przewodniczący zwrócił się do sekretarza – czas na nas. Wracamy na ląd.

Nie poszłam na pomost, chociaż inne osoby tak zrobiły, tylko zostałam w salonie. Przez okno obserwowałam, jak Przewodniczący, Franziska i Post idą w kierunku drabiny zamontowanej przy pomoście. Bazując na dotychczasowych informacjach, wyciągnęłam wniosek, że oboje nadal są niezadowoleni z warunków w pokojach. Franziska szła w swoich czarnych butach na obcasach. Bałam się, że w którymś momencie wiatr uniesie ją z ziemi i porwie gdzieś nad morze. Za wymienioną trójką szedł sekretarz w towarzystwie Katji. Nigdzie nie zauważyłam pułkownika ani obraźliwej dyrektorki od HR.

– A więc tutaj jesteś.

Nie słyszałam, jak Henry do mnie podszedł. Instynktownie się do niego odwróciłam. Obrzucił mnie swoim zwykłym, nostalgicznym spojrzeniem.

– Widzę, że ciebie też przekonali do udziału w projekcie. Dawno się nie widzieliśmy! Jak leci?

Henry zignorował moje grzecznościowe formułki.

– Myślę, że nikt nie powinien wiedzieć, że się znamy – powiedział.

Wsunął dłonie do kieszeni spodni i spojrzał przez okno, przy którym stałam tyłem. Jego twarz nadal niczego nie wyrażała. Przemawiał do mnie typowym dla siebie tonem, jakbyśmy rozmawiali o niczym.

– Dlaczego nie?

– Takie rozwiązanie będzie dla nas bardziej korzystne. Nie sądzisz?

– Czemu tak uważasz?

Henry roześmiał się, ukazując rząd równych białych zębów.

– Nigdy nie bawiłaś się w gry strategiczne? Ich podstawą są tajne sojusze.

– A więc mamy zawrzeć tajny sojusz?

– Chyba tak – odparł Henry, spoglądając mi prosto w oczy.

Pewnego dnia, kiedy byłam dziewczynką, dostałam od Nour widokówkę.

Pokryta błyszczącą powłoką kolorowa kartka przedstawiała parasol plażowy.

Jeśli się nią poruszyło, ukazywał się na niej wesoły kotek w słonecznych okularach, który siedział pod parasolem, z łapką uniesioną w geście pozdrowienia. Henry był jak ta widokówka: wystarczyło nim lekko poruszyć i od razu ukazywał się zupełnie inny człowiek, który nie za bardzo pozwalał sobą sterować. Taki Henry objawiał się tylko na krótko, jeśli ktoś zdołał uchwycić ten jego inny wizerunek w odpowiednim momencie i pod właściwym kątem. I tak jak dawniej, gdy co jakiś czas pokazywał drobny okruczeństwo swojej prawdziwej, ukrytej tożsamości, poczułam się tak, jakby to nie

były słowa, tylko delikatne muśnięcia motyli skrzydeł o skórę.

– A może mi nie ufasz? – spytał Henry, odwracając się znowu do okna.

Poczułam suchość w ustach. Przez chwilę stałam w milczeniu i zastanawiałam się, jak odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

– Owszem, ufam ci – odparłam po kilku sekundach.

– W takim razie właśnie zawarliśmy tajny sojusz – skomentował moje słowa Henry tym samym swobodnym tonem, jakby sam nie wiedział, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Okej – odparłam, unosząc kciuk. Henry roześmiał się, popatrzył na mnie badawczym wzrokiem i zrobił to samo. W ten właśnie sposób świętowaliśmy uroczystie przez kilka sekund fakt zawarcia tajnego porozumienia, po czym Henry włożył rękę do kieszeni i znowu zaczął wpatrywać się w okno. Stałam obok niego i rozmyślałam o rzeczach, o których i tak bym mu nigdy nie powiedziała. W końcu nie wytrzymałam i spytałam go wprost: – A co ten tajny sojusz dla nas oznacza?

Henry nadal stał nieruchomo i patrzył przez okno, ze wzrokiem wbitym w szare morze. Obserwowaliśmy, jak łódź z Przewodniczącym i sekretarzem odbija od pomostu i płynie w powrotną drogę.

– Zobaczymy – odparł Henry. – Już wkrótce.

Przeprosiłam go i wróciłam do swojego pokoju. Położyłam się w butach na łóżku i zaczęłam się gapić w sufit. Po rozmowie z Henrym moja sytuacja skomplikowała się bardziej, niż mogłam przypuszczać. Wiedziałam, że powinnam trzymać się od Henry'ego jak najdalej, ale byłoby to dość trudne, a może nawet niemądre. To, co powiedział o sojuszu, zawierało jakiś ukryty sens. Jeśli więc miałam wystąpić w roli godnego zaufania sojusznika, powinnam zacząć grać w tę jego grę. W jego zachowaniu dostrzegłam też coś, co kazało mi się zachować jak rozpieszczone dziecko, które wkłada spodnie na głowę i tańczy, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

Uświadomiłam sobie, że od czasu, gdy wysłał mi tamtego dziwnego maila, tak właśnie było z Henrym. Po każdej naszej rozmowie wszystko, co robiłam i mówiłam, poddawałam samokrytycznej analizie. Czy mój głos nie brzmiał odpychająco? Czy miałam zadowoloną minę? Czy nie palnęłam czegoś głupiego w rozmowie? W jego obecności nie umiałam się normalnie zachować, bo nie byłam pewna, jak mnie postrzega. A może nigdy tego nie wiedziałam i dlatego nie mogłam przestać o nim myśleć?

Wzięłam teczkę, którą dał mi sekretarz, i ją otworzyłam. W środku znalazłam czterdzieści czystych kartek. Patrzyłam na nie i zastanawiałam się, co zawierają te czki pozostałych uczestników testu. Wyjęłam z torebki długopis i zanotowałam wszystko, co zapamiętałam z materiałów, które dał mi do przeczytania sekretarz. Uzupełniłam to o wnioski z obserwacji poczynionych przeze mnie na wspólnym popołudniowym spotkaniu.

Wyteżyłam umysł, aby przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów i zachować je w pamięci: tonację głosu kandydatów, ich spojrzenia i moje własne oceny na temat tego, co się do tej pory wydarzyło. Podczas robienia

notatek uświadomiłam sobie dwie rzeczy: po pierwsze – jak bardzo ci wszyscy ludzie do siebie nie pasują. Wcześniej też ich tak postrzegałam, ale teraz dotarło to do mnie o wiele wyraźniej. Zarówno Przewodniczący, jak i sekretarz bardzo ostrożnie wypowiadali się o stanowisku, którego dotyczyła rekrutacja. Prawdę mówiąc, nie mogłam sobie wyobrazić, o jakie stanowisko nasi kandydaci mogliby się ubiegać. Dziennikarka z telewizji, emerytowany wojskowy, prezes firmy czy specjalistka od HR, która biega maratony...

Dopiero później udało mi się znaleźć wspólny dla wszystkich mianownik.

Przy okazji okazało się, że i Henry pasuje do tej układanki. To skierowało moje myśli na inny tok rozumowania: wśród materiałów, które sekretarz dał mi do zapamiętania, nie znalazłam nic na temat Henry'ego. Żadna informacja nie pasowała też do jego profilu osobowego. Innymi słowy, nie dowiedziałam się o nim niczego więcej niż to, co już wiedziałam. Wprawdzie stanowiło to dla mnie problem, ale najbardziej nurtowało mnie inne pytanie, a mianowicie: o co w tym wszystkim chodzi? Czy Henry włączył się do projektu później niż inni? Czy istnieje jakiś szczególny powód? Dlaczego nie przekazano mi informacji o wszystkich uczestnikach testu? Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Na samym dole notatki o Henrym dopisałam dwa zdania: „Kim jest Henry? Co tu robi?” i podkreśliłam je grubą kreską.

Kilka razy dokładnie przeczytałam to, co zapisałam, a potem spaliłam kartki w kominku. Popiół zebrałam, wrzuciłam do sedesu i dokładnie wyczyściłam kratę w kominku. Sekretarz wyraźnie to podkreślał: nie wolno pozostawić śladów, które mogłyby narazić całą operację na szwank.

Henry

Kiedy wspiałem się po drabince i na skutym mrozem trawniku przed budynkiem zobaczyłem Annę, doznałem szoku. Od naszego ostatniego spotkania postarzała się o dziesięć lat. Kiedyś była szczupła i miała jasną skórę, teraz miałem przed sobą wychudzoną kobietę z przezroczystą cerą.

Skóra na jej głowie wyglądała tak, jakby ją ktoś naciągnął. Rysy twarzy – kiedyś tak charakterystyczne – teraz wyglądały jak wyciosane w drewnie.

Widać było, że do Kzyżł-kum nie pojechała na urlop wypoczynkowy.

Przeciwnie, odniosłem wrażenie, że ten pobyt drogo ją kosztował. Anna nie wyglądała na wyczerpaną, tylko na zniszczoną, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Po jej minie poznałem, że się mnie tu w ogóle nie spodziewała, ale dałem jej jakoś do zrozumienia, że nie powinniśmy się przyznawać do znajomości.

Anna w ułamku sekundy opanowała zaskoczenie i oficjalnie się ze mną przywitała. Uścisnąłem ostrożnie jej cienką, zimną dłoń i poczułem się tak, jakbym zgniatał garść suchych gałęzi. Wymieniliśmy też kilka uprzejmości.

Kątem oka zauważyłem, że sekretarz uważnie obserwuje całą tę scenę. Kiedy ruszyliśmy w kierunku budynku, Anna została z tyłu. Zrobiła to w taki sposób, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Ciągnąłem za sobą walizkę z rzeczami i musiałem się bardzo starać, żeby nie odwrócić głowy i nie spojrzeć na nią. Budynek zrobił na mnie odpychające wrażenie, a gdy

podeszliśmy bliżej, przeszedł mnie dreszcz. Wchodząc po schodach, udałem, że mam jakiś kłopot z walizką, dzięki czemu mogłem się odwrócić i zerknąć za siebie. Niebo i morze zlały się ze sobą, tworząc jedną masę w różnych odcieniach szarości. Łódź przy pomoście podskakiwała na spienionych falach. Pomyślałem, że ten, kto ją prowadził, przybił do brzegu w głupim miejscu. Łódź uderzała kadłubem o pomost, a uderzenia słychać było aż na schodach budynku.

Anna ubrana była w swoją czarną skórzaną kurtkę. Minęła mnie i ruszyła ścieżką w górę. Przeszliśmy obok niskich krzewów, które na trawniku posadził chyba człowiek o wyjątkowo nieczułym sercu. Nie wiem, czy komuś chodziło o to, aby urządzić tu coś w rodzaju tarasu, ale jeśli tak, to pomysł był niedorzeczny. W takim miejscu nikt nie czuje się dobrze.

Chłodny poryw wiatru uderzył we mnie, gdy byłem już na schodach. Anna, która wchodziła po zboczu, lekko się zachwiała. Przed przyjazdem przez kilka tygodni śledziłem prognozy pogody. Chciałem ustalić najbardziej optymalne dni, ale w końcu dałem sobie spokój. Ustalenie pogody na kolejne dni okazało się niemożliwe, bo warunki zbyt szybko się zmieniały.

W przedpokoju dostałem od sekretarza klucz do pokoju. Wszedłem na piętro, otworzyłem drzwi i od razu zacząłem rozpakowywać walizkę.

W chwili gdy skończyłem, do pomieszczenia wszedł sekretarz. Nawet nie zapukał.

– Zbiórka za dziesięć minut. Proszę zejść i zachowywać się jak najuprzejmiej. Proszę nie wzbudzać podejrzeń, niech nic nie ujdzie pańskiej uwadze.

Chciałem spytać, jak się czuje Anna, i powiedzieć, że jej obecność wzbudziła we mnie pewien niepokój, ale nie zdążyłem, bo sekretarz od razu wyszedł z pokoju.

Ceremonia prezentacji poszczególnych osób odbyła się na parterze i nie była zbyt interesująca. Zauważyłem, że sekretarz nie wymienił mojego stopnia wojskowego, ale domyśliłem się, że wolał nie ściągać na mnie powszechnej uwagi, bo inni mogliby mnie uznać za groźnego konkurenta.

Jedyną godną uwagi rzeczą – oprócz niezadowolenia Lotte Colliander z faktu, że pominięto ją podczas prezentacji – było to, jak niezręcznie czuła się Anna, gdy przyszła kolej na nią. Sekretarz zachowywał się w sposób autorytarny, a Anna zawsze miała problemy w kontaktach z takimi osobami.

Pewnie uważała go za zwykłego palanta. Czekałem tylko, aż zacnie się z nim wyklócać o jakieś szczegóły, jak dawniej, gdy pracowaliśmy w tym samym wydziale („No cóż, obiektywnie rzecz biorąc, to nie byliśmy w samym Kzyżł-kum, tylko na obrzeżach...”). Tymczasem Anna nie odezwała się do niego ani słowem. Miała taką minę, jakby akurat studiowała wzorki na dywanie. Siedziała z zaciśniętymi zębami i słuchała, jak sekretarz wymienia jej dokonania. Po spotkaniu, gdy wszyscy wyszli z pokoju, Anna stanęła przy oknie. Zauważyłem, że ramiona miała bardziej kanciaste i wychudłe niż dawniej. Przez chwilę miałem ochotę podejść i otulić ją kocem, ale wdałem się z nią tylko w rozmowę. Zachowywałem się normalnie, żeby nie zdradziła

mnie albo siebie przed innymi, ale robiłem to także z innego powodu. Chciałem mianowicie ustalić, co tak naprawdę wie.

Początek rozmowy był niezły, ale w pewnej chwili na jej twarzy znowu się pojawił tamten dawny uśmiech. Szybko się ze mną pożegnała i wyszła.

Wpatrywałem się w jej szczupłą postać i obserwowałem, jak idzie schodami na górę. Kiedy znalazła się poza zasięgiem mojego wzroku, ja też poszedłem do pokoju i położyłem się na łóżku. Dobrze wiedziałem, dlaczego zgodziłem się wziąć udział w tym projekcie. To była przemyślana decyzja. Kiedy sobie o tym przypominałem, trochę się uspokoiłem. Niepokoiło mnie coś innego, a mianowicie, że powinienem znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Anna

Dopiero gdy zeszłam do salonu, żeby dołączyć do innych, zauważyłam, że na dworze zrobiło się ciemno. Zastanawiałam się, czy Henry nadal jest w swoim pokoju, i przez krótką chwilę chciałam nawet zapukać do jego drzwi, żeby spytać, czy nie chciałby zejść ze mną do salonu. Ostatecznie zrezygnowałam z tego pomysłu, bo się bałam, że mi odmówi. Czułam się tak, jakby wszystko, co się z nim wiązało, zbyt wiele mnie kosztowało. Po drodze zatrzymałam się na półpiętrze, w miejscu, gdzie wielkie, sięgające od podłogi do sufitu okna wychodziły na morze. Budynek nie różnił się z wyglądu od innych, oficjalnych budynków rządowych. Na ścianach wisały fotografie wielkich przywódców i pastelowe motywy utrzymane w narodowo-romantycznym duchu, który członkowie partii tak bardzo sobie upodobali: lasy i wodospady, jasnowłose dzieci bawiące się pośród maszyn rolniczych, łosie wyglądające z lasu koło elektrowni wodnej. Na podłodze leżało wszechobecne linoleum. Zauważyłam też szczegóły świadczące o tym, że kiedyś wyglądało tu inaczej, tak jak na Poziomie Strategicznym. Stary sekretarzyk, fotel obity aksamitem, mosiężne elementy wykończenia, ciemne drewno i ciężkie, rzeźbione ornamenty. Prawdziwe ręczne wyroby, żadna tam fabryczna masówka. Zastanawiałam się, ile budynek ma lat. Musiał tu stać na długo przed naszym wejściem do Unii. Reprezentował stare czasy, świat, w którym kiedyś żyła Nour. Prowadzące do salonu schody wyglądały tak, jakby przeniesiono je żywcem z Titanica. Przesunęłam dłoń po lśniącej drewnianej poręczy i poczułam się trochę bezpieczniej, jakby czuwała nade mną Nour. Zdziwiło mnie to, bo nigdy nie była typem kury domowej.

Przypominała raczej samicę dinozaura, która składa jaja i zostawia je własnemu losowi. Ciekawe, co teraz robią. Jedzą kolację? Oglądają telewizję? Może Siri leży już w łóżku przykryta kołderką w niebieskie wzorki, patrzy w sufit i zastanawia się, gdzie teraz jestem i co robię? A może wcale o mnie nie myśli? Złapałam się na tym, że wpatruję się w ciemność za oknem, jakbym mogła w ten sposób zobaczyć, czym się obie zajmują.

Dopiero później przypominałam sobie, że okno wychodzi na morze, nie na ląd. Mimo to przysunęłam się bliżej, żeby coś w tych ciemnościach dostrzec.

Na wysokości moich ust powstało zmarznięte kółko. Najwidoczniej na

dworze było bardzo zimno, bo chłód bijący od szyby wywołał we mnie dreszcze. Słyszałam, jak pod wpływem silnych uderzeń wiatru okna wydawały z siebie dźwięk przypominający głuchy śpiew, który dochodził jakby z głębi jaskini. Przez wielkie okna obserwowałam duży żółty księżyc.

Wisiął nad horyzontem jak namalowany i zalewał morze piękną poświatą. Za oknem widziałam tylko morze: błyszczące, zimne, ciemne, głębokie. Nie było na nim łodzi, statków ani żadnych innych wysp. Zupełna pustka. Nagle coś uderzyło w szybę na wysokości mojej twarzy. Krzyknęłam i odskoczyłam do tyłu, potknęłam się o własne nogi i zaczęłam się ześlizgiwać po stopniach. Czułam, że za chwilę się przewrócę i spadnę.

W ostatniej chwili chwyciłam się poręczy. Poziom adrenaliny, który na krótką chwilę gwałtownie się podniósł, równie szybko zaczął opadać.

Domyśliłam się, że na wysokości miejsca, w którym stałam, w okno uderzyła gałąź. Pewnie oderwała się od drzewa, ale było zbyt ciemno, żeby to sprawdzić. Ponownie spojrzałam przez szybę, ale stałam zbyt daleko, żeby dojrzeć cokolwiek w ciemnościach. Światło w budynku zamieniło szyby w lustra. Widziałam tylko jedno: moją przerażoną twarz na gładkiej tafli.

Przyłożyłam dłonie do policzków, jakbym chciała w ten sposób stłumić strach, bo czułam, że nadal jestem pod wpływem adrenaliny. Kiedy odniosłam wrażenie, że sytuacja jest pod kontrolą, zesłam.

W przestronnej kuchni przygotowania do kolacji trwały w najlepsze.

Rozejrzałam się i przetarłam oczy ze zdumienia, bo nigdy wcześniej nie widziałam takiej ilości jedzenia. Ławy uginały się od mięsiwa, pasztetów, pierogów, zimnych dań z mięsa i ryb w galarecie, a wszystko to podzielone na poszczególne dni i opatrzone instrukcjami. Z tego, co zobaczyłam, nasza kolacja miała się składać z ciepłych dań, które w wielkich brytfannach trafiały do pieców. Na tacach zauważyłam logo słynnej restauracji znajdującej się w naszym parlamencie. Widocznie to oni zajęli się cateringiem. Zastanawiałam się, czy powodem takiego przepychu nie jest przypadkiem chęć podwyższenia standardu ze względu na oczekiwania bardziej wymagających kandydatów. Pewnie Franziska i Post uważali, że jądanie obiadów i kolacji w restauracjach, do których zwykli obywatele nie mieli wstępu, jest rzeczą całkiem naturalną. Ja też do takich lokali nie chodziłam, a nawet gdybym poszła, to pewnie nie umiałabym się rozkoszować jedzeniem, bo całą uwagę skupiałabym na tym, aby się czymś nie skompromitować. W takim miejscu byłabym zarówno obserwowana, jak i anonimowa. Na kuchennym stole stał duży kosz ze świeżymi owocami.

Były w nim banany, ananasy, papaje, winogrona, marakuja i orzechy kokosowe. Widząc niektóre z nich, uświadomiłam sobie, że nawet nie wiem, jak smakują.

Każdy z kandydatów był już czymś zajęty. Wkładali albo wyjmowali produkty z lodówek i pieców i prowadzili ożywione rozmowy. Stałam w progu i odnosiłam wrażenie, że dzieli nas cienka plastikowa zasłona.

Wcześniej też doświadczałam tego uczucia. Wydawało mi się, że każda z

obecnych tu osób czuje się w swojej cielesnej powłoce bardzo komfortowo, że wszyscy są w pełni rozluźnieni, zrelaksowani i naturalni w swoich ludzkich kostiumach. Utrzymywanie kontaktów z innymi ludźmi zawsze stanowiło dla mnie problem i dlatego szczerze im zazdrościłam tego, z czego na co dzień nawet nie zdawali sobie sprawy – łatwości, z jaką się do siebie odnosili. „Co ty możesz o tym wiedzieć – pomyślałam. – Przecież nie wiesz, ile ich to kosztuje. Może to gimnastycy, którzy sprawiają wrażenie mistrzów wykonujących swoje słynne salto mortale, chociaż źródłem tego mistrzostwa są dziesiątki tysięcy godzin w bólu, płaczu i rozpacz? Wcale nie można tego wykluczyć”. Mimo to zazdrościłam im.

– Czerwone czy białe?

Obejrzałam się przez ramię. Obok mnie stał pułkownik z kilkoma butelkami wina, które wyglądały jak rekwizyty ze sztuki teatralnej o piratach.

Niektóre z nich były nawet pokryte kurzem.

– Mamy tu wspaniale zaopatrzoną piwniczkę! Naprawdę jest w czym wybierać. Znajdzie się wszystko, czego dusza zapagnie, nawet francuskie i włoskie wina.

Wcześniej kontaktowałam się w tej sprawie z Przewodniczącym. Zapewnił mnie, że możemy korzystać z tych zapasów do woli.

Pułkownik uniósł jedną z butelek i spojrzał na nią z taką miłością, z jaką większość mężczyzn patrzy na swoje żony albo samochody.

– Boże, toż to Bordeaux... Nie pamiętam, kiedy ostatni raz je piłem – mruknął do siebie. Spojrzał na mnie niebieskimi, błyszczącymi oczami i przez chwilę przypominał małego chłopca. – Mówiąc między nami... z całym szacunkiem dla win znad Morza Czarnego... ale to, co trzymam w ręce, to coś zupełnie innego. Może się pani skusi na wytrawne Sancerre... albo coś mocniejszego?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odparłam. – Może być czerwone.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Czy ma pani jakieś preferencje co do win? Lekkie, owocowe, wytrawne?

– Niech pan sam wybierze. Zna się pan na tym lepiej ode mnie.

Pułkownik uśmiechnął się z zadowoleniem, odwrócił na pięcie i włączył w przygotowania do kolacji. Uznałam, że jest sympatycznym człowiekiem.

Było mi z tym niewygodnie, zwłaszcza w kontekście tego, że wkrótce miał się stać obiektem moich analiz.

Chwilę później pułkownik wrócił z dwoma ogromnymi kieliszkami do wina i podał mi jeden z nich. Chociaż na dnie zauważyłam osad, zaczęłam podejrzewać, że pułkownik zdążył już wypić pół butelki.

– Proszę powiedzieć, czy pani smakuje.

Wzięłam kieliszek i wypijałam. Smaki, które poczułam na języku, przypominały kolejno owoce, drewno, coś przytłumionego i coś jasnego.

Było to najsmaczniejsze wino, jakie piłam w życiu. Spojrzałam zachwyconym wzrokiem na pułkownika, a on skinął z zadowoleniem głową.

– Tak właśnie myślałam. Kyzył-kum, prawda?

Instynktownie odwróciłam wzrok. Robię to zawsze, gdy ktoś porusza ten

temat. Pułkownik wyglądał na osobę spostrzegawczą. Pewnie przez całe życie zawodowe nabierał praktyki w rozszyfrowywaniu i ocenianiu ludzi.

Staralam się zachować niewzruszoną minę.

– Zgadza się – odparłam.

Pułkownik kołysał przez chwilę kieliszkiem, a potem zaczął mówić. Robił to na tyle głośno, że go słyszałam, i na tyle cicho, że nikt inny nie mógł zrozumieć, o czym rozmawiamy.

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że wspomniałem o tym miejscu. Moje zainteresowanie jest szczere. Przez kilkadziesiąt lat stacjonowałem w tamtym regionie.

Dowiedziałam się o tym z jego akt osobowych, które sekretarz dał mi do przejrzania. To właśnie Kyzyl-kum mnie z nim łączyło. Nie byłam jednak przygotowana na to, że podejmie ten temat w bezpośredniej rozmowie ze mną.

– Rozumiem, że jest to coś, o czym wolałaby pani nie mówić. Domyślam się, że w ogóle nie powinna pani o tym dyskutować. Czasem o takich sprawach trudno jest rozmawiać. Niewiele osób to rozumie.

Ton pułkownika nie był ani pochwalny, ani krytyczny, tylko raczej przyjacielski. Obserwowaliśmy pozostałe osoby zebrane w kuchni. Henry kroił warzywa po drugiej stronie kuchennego stołu, a jednocześnie pochłonięty był zajmującą – jak mi się zdawało – rozmową z Lotte. W tym samym czasie Franziska wyjmowała brytfannę z pieca konwekcyjnego.

Zacząłam dziękować losowi, że nie zapukałam do drzwi pokoju Henry'ego i nie tkwiłam przed nimi jak jakaś idiotka, której nikt nie otwiera.

– Dziękuję – odparłam. Czulałam, że powinnam powiedzieć coś więcej, ale nie miałam pomysłu na dalszą rozmowę. Stałam więc z kieliszkiem w ręce i milczałam. Cisza, jaka między nami zapadła, nie była niezręczna, tylko raczej uspokajająca. W innych okolicznościach chętnie bym z nim porozmawiała.

– Jak pan tu trafił? – spytałam. Wprawdzie w prowadzeniu konwersacji nie byłam aż tak biegła jak Henry, ale za to przyswoiłam sobie zasadę, którą się kierował, a mianowicie, że lepiej jest zacząć rozmowę o swoim rozmówcy niż zmienić temat.

Pułkownik uniósł brwi i spojrzał na mnie rozbawionym wzrokiem.

– Pewnie pani myśli, że jestem za stary na takie rzeczy? Że powiniennem się cieszyć emeryturą, spędzać wolny czas na Rugii i leczyć reumatyzm stawów? Święta racja. Muszę jednak przyznać, że komuś, kto tak jak ja wydawał kiedyś rozkazy albo sam je wykonywał, trudno było odrzucić taką propozycję. Zresztą nadal jestem czynny zawodowo. Wprawdzie tylko za biurkiem, ale ciągle na służbie. Z czasem odkryłem, że w ten sposób też można być przydatnym, prawda?

– Gdzie pan teraz służy?

– W sztabie. Więcej nie mogę niestety powiedzieć.

– Rozumiem – odparłam, byle tylko coś powiedzieć.

– Naprawdę? – spytał pułkownik, patrząc na mnie rozbawionym, pełnym niedowierzenia wzrokiem. – Całe to trzymanie wszystkiego w tajemnicy

wygląda ostatnimi czasy po prostu śmiesznie. Oczywiście, w niektórych sytuacjach jest to uzasadnione, ale zazwyczaj stanowi jedynie świetną okazję, aby uchodzić za kogoś interesującego i niezwykłego. Zgadza się pani ze mną? A może należy pani do osób, które prawie wszystko wołałyby objąć klauzulą tajności?

– Czy nasz pobyt na tej wyspie powinien być objęty taką klauzulą?

– To znaczy?

– Pytam, czy w tym przypadku taka klauzula jest uzasadniona?

Pułkownik stał przez chwilę w milczeniu, a potem podrapał się po brodzie.

– Owszem – przyznał w końcu. – Uważam, że w tym przypadku jest to uzasadnione.

Zanim zdążyłam zadać mu następne pytanie, podeszła do nas Lotte i podała mi stos talerzy. Żeby móc je od niej odebrać, oddałam pułkownikowi kieliszek.

– Pomyślałam, że mogłabyś nakryć do stołu – powiedziała Lotte i nie czekając na odpowiedź, rzuciła na nie plik serwetek. Musiałam uważać, żeby talerze nie posypały się na podłogę.

– Gdzie będziemy jeść? – spytałam

– W salonie. Właśnie ustawiają stół.

Rozejrzałam się po kuchni i zauważyłam, że brakuje Katji i Posta.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Katja poszła do salonu, bo szykuje się do wykonania następnego kroku związanego z naszym zadaniem, i czy w związku z tym nie powinnam jej bardziej docenić. W końcu Lotte ruszyła energicznym krokiem, a ja podążyłam za nią. Lotte miała na sobie prostą granatową sukienkę i praktyczne czółenka, nie za wysokie i nie za niskie.

Chociaż była dosyć niska i prawdopodobnie starsza ode mnie o jakiś rok, czułam się przy niej jak uczennica, która niesie książki za nauczycielką. Lotte należała prawdopodobnie do osób, które urodziły się jako dorosłe.

W pewnym momencie pokręciła lekko głową, jakby słyszała moje myśli i chciała je rozgonić. W chwili gdy podchodziliśmy do salonu, usłyszałam głos von Posta.

– ...więc mu powiedziałem, że to nie ma szans powodzenia. Ale on się uparł i w ogóle nie chciał mnie słuchać, chociaż...

Lotte zapukała do drzwi i sama je otworzyła. Weszliśmy do salonu i stanęliśmy. Jon i Katja znajdowali się na samym końcu pokoju. Katja stała zwrócona plecami do ściany, Post był pochylony w jej stronę, z ręką opartą o ścianę. Wyglądało to tak, jakby chciał jej zablokować drogę odwrotu. Post stał blisko Katji, ale nie na tyle, żeby mogło to zwrócić czyjaś uwagę.

Zdradziła ją zakłopotana mina. Na nasz widok na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Super! Są talerze!

Post nie miał aż tak zakłopotanej miny jak Katja. Powiedziałabym, że wyglądał raczej na zadowolonego. Prawdopodobnie nic sobie nie robił z

tego, że stawia ją w kłopotliwej sytuacji. Historia stara jak świat.

Nie widziałam twarzy Lotte, ale usłyszałam jej głębokie westchnienie, jak gdyby chciała powiedzieć, że z podobnymi sytuacjami miała już wiele razy do czynienia. Najwidoczniej tak było. Zjazdy, konferencje, bankiety, służbowe kolacje. Coraz bardziej pijani mężczyźni z grubymi portfelami, którzy wychylali jeden kieliszek wódki za drugim, stawali się coraz bardziej nieobliczalni i niepohamowani, coraz bardziej zachłanni, chcący brać i mieć, coraz bardziej chętni zrzucić winę zarówno na te kobiety, które się na ich umizgi godziły, jak i te, które im odmawiały. Zdaniem takich mężczyzn, jeśli jakaś kobieta się o to prosi, to znaczy, że jest kurwą. Jak widać, mimo równouprawnienia płci i zasady równości stosowanej w korporacjach, takie zachowanie nadal stanowiło duży problem.

– Nie chcemy wam przeszkadzać, ale czas nakryć do stołu – powiedziała Lotte, podchodząc do stołu zdecydowanym krokiem. Wzięła obrus leżący na pięknym błyszczącym blacie z drzewa jakarandy i zaczęła go rozprostowywać. Katja skorzystała z okazji, wymknęła się Postowi, chwyciła za drugi koniec obrusa i pomogła Lotcie rozłożyć go na stole. Weszłam do pokoju i z pewnym trudem odstawiłam stos talerzy na znajdujący się obok mały stolik. Post stał przy ścianie z kieliszkiem w ręce i kołysał się na piętach. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby w czymkolwiek pomóc.

Katja obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, jakby chciała dać mi coś do zrozumienia, i powiedziała:

– Czy ktoś wie, gdzie są kieliszki do zwykłego wina? Znalazłam tylko te do win deserowych.

Lotte, która wyglądała na kogoś, kto prawie patologicznie musi wszystkim zarządzać, od razu odpowiedziała:

– Ja wiem. Są w kuchni. Przyniesiemy je. Chodź, pomożesz mi.

Mówiąc to, spojrzała rozkazującym wzrokiem na Posta, który dopiero po chwili się domyślił, że Lotte kieruje to wezwanie do niego. Poszłam za nimi, a gdy weszli do kuchni, jak najciszej zamknęłam drzwi do salonu i odwróciłam się do Katji.

– Kieliszki przygotowane? Mam wszystko, co będzie nam potrzebne.

Możesz zaczynać – szepnęła, podając mi małą rurkę.

Sekretarz wyjął przezroczystą ampulkę i podał mi ją razem z pipetą. W żółtym świetle rozjaśniającym pomieszczenie na Poziomie Strategicznym ciecz w ampulce też miała żółtawy kolor.

– To środek nasenny. Nie ma ani smaku, ani koloru. Wystarczy jedna kropla, żeby wywołać senność. Ma tę zaletę, że zaczyna w pełni działać zazwyczaj po upływie kilku godzin.

Sekretarz spojrzał na Katję, jak gdyby chciał się upewnić, czy dobrze wyjaśnił skutki działania medykamentu, a potem odwrócił się do mnie i dodał:

– Najlepiej więc będzie, jeśli każda z pań zajmie się swoim kieliszkiem.

– Dodamy go do wina deserowego – odparła Katja. – Kiedy wszyscy wypiją po kilka kieliszków do głównych dań, przestaną zwracać uwagę na to,

czy ktoś jeszcze pije, czy tylko udaje.

– Świetnie – stwierdził sekretarz. – Do każdego kieliszka wystarczy dodać po jednej kropli. Trzeba to jednak zrobić w taki sposób, żeby nikt tego nie zauważył. Taka dawka nikogo nie uspi. Zresztą nawet byśmy tego nie chcieli, bo mogłoby się to wydać podejrzane. Dzięki tym kroplom będziecie mieć więcej swobody, gdy... gdy trzeba będzie zrobić to, co ustaliliśmy.

Pamiętajcie: naszemu głównemu świadkowi macie dodać do kieliszka dwie krople. Nie więcej.

Kiedy rozdzieliliśmy krople prawie do wszystkich kieliszków i został nam tylko kieliszek pułkownika, usłyszałyśmy kroki i głosy. Dobiegały z pewnej odległości.

– Szybciej, szybciej – syknęła Katja. Ostrożnie wpuściłam do kieliszka dwie krople, których nie było widać na dnie. Spokojnie założyłam nakładkę na pipetę i ukryłam ją w biustonoszu. Katja spojrzała na drzwi. Chociaż wcześniej wydawała mi się spokojna i opanowana, teraz zachowywała się tak, jakby pod wpływem nagłego stresu wpadła w panikę. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek pracowała w warunkach terenowych.

– Przestań robić taką minę, jakbyś coś zbroiła, i zacznij nakrywać do stołu – syknęłam i podałam jej kartoniki z nazwiskami. Dwa zatrzymałam: jeden położyłam na moim miejscu, drugi obok. Potem poszłam po stos talerzy, żeby rozstawić je na stole. W chwili gdy wzięłam je do rąk, do salonu weszła reszta osób. Na początku szedł pułkownik z Franziską, tuż za nimi Henry, który na chwilę zatrzymał się w progu i rozejrzał po pokoju.

– Czy mogę wam w czymś pomóc? – spytał.

– Możesz mi trochę ulżyć – odparłam, wskazując głową na talerze, które trzymałam w rękach.

Henry podszedł i wziął od mnie połowę talerzy.

– Typowe zachowanie Anny Francis: brać się do wszystkiego na raz – powiedział cicho z szerokim uśmiechem.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy i świetnie poinformowany, żeby robić tak głęboką analizę mojej osobowości. A przecież od naszego pierwszego spotkania po latach upłynęło zaledwie kilka godzin – odparłam równie cichym głosem.

Henry znowu się uśmiechnął i spytał normalnym tonem: – Jak je ustawić?

– Na każdym miejscu postaw jeden mały i jeden duży. Na pewno sobie poradzisz.

Henry skinął głową i przystąpił do rozstawiania talerzy od krótkiego boku stołu. Ja robiłam to samo po drugiej stronie, a jednocześnie obserwowałam jego dłonie. Jego ruchy były jak zwykle precyzyjne i oszczędne. Robił nie za dużo i nie za mało. Odwróciłam wzrok i skupiłam się na talerzach.

Kiedy byłam mała, Nour nazywała mnie Rozbitą Panną, bo często tłukłam talerze i szklanki. Nauczyła mnie, że jeśli ktoś coś stłucze, powinien po sobie posprzątać. Koszty rozbitych naczyń odciągała mi z tygodniówki. „Musisz się nauczyć, że trzeba za to płacić”, mawiała. Tym razem udało mi się nic nie

upuścić. Razem z Henrym rozłożyliśmy na stole małe talerze, serwetki, noże, widelce, resztę zastawy i kieliszki do wina (Post i Lotte w końcu je przynieśli). Nie rozmawialiśmy ze sobą, więc przypominało to milczący, harmonijny taniec. Poruszaliśmy się wokół stołu w zgranym rytmie.

Przybywało jedzenia i trunków, aż w końcu stół był w pełni przygotowany i wszyscy mogli do niego zasiąść.

Przy stole zgromadziło się niezwykle towarzystwo. Zaczęliśmy sobie podawać zakąski: kanapeczki i tartinki udekorowane pięknymi, acz trudnymi do zdefiniowania składnikami. Było na nich coś czerwonego i zielonego, jakieś duże liście, kawałek wędzonego mięsa i plasterki białej ryby.

Pułkownika posadziłam obok siebie. Podawał mi po kolei półmiski, które do niego docierały, a ja przekazywałam je Henry'emu, który siedział po mojej drugiej ręce. Kolejne miejsca za Henrym zajmowały Lotte i Franziska.

Spojrzałam na jej talerz i zobaczyłam, że zamiast wziąć wszystkiego po trochu, na całym talerzu rozłożyła mikroskopijne kawałeczki. Nie śmiałam jej za to krytykować. Niewiele kobiet w jej wieku potrafi utrzymać się w telewizji przez tyle lat. Kiedy stuknie im pięćdziesiątka, na ich miejsce przychodzą młode talenty, które stwarzają mniej problemów i mniej kosztują, a przede wszystkim są miłsze w bezpośrednich kontaktach. Franziska była w lepszej sytuacji, bo jej szwagier był ministrem informacji. Sama słyszałam, że zdążyła się tym pochwalić. Znajomości to klucz do władzy. Jeśli ktoś je ma, może sobie pozwolić na stawianie żądań. Za to na pewno nie powinien tyć.

Franziska zauważyła, że gapię się na jej talerz, i spojrzała na górę jedzenia, którą sobie nałożyłam.

– Pewnie jesteś głodna? – rzuciła w moim kierunku ostrym jak brzytwa tonem. Chciałam jej się jakoś odciąć i pokazać, że nie pozwolę sobie w kaszę dmuchać, ale szybko doszłam do wniosku, że nie warto wszczynać kłótni.

Przecież spędzimy ze sobą tylko ten jeden wieczór. Spuściłam wzrok i popatrzyłam na jedzenie, mrużąc coś niewyraźnie. Denerwowało mnie tylko jedno: że Franziska wyjedzie stąd w przekonaniu, iż zamknęła mi usta albo że mnie zawstydziła.

Sekretarz znowu na mnie spojrzał.

– Pani zadanie jest proste: ma pani tak bardzo upić naszego świadka, żeby wpadł pod stół.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem, czekając na wyjaśnienia.

– Mam na myśli osobę, którą Katja obudzi, gdy stwierdzi pani zgon.

Świadek ma potwierdzić, że pani naprawdę nie żyje, dlatego w czasie kolacji powinna pani usiąść obok niego. Na razie nie powiem, kto nim jest, ale to jedna z osób, których pokoje znajdują się na parterze.

Sekretarz wskazał na rozłożony na stole plan budynku.

– Zamknijemy kilka pokoi na piętrze i powiemy, że z powodu wilgoci doszło w nich do awarii. Osobę, która ma być świadkiem, przeniesiemy na parter. Dzięki temu całe zdarzenie będzie wyglądało całkiem naturalnie: pani

doktor obudzi tę osobę, gdy znajdzie martwą Annę Francis.

– To znaczy, że moje zadanie polega na upiciu świadka podczas kolacji?

– Tak. Wolimy, żeby nie był zbyt trzeźwy, gdy będzie oglądał, a potem prznosił zwłoki w inne miejsce.

– To znaczy, że najpierw mamy go nafaszerować narkotykiem, a potem upić?

Sekretarz ściągnął lekko wargi, jakby chciał pokazać, że nie podoba mu się mój podejrzliwy ton.

– Tak, bo w takich sytuacjach lepiej się zabezpieczyć niż ryzykować, że coś pójdzie nie tak, jak trzeba. Działanie narkotyku ulegnie wzmocnieniu, jeśli nasz świadek wypije więcej alkoholu. Poza tym im bardziej będzie zamroczony w chwili, gdy go obudzimy, tym lepiej. Zresztą nie powinniśmy mieć z tym problemu, bo to alkoholik.

– Jeszcze trochę wina?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnęłam po butelkę i nalałam pułkownikowi do kieliszka.

– Dziękuję, bardzo dziękuję!

Pułkownik od razu uniósł go do ust i wychylił spory łyk. Sprawdziłam, ile każda z osób ma w kieliszku i zauważyłam, że pułkownik zdążył wypić swoją porcję szybciej od innych. Większość ludzi wypija pierwsze trzy kieliszki wina w tym samym tempie co reszta osób, z którymi pije. Dopiero po kolejnych kieliszkach, gdy zaczyna im szumieć w głowie, a poziom samokontroli i świadomości spada, wyłamują się ze wspólnego rytmu i zaczynają pić we własnym tempie. Rzadko się zdarza, żeby ktoś – tak jak pułkownik – wyprzedzał innych w picciu od samego początku. Chyba że jest alkoholikiem.

Przy stole toczyły się dość dziwne rozmowy. Wyglądało to tak, jakby każdy na coś czekał. Uczestnicy kolacji byli ludźmi niezwykłymi, interesującymi, kompetentnymi, przyzwyczajonymi do tego, że przy takiej okazji znajdują się w centrum uwagi. Poza tym ubiegali się o tę samą pracę. I chociaż nie wiedziałam, o jakie stanowisko chodzi, oferta musiała być na tyle kusząca, że każda z tych osób doszła do wniosku, iż spędzenie kilku dni na zapomnianej przez Boga wyspie jest warte świeczki. Zauważyłam też, że wszyscy ściśle wypełniają polecenia Przewodniczącego i nie dyskutują o samym teście.

Najwyraźniej nikt nie chciał stracić szansy z powodu zbytnej gadatliwości.

Zauważyłam, że Franziska i Post ustalili jakiś porządek rozmów, bo ledwo jedno robiło przerwę, żeby zaczerpnąć oddechu, od razu zaczynało mówić drugie. Dzięki temu rozmowa jakoś się ząbębiała, ponieważ żadne nie słuchało tego, co ma do powiedzenia drugie. Słyszałam, jak obgadują różne znane osobistości ze świata polityki i sfer gospodarczych, i to po nazwisku.

Odniosłam wrażenie, że chcą się pochwalić plejadą znanych im VIP-ów.

Katja siedziała z nimi przy krótkim boku stołu i przysłuchiwała się ich rozmowie. Za każdym razem, gdy próbowała coś powiedzieć, nie dopuszczali jej do głosu.

Po naszej stronie stołu „dowodzenie” przejął dyskretnie Henry. Zrobił to w typowy dla siebie sposób, to znaczy, zachowywał się tak, aby to inni mówili. Biorąc pod uwagę, że co jakiś czas zadawał pułkownikowi irytujące pytania i dolewał mu wina do kieliszka, doszłam do wniosku, że on też odkrył słabą stronę tego ostatniego i tak jak ja próbował to wykorzystać.

Uznałam, że to dobrze, bo dzięki temu mogłam się rozsiąść wygodnie na krześle i obserwować, jak wykonuje za mnie robotę. Jednocześnie zastanawiałam się, po co Henry próbuje go upić. Może to instynkt wojownika? Może chciał wzmocnić swoje szanse, postawić go w niekorzystnym świetle i wyeliminować w ten sposób z gry? Co pewien czas do ich rozmowy włączała się Lotte. Stopniowo przestała się zajmować sobą i coraz więcej uwagi poświęcała reszcie towarzystwa. Nagle zwróciła się wprost do mnie.

– Co będziesz robić po powrocie do domu?

Przez chwilę zwlekałam z odpowiedzią.

– Wróć do moich codziennych zajęć – odparłam.

Lotte spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Tego się nie spodziewałam. Myślałam, że obejmiesz jakieś ważne stanowisko. W końcu tyle się o tobie ostatnio mówiło...

Nie wiem, czy Lotte zauważyła moją reakcję, ale żeby jakoś stępić ostrze swojego uszczypliwego tonu, kontynuowała trochę grzeczniej.

– Wygląda na to, że wykonałaś kawał dobrej, trudnej roboty. Myślę, że praca w takim miejscu musiała być dla ciebie dużym wyzwaniem.

Mruknęłam coś w odpowiedzi i dalej przeżuwałam jedzenie, które powoli rosło mi w ustach.

– Tak czy inaczej, to chyba prawdziwe szczęście, że nie masz rodziny, która mogłaby ci stanąć na drodze kariery. Mój mąż i dzieci nigdy by mnie nie puścili w takie miejsce.

– Mam córkę – wtrąciłam i od razu tego pożałowałam.

Lotte zrobiła zdziwioną minę.

– No proszę... A ile ma lat?

– Dziewięć.

– Ale przecież... No tak, rozumiem. Czy ona też tam z tobą była? Chyba nie? W każdym razie nie sądzę.

– Przez cały ten czas mieszkała u mojej mamy.

Lotte zrobiła taką minę, jakby czekała na coś więcej. Tymczasem mój mózg pracował gorączkowo nad ewentualnymi odpowiedziami. Nie chciałam wywlekać na światło dzienne spraw, które były dla mnie zbyt bolesne.

– A ile ty masz dzieci? – spytał nagle Henry. Postanowił przyjść mi z odsieczą, bo pewnie zauważył panikę w moich oczach. Lotte odwróciła się do niego.

– Są już starsze i nie potrzebują mojej całodobowej opieki. Dzięki temu mogę się przynajmniej zastanowić nad podjęciem tej pracy. Moi chłopcy mają dwanaście i czternaście lat, jeden z nich...

Potem Lotte opowiedziała nam o treningach drużyny hokejowej i o poziomie nauki w różnych szkołach. Nie miałam odwagi spojrzeć na Henry'ego, więc tylko siedziałam i ze skupieniem słuchałam Lotte. Co jakiś czas udawało mi się zadać jej jakieś pytanie, dzięki czemu wciąż mówiła tylko o sobie. Stopniowo rozmowa zeszała na bezpieczne dla mnie tory.

O tym, że jestem w ciąży, poinformowałam Nour dopiero wtedy, gdy na aborcję było już za późno, ponieważ spodziewałam się, że tego ode mnie zażąda. I tak też się stało. Pewnej niedzieli zjawiłam się u niej w mieszkaniu i powiedziałam, że przyszedłam ją odwiedzić. Nour się zdziwiła. Nie spytała o cel tej wizyty, tylko odparła, że cieszy się na mój widok. Siadłyśmy razem w kuchni. Nour zaparzyła kawę i podała suche bułeczki, które leżały w lodówce od wielu miesięcy. Zastanawiałam się, kto je przyniósł, bo wiedziałam, że odwiedza ją mniej gości niż kiedyś. To, że kupiła je w sklepie, uznałam za mało prawdopodobne. Jeszcze mniej prawdopodobne wydało mi się to, że upiekła je sama.

Po głowie krążyło mi pewne zdanie, które wymyśliłam przed przyjściem.

Zawarłam w nim całą moją wiedzę na temat mojego ówczesnego stanu.

Uważałam, że dzięki temu uda mi się odpowiedzieć grzecznie na jej pytania, a jednocześnie odrzucić wszystkie rozwiązania z wyjątkiem tego, na które się zdecydowałam.

– Dowiedziałam się, że jestem w ciąży, a ponieważ na aborcję jest już za późno, zamierzam urodzić to dziecko.

W kuchni zapadła cisza. Nour sięgnęła po pudełeczko, w którym trzymała cienkie brązowe cygaretki. Wyjęła jedną, zapaliła i kilka razy się zaciągnęła, aż rozżarzyła się końcówka. Po chwili znowu się zaciągnęła, wypuściła dym i popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– Czy musisz tu teraz palić? – spytałam.

– To moja kuchnia, a ty przyszedłaś tu z własnej woli – odparła Nour i wstała z krzesła, żeby przynieść popielniczkę. Potem znowu usiadła na krześle i popatrzyła na mnie.

– Który to tydzień?

– Dziewiętnasty. Sama rozumiesz, że na aborcję jest już za późno.

– A jeśli ci powiem, że jeszcze nie, to co?

– Co masz na myśli?

Oblałam się zimnym potem. Zapach kawy mieszał się w kuchni z zapachem dymu. Poczulałam, że robi mi się niedobrze.

– Być może znam kogoś, kto mógłby to załatwić. Kiedyś wolno było dokonywać aborcji do dwudziestego drugiego tygodnia... No wiesz... z uzasadnionych powodów, takich jak gwałt, choroba, choroba umysłowa albo w sytuacji, gdy matka nie nadawała się do wychowywania dziecka.

Właśnie w tych przypadkach.

Było mi coraz bardziej niedobrze, czułam kwaśny smak w ustach i silne pulsowanie w skroniach.

– A więc tak to postrzegasz? Że nie poradzę sobie jako matka i dlatego powinnam usunąć płód?

– Chcę tylko powiedzieć, że nie tak łatwo jest być samotną matką.

Nour wypowiedziała te słowa twardym, stanowczym tonem i pochyliła się do mnie nad stołem.

– Jesteś pewna, że chcesz to dziecko urodzić? Chcesz, żeby twoje życie wyglądało tak, jak moje? Chcesz żyć sama z dzieckiem, które będzie ci przeszkadzać w chodzeniu do pracy albo w...

Nagle Nour umilkła. Czułam, jak pali mnie twarz, jak gdyby Nour wymierzyła mi policzek. Wstałam na niepewnych nogach i lekko się zachwiałam. Nie tak to sobie wyobrażałam, nie taki ruch chciałam wykonać – nie aż tak zdecydowany. Nour uciekała ze wzrokiem, patrzyła w okno.

– Chcę tylko powiedzieć, że to nie jest takie łatwe – stwierdziła w końcu.

– Bardzo mi przykro, że przeszkodziłam ci w zrobieniu kariery i prowadzeniu ekscytującego życia. Proszę o wybaczenie – zaczęłam trochę bardziej podniesionym głosem, przypominającym falset. Zabrzmiało to dość żałośnie, ale miałam to gdzieś. – Dziecko jest moje i nie zamierzam go usuwać. Będę się nim opiekowała, będę je kochała, a fakt, że tobie sprawiało to kiedyś taką cholerną trudność, nie oznacza, że mnie też będzie trudno.

Urodzę je, a ty będziesz musiała się z tym jakoś pogodzić.

Nour nadal patrzyła przez okno. Lekko poirytowana ściągnęła usta i odparła uszczypliwym tonem:

– W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ci pogratulować i życzyć szczęścia. Czekam na dzień, w którym się załamiesz. Bo na pewno tak będzie.

Szarpnęłam kurtkę przewieszoną przez krzesło. Zakręciło mi się w głowie, ale zanim wyszłam, pochyliłam się jeszcze nad stołem.

– Czy wiesz, co w tym wszystkim jest żałosne? Że to ty udzielasz mi rodzicielskich rad. Gdybym była na twoim miejscu, wolałabym trzymać buzię na kłódkę.

Wyszłam do przedpokoju i drżącymi ze złości rękami zaczęłam zawiązywać sznurowadła. Już wtedy miałam trudności, by pochylić się, dosięgnąć stóp, chociaż ciężowy brzusek nie był jeszcze aż tak widoczny.

Założyłam kurtkę i zesłam. Wiedziałam, że przez kilka najbliższych dni, tygodni czy nawet miesięcy będę wałkować tę rozmowę w myślach, tysiące razy pożałuję tego, co powiedziałam, będę chciała cofnąć te słowa i będę wyrzucać sobie, że wyraziłam się tak, a nie inaczej... Ale w tym momencie byłam napompowana adrenaliną i złością i to one gnały mnie przez ulice.

W końcu poczułam się naprawdę wolna i swobodna.

Przez całą ciążę ani razu nie spotkałam się z Nour. Dopiero kiedy Siri przyszła na świat, Nour odwiedziła mnie w szpitalu. Założyła na tę okazję nową, elegancką sukienkę. W moim życiu rozpoczął się nowy rozdział.

Na stół trafiały kolejne potrawy, otwierano kolejne butelki z alkoholem,

pojawił się ser, desery i jeszcze więcej wina. Towarzystwo podzieliło się na mniejsze grupki. Franziska zamieniła się miejscami z Katją i wdała się z Postem w rozmowę, która bardziej przypominała grę wstępną. Śmiała się z odchylną głową i bębniła palcami w stół, podczas gdy Post siedział z szeroko rozstawionymi nogami, wychylony do przodu, jakby czekał na okazję, aby zanurkować w jej dekolcie. Katja rozmawiała z Lotte i wyglądało na to, że znalazły temat, który je zainteresował – narciarskie biegi długodystansowe. Gwar przy stole wzrastał z każdą minutą. Większość osób była już porządnie pijana. W pewnym momencie stwierdziłam z przerażeniem, że i mnie kręci się w głowie. Katja podała portwajn w małych kieliszkach i znowu nikt nie odmówił. Nikt też nie zauważył, że obie przestałyśmy pić alkohol. Dochodziła dziesiąta, co oznaczało, że za około pięć godzin „zejdę” z tego świata.

Zauważyłam, że podczas kolacji Henry często mi się przyglądał, a gdy go na tym przyłapałam, nie uciekał ze wzrokiem. W chwili gdy część towarzystwa zaczęła wstawać od stołu, Henry podniósł się z krzesła, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu.

– Może ci coś podać? Whisky, koniak, wino?

– Tak, poproszę dużą szklankę wody.

Ciekawiło mnie, czy Henry skorzysta z okazji i zachowa się tak, jak na imprezach firmowych w poprzednich latach, gdy ni stąd, ni zowąd żegnał się nagle ze wszystkimi i znikał. Okazało się, że tym razem było inaczej; wrócił ze szklanką i usiadł naprzeciwko mnie. Kiedy mi ją podawał, dotknęliśmy się przelotnie dłońmi. Nie wiedziałam, czy zrobił to przypadkowo. Po chwili poczułam, że Henry dotyka mnie stopą. Spojrzałam na niego, ale on słuchał z uważną miną tego, co opowiadał pułkownik. Udawał, że mnie nie widzi, ale po chwili wsunął mi nogę między kolana. Obrus przykrywający stół sięgał tak nisko, że nikt nie widział, co się pod nim działo. Lekko uściśniłam kolanami jego nogę, na co Henry wykonał podobny gest wobec mnie.

A więc jednak. To nie był wymysł mojej wyobraźni, to się działo naprawdę. Henry czuł to samo co ja. Doznałam ulgi i zrobiło mi się smutno.

To nie był najlepszy czas na te sprawy. Kiedy pułkownik skończył opowieść, Henry pochylił się w moją stronę. Zauważyłam, że źrenice ma rozszerzone.

– Jak myślisz, czy można dostać się łodzią na drugą stronę wyspy? – spytał.

– Nie mam pojęcia – skłamałam. – A dlaczego pytasz?

– Kiedy wieje zbyt silny wiatr, dobrze jest wiedzieć, że istnieje jakieś inne miejsce, do którego mógłby przybić statek, żeby nas stąd zabrać.

Spojrzałam na niego pytającym wzrokiem i w końcu zrozumiałam, do czego zmierza.

– Może wyjdziemy to sprawdzić?

Henry zrobił taką minę, jakbym zaskoczyła go tą propozycją. Musiałam przyznać, że był naprawdę niezłym aktorem.

– Dobry pomysł. Chodźmy się przejść – odparł, wstając od stołu. Ja też się

podniosłam.

– Idziecie już spać?

Pułkownik zrobił zawiedzioną minę. Alkohol, a może środek nasenny, którego dodałam mu do kieliszka, zaczął na niego w końcu działać. Nie był już tym samym czujnym panem, którego poznałam w ciągu dnia, tylko zarozumiałym facetem, który głądził coś na swój temat, patrząc na nas coraz bardziej pustym wzrokiem. Sekretarz miał rację, gdy wspomniał o jego alkoholizmie, bo od pewnego czasu pan pułkownik dolewał sobie wina w coraz szybszym tempie.

– Chcemy sprawdzić, czy wieje silny wiatr. Zaraz wrócimy!

Pułkownik odsunął krzesło i przez chwilę się bałam, że będzie chciał nam towarzyszyć. Na szczęście Henry zręcznie mu to wyperswadował.

– Może zejdzie pan w tym czasie do piwniczki i sprawdzi, jakie tu mają wina? Zauważyłem, że zna się pan na rocznikach i rodzajach upraw. Anna wspomniała, że to właśnie panu zawdzięczamy wspaniałe wino, które piliśmy do kolacji.

Mile połączony pułkownik uśmiechnął się i obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby do naszego powrotu na stole znalazło się kilka butelek smacznego trunku. Jeszcze zanim zdążył wyrzucić z siebie ostatnie słowa, wyszliśmy z Henrym z salonu.

W przedpokoju Henry podał mi kurtkę. Ubraliśmy się w milczeniu i otworzyliśmy drzwi wyjściowe. Na dworze nadal wiał silny wiatr. Henry oparł się o drzwi, żeby wiatr ich nie zatrzasnął. Nie był wysoki ani silnie zbudowany, ale sobie poradził. Szliśmy obok siebie w milczeniu, kierując się nad brzeg morza za domem. Czułam się zawiedziona, jakby nasz flirt uleciał z wiatrem. Henry szedł z rękami wbitymi w kieszenie marynarki, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy nie żałuje, że przed chwilą mnie podrywał.

A może to ja błędnie zinterpretowałam jego zachowanie?

W końcu zatrzymaliśmy się na plaży. Henry rozejrzał się uważnie.

– Przy takim wichrze prawie nie da się iść – stwierdził. – Popatrz na tamte skały. Są lepiej osłonięte od wiatru, ale jeśli pogoda się nie zmieni, statek nie dobieje do brzegu nawet od tamtej strony. Jeśli przyjdzie sztorm, zostaniemy zupełnie odcięci od świata.

Prawie zapomniałam, po co tam przyszliśmy, bo byłam przekonana, że to tylko pretekst z jego strony. Po tym, co powiedział, skupiłam uwagę na jego słowach. Henry odwrócił się i spojrzał na mnie.

– A przyjdzie na pewno. Popatrz, jak szybko przemieszczają się chmury.

Szare chmury rzeczywiście pędziły, jakby ktoś nimi kierował. Jeszcze raz spojrzałam na Henry'ego. Nasze twarze były blisko siebie. Spotkaliśmy się spojrzzeniami. Czułam, że nie mogę wykonać żadnego ruchu.

– Co ty tu właściwie robisz? – szepnął Henry.

– A czego ode mnie chcesz? – spytałam również szeptem.

I nagle nastrój prysnął.

– Lepiej wracajmy – powiedział krótko Henry. Odwrócił się w stronę

domu i ruszył przed siebie.

Powlekłam się za nim. Z każdą sekundą czułam się coraz bardziej głupio, coraz bardziej oszukana, obnażona i zdradzona. Opuściłam gardę, okazałam słabość, zachowałam się jak idiotka i amatorka, która bez koniecznego doświadczenia decyduje się na udział w tajnej misji. Postąpiłam jak zakochana nastolatka, chociaż właśnie tego przez cały czas się bałam: że kiedy spotkam Henry'ego, będę się zachowywać w jego obecności tak niemądrze. Dobrze znałam tę część mojej otumanionej osobowości. Zdarzało się, że kazała mi godzinami rozpamiętywać doznaną krzywdę, niezręcznie sformułowane zdanie albo niegrzeczny gest. Nienawidziłam tego. Czułam coraz większy ucisk w żołądku, oczy zaszyły mi łzami. W chwili gdy zamierzałam coś powiedzieć, Henry szarpnął mnie za rękę i pociągnął za skalę. Położył mi dłoń na ustach, kazał być cicho i pokazał palcem Lotte, która szła stromą ścieżką. W pewnej chwili zatrzymała się za węglem budynku, niedaleko miejsca, gdzie staliśmy, otworzyła torebkę i ku mojemu zdumieniu wyjęła z niej wielki telefon satelitarny. Okazało się, że działał bez problemów. Lotte wybrała jakiś numer i przywitała się ze swoim rozmówcą.

Próbowałam zrozumieć, co mówi, ale była za daleko i wiatr zagłuszał jej słowa.

Henry stał tuż za mną. Czułam jego oddech na szyi, w nieosłoniętym miejscu między kurtką a włosami. Przycisnął się do mnie i lekko musnął ustami moje ucho. Poczułam się tak, jakby włożył klucz do zamka i przekręcił go, a gdy na dodatek objął mnie w pasie, wszystko inne przestało się liczyć. Moja misja, jak również to, kim był Henry i jak cała ta historia się skończy, nie miało już znaczenia. Liczyła się tylko ta chwila – nic więcej.

Jak przez mgłę usłyszałam, że Lotte skończyła rozmowę i weszła do budynku. Stałam nieruchomo w objęciach Henry'ego, jakbym nagle zobaczyła sarnę i nie chciała jej spłoszyć.

– Chodźmy stąd – powiedział. – Nie możemy tu zostać.

Jego ciało było bardziej giętkie i szczupłe, niż myślałam. Henry miał lekko zaokrągloną twarz i pewnie dlatego wydawało mi się, że ma ciało typowego mężczyzny w średnim wieku, który większość czasu spędza w biurze, ma kilka warstw tłuszczu za dużo, miękkie „poduszki” po obu stronach pleców i piwny brzuch. Kiedy jednak moje oczy przyzwyczyły się do ciemności panujących w pokoju, okazało się, że w rzeczywistości Henry jest chudy, ma płaską klatkę piersiową i wklęsły obojczyk. Dotykałam jego ciała, którego dotąd nie umiałam sobie wyobrazić, i sprawiło na mnie prawie odpychające wrażenie. W końcu zobaczyłam go z bliska. Mogłam obejrzeć każdy kosmyk jego włosów i każde zagłębienie jego ciała. W pewnej chwili poczułam się tak, jakby ktoś nagle zaświecił mi latarką prosto w oczy. Zamknęłam je zatem i pozwoliłam na więcej swobody rękóm. Henry też mnie dotykał, jak gdyby odczytywał palcami pismo Braille'a. Przesuwał dłonią po moich plecach i twardych biodrach. Kiedy byłam dziewczynką, Nour kupiła mi *Magiczną księgę malarza*. Wszystkie kartki były w niej białe,

ale kiedy przesuwałam po nich mokrym pędzelkiem, nagle pojawiały się ukryte figury, kolory i kwiaty. Tak samo czułam się teraz, gdy Henry dotykał mnie dłońmi, jak gdyby pod wpływem jego dotyku każda cząstka mojego ciała wracała do życia.

Kiedy dochodziłam, nie krzyczałam. On zresztą też nie, bo to nie był ten rodzaj seksu, w którym należałoby przesadzać. Nie był to też najlepszy seks w moim życiu, chociaż niewiele do tego brakowało.

Po wszystkim, kiedy leżeliśmy obok siebie w łóżku, Henry pogłaskał mnie po policzku. W pokoju było ciemno, ale zasłony w oknie pozostały rozsunięte, dzięki czemu widzieliśmy, jak na tle księżyca chmury nadal mkną po niebie w szybkim tempie.

– O czym myślisz? – spytał Henry.

– O zdradzie – odparłam. Henry spojrział na mnie sennym wzrokiem.

– Co takiego?

– O zdradzie. Wiem, co to za uczucie.

Wpatrywałam się w sufit pokryty drobnymi pęknięciami farby, które w blasku księżyca wyglądały jak żyły. Myśli rozsadały mi głowę, błyskawicznie pojawiały się i znikwały. Gdybym tylko sama pozwoliła sobie na to, żeby nie odczuwać za dużo, nadal mogłabym czuć smak żelaza w ustach, smak zawodu (własnego i cudzego), smak porażki albo błędnych decyzji. Wiedziałam, że nie wolno mi tak myśleć, że to dla mnie źle, ale moje myśli wędrowały własnymi ścieżkami. Nagle znalazłam się z powrotem w wyziębionym namiocie obozu dla uchodźców. Naszła mnie nagła chęć, żeby o wszystkim opowiedzieć: o Kzyżł-kum i o tym, co się tam naprawdę wydarzyło, o całym projekcie i o zdradzie, której prawie się dopuściłam.

Można powiedzieć, że w pewnym sensie rzeczywiście to zrobiłam.

Henry znowu pogłaskał mnie palcem po policzku.

– Spróbuj zasnąć – powiedział. Pocałował mnie w policzek, odwrócił się do mnie plecami, przykrył kołdrą i znieruchomiał. Leżałam w ciszy i gapiłam się w sufit. Henry oddychał spokojnie, równomiernie i głęboko. Za każdym razem, gdy wciągał powietrze, lekko charczał. Odczekałam trochę, żeby ukraść jeszcze jedną wspólną chwilę, po czym wstałam, ubrałam się, przemknęłam bosymi stopami przez ciemny pokój, ostrożnie nacisnęłam klamkę, uchyliłam drzwi i poszłam do kuchni, żeby dać się zamordować.

Katja już tam była. Wyglądała na poirytowaną.

– Zamknij drzwi i przekręć klucz w zamku. Już myślałam, że nie przyjdiesz.

Katja klęknęła na podłodze. Ubrana była w dres, a gdy pochyliła się nad torbą, na jej bluzie zobaczyłam logo z napisem „Balet Leningradzki”.

Wyjaśniało to jej wyprostowaną postawę, sprężysty chód i sposób, w jaki się poruszała. Karierę musiała chyba zakończyć w dość młodym wieku, zanim doznała kontuzji i zanim jej organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa, bo nawet w środku nocy poruszała się bez okazywania bólu i oznak zeszywnienia.

– Kiedy przestałaś tańczyć? – spytałam, żeby tylko coś powiedzieć.

– Musimy o tym gadać właśnie teraz? – syknęła cicho Katja.

Usiadłam na podłodze i zamilkłam, podczas gdy Katja wyjmowała z torby różne rzeczy: strzykawki, sondy, kolorowe buteleczki, bandaże. Rozłożyła je w równych rzędach i odstępach na małym ręczniku w kolorze „szpitalnej zieleni”, jak sędzę. W kuchni było ciemno, z trudnością rozróżniałam kolory.

Spojrzałam na rozłożone narzędzia i wzdrygnęłam się.

– Połóż się na plecach – szepnęła Katja.

Zrobiłam, jak kazała. Katja wyjęła coś, co przypominało poduszkę do stempli. Założyła gumowe rękawiczki i po kolei przykładła do niej końcówki palców. Potem zacisnęła je lekko na mojej szyi, ale w taki sposób, żeby opuszki wbiły mi się trochę głębiej w skórę.

– Poruszaj lekko głową, bo inaczej siniaki nie będą wyglądać wiarygodnie.

Zrobiłam, jak kazała, podczas gdy Katja mocno ścisnęła mi szyję swoimi delikatnymi dłońmi. Potem wzięła małą latarkę, oświetliła mi nią szyję i zrobiła zadowoloną minę.

– Dobrze to wygląda – stwierdziła.

Chciałam jej instynktownie podziękować, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam. Leżałam nieruchomo, podczas gdy Katja przygotowywała strzykawkę. Po dłuższej chwili pochyliła się nade mną.

– Zrobię ci teraz zastrzyk, w czubek języka. Jeśli ktoś zajrzy ci do ust, będzie to wyglądać tak, jakby ktoś cię udusił. Drogi oddechowe nie będą zablokowane, żebyś mogła swobodnie oddychać.

Skinęłam głową.

– Gotowa? – spytała Katja i nie czekając na moją odpowiedź, chwyciła mnie mocno za głowę. – Otwórz szeroko usta i wysuń język.

Zrobiłam, jak kazała, ale zanim zdążyła mi wbić igłę w język, skorzystałam z okazji, żeby jeszcze o coś ją spytać.

– Powiedz mi...

– Tak?

– Jesteś pewna, że to zadziała tak, jak trzeba?

– Oczywiście. Jestem lekarzem, możesz mi zaufać.

Katja pochyliła się nade mną, żeby wbić mi igłę w język, ale uniosłam rękę i położyłam ją na jej ramieniu.

– Obiecuj mi, że się z tego wybudzę.

Katja westchnęła, ale ja nie dawałam za wygraną.

– Powiedziałaś, żebym ci zaufała, więc ci zaufam, ale to nie ty zostaniesz uśpiona, tylko ja. Dlatego musisz mnie przekonać, że naprawdę się obudzę.

Spojrzałam na Katję, chociaż przez ciemność rysy jej twarzy były niewyraźne. Kiedy się nade mną pochylała, w miejscach, gdzie miała oczy, widziałam tylko dwie czarne dziury. Przez chwilę milczała, aż w końcu odparła:

– Obiecuję, że się obudzisz. Masz na to moje lekarskie słowo honoru.

– Świetnie – odparłam i odchyliłam głowę.

– Otwórz usta – powtórzyła Katja.

Zrobiłam, o co prosiła, wysunęłam język i poczułam ukłucie. Język natychmiast zaczął mi puchnąć. Poczułam, jak ogarnia mnie panika.

– Spokojnie, oddychaj przez nos. Tak... dobrze... długie, głębokie wdechy i wydechy, przez nos. Pomyśl o niemowlakach, one też oddychają w czasie snu przez nos. Tak... dobrze.

Wyrównałam oddech i poczułam, że panika ustępuje.

– Teraz zakroplę ci oczy, żeby źrenice zeszytywniały. Na białkach pojawiają się drobne wybroczyny, które potem znikną. Rozsunę ci powieki... Dobrze.

Zamknij oczy, nie będziesz się tak dziwnie czuła.

Ponownie zrobiłam, o co Katja mnie prosiła, a ona nie przestawała mówić.

W jej głosie nie słyszałam już tego zniecierpliwienia, co poprzednio. Katja przemawiała do mnie spokojnym głosem doświadczonego lekarza.

– Teraz zrobię ci ostatni zastrzyk. To środek usypiający, który jednocześnie rozluźnia mięśnie. To ograniczy twój oddech do minimum, zwiotczą ci po nim wszystkie mięśnie. Poczujesz się tak, jakbyś zaraz miała zasnąć. Niewykluczone, że w stanie, w którym się znajdziesz, będziesz widzieć i słyszeć różne rzeczy, ale będą to same nieskoordynowane impulsy, więc nie będziesz mogła wyrazić tego, co czujesz. Kiedy zaśniesz, upewnię się, że „zmarłaś”, a potem zgodnie z ustaleniami obudzę pułkownika i przyprowadzę go tutaj. Mam nadzieję, że będzie na tyle pijany i naćpany, że potwierdzi twój zgon. Potem zaniemiemy cię do zamrażarki, gdzie w odpowiednim momencie zrobię ci zastrzyk i przywrócę cię do życia. Nie będzie to miłe uczucie, ale musisz sobie z tym jakoś poradzić. Potem obudzę resztę towarzystwa i...

W tym momencie jej głos zanikł, jakby weszła w głąb marmurowej komnaty.

– Zaczynaj liczyć od dziesięciu do jednego – zdążyłam usłyszeć jej głos, który dobiegał jakby z końca marmurowej sali. Zaczęłam liczyć w myślach i przy każdym oddechu wypowiadałam kolejną liczbę. „Dziesięć, dziewięć, osiem...”, poczułam, jak podłoga robi się podę mną zimna i klejąca...

„siedem, sześć, pięć...”, zaczęłam sobie wyobrażać, jak Siri leży w swoim łóżku otoczona pluszakami z wytrzeszczonymi oczami... poczułam zapach albo może smak śniegu... „cztery, trzy...”, wąskie ramię, miękki policzek, włosy przyklejone do czoła... trzeba je odgarnąć palcem... „dwa, jeden...”, teraz.

Nagle poczułam się tak, jakby słoń usiadł mi na brzuchu i tylko z tego powodu się obudziłam. Ból pojawił się nagle i był wprost nie do zniesienia.

Nie umiałam go umiejscowić, trudno mi też było określić, czy koncentruje się w jednym miejscu, czy raczej promieniuje na całą klatkę piersiową, ale na pewno okazał się straszny. Próbowałam zwolnić oddech, ale słabo mi to wyszło. Nie mogłam też rozpoznać rysów twarzy, która ukazała mi się przed oczami, i dopiero po kilku sekundach do mnie dotarło, że to blade oblicze Katji i jej jasne włosy.

– Anno! Anno! Słyszysz mnie?

Próbowałam odpowiedzieć, ale dźwięk, który wydobywał się z moich warg, był trudny do określenia. Brzmiało to tak, jakbym miała zatkałe usta.

Odwróciłam głowę, żeby to „coś” wypluć, i zrozumiałam, że to mój język.

Po brodzie spływała mi strużka śliny. Mimo to Katja miała zadowoloną minę.

– W porządku – powiedziała. – Stopniowo wracasz do życia. Zrobiłam ci zastrzyk, zachowaj spokój, bo nadal jesteś pod wpływem narkotyku.

Spróbowałam się podnieść, ale ciało nie było mi jeszcze posłuszne. Katja wzięła mnie za rękę i zrobiła mi dożylny zastrzyk.

– Zaraz poczujesz się lepiej – obiecała, po czym wyjęła latarkę i zaświeciła mi nią w oczy.

– Źrenice nadal masz trochę ospałe, ale to całkiem normalne zjawisko.

Spróbuj się unieść.

Podjęłam kolejną próbę i tym razem poszło mi trochę lepiej, bo zdołałam się wyprostować i usiąść. Natychmiast zakręciło mi się w głowie, więc zaczęłam szukać jakiegoś oparcia. Katja wyciągnęła do mnie rękę i w tym samym momencie pokój zawirował mi przed oczami. Poczułam, że gdy uczepliłam się ramion Katji, lekko się zachwiała.

– Anno... posłuchaj... Rozumiem, że nie czujesz się zbyt dobrze, ale mamy mało czasu. Muszę zaplombować zamrażarkę, a ty powinnaś zejść na Poziom Strategiczny, zanim ktoś się tu zjawi. Pułkownik jest na górze, budzi pozostałe osoby, za dziesięć minut wszyscy mają się spotkać w salonie.

Pułkownik jest kompletnie pijany, więc trochę czasu mu to zajmie. Powiedz, czy będziesz w stanie zejść?

Dopiero teraz zauważyłam, że nie leżę na łóżku, tylko w zamrażarce.

W chwili gdy to sobie uświadomiłam, poczułam chłód. Katja chyba czytała w moich myślach, bo zdjęła z półki błyszczący jak folia koc i podała mi go.

– Zabierz go ze sobą! Musisz już zejść!

Nacisnęła przycisk umieszczony w ścianie agregatu i w podłodze zrobiła się szczelina. Katja nie wyglądała już na tak wysportowaną i zdrową, jak na pomoście. Powieki miała spuchnięte, oczy nabiegłe krwią.

– Jak zareagował pułkownik? – spytałam.

– Nie najlepiej, ale porozmawiamy o tym później – odparła i zerknęła niespokojnie przez ramię, jakby usłyszała jakiś dźwięk. Z trudem przewróciłam się na brzuch, próbując wyczuć drżącymi stopami szczeble drabiny pod sobą.

– Teraz zamknę zamrażarkę, żeby nikt nie mógł jej otworzyć. Ty będziesz mogła to zrobić od środka za pomocą tajnego kodu, ale zrób to tylko wtedy, gdy będzie to konieczne.

Skinęłam głową, wzięłam koc i rzuciłam go przez szczelinę na dół. Zanim zesłam po drabince, Katja położyła mi dłoń na rękę.

– Powodzenia – powiedziała.

Zamknęła pokrywę zamrażarki, a ja usłyszałam charakterystyczne

kliknięcie blokowanego elektronicznie mechanizmu. Chwilę później zostałam w ciemnościach sama.

Po drabinie schodziłam po omacku. Kiedy pokonałam ostatni szczebel, otuliłam się kocem i zaczęłam szukać kontaktu na ścianie. Zapaliłam światło i w jego żółtawym blasku poczułam się tak, jakby był wieczór, chociaż w rzeczywistości wstawał świt. Podeszłam na drżących nogach do lodówki, wyjęłam z niej butelkę napoju energetycznego i zaczęłam łapczywie pić. Nie czułam warg, język mi ciążył jak bryłka cementu, a ja wlewałam w siebie słodki napój, który ściekał mi po szyi. Otarłam ją górną częścią rękawa w sposób, jakim wypada się posługiwać tylko wtedy, gdy jesteśmy pewni, że nikt nas nie widzi.

Podeszłam do umywalki i tak długo obmywałam twarz zimną wodą, aż poczułam się bardziej rześka. Język zaczął powoli odzyskiwać swój normalny kształt. Zrzuciłam koc, otworzyłam torbę, wyjęłam z niej bluzkę i od razu ją założyłam. Podeszłam do drzwi prowadzących do ukrytego między ścianami budynku tajnego świata i zagłębiłam się w wąski korytarz.

Szłam po omacku wąskimi schodami do momentu, aż stanęłam przed kotarą.

Oznaczało to, że doszłam do ściany salonu. Znalazłam pokrywę otworu, odsunęłam ją i zajrzałam do środka.

Katja stała przy moim „okienku”, odwrócona plecami do mnie. Pomyślałam, że stanęła tu ze względu na mnie, żebym mogła widzieć jak najwięcej osób.

Post siedział na krześle w śmiesznej pidżamie w kratkę i rozglądał się po pokoju z miną człowieka, który nie do końca się jeszcze obudził. Obok niego usiadła Franziska, miała na sobie elegancki pomarańczowy szlafrok z falbankami. Jej włosy nadal były ułożone w prosty kok, jak poprzedniego dnia. Zauważyłam, że zdążyła sobie zrobić szybki makijaż. A może raczej nie zdążyła zmyć tego, który miała na twarzy wieczorem? Kiedy Post odwrócił głowę, Franziska skorzystała z okazji, żeby poprawić kołnierz przy dekolcie.

Obok Posta siedziała Lotte, która była ubrana we frotowy szlafrok i grube skarpety. Z pewnym roztargnieniem pocierała dłonią grzywkę, żeby rozprostować włosy. Obok niej siedział pułkownik. Oczy miał zaczerwienione, w salonie zjawił się w dresowych spodniach i polarze. Nagle do pokoju wszedł Henry. Wstrzymałam oddech. Zaledwie kilka godzin temu leżał obok mnie, zupełnie nagi... Instynktownie uniosłam dłoń do ust. Henry rozejrzał się bezradnie po pokoju, usiadł na krześle i spojrzał na drzwi, jakby na kogoś czekał. Domyśliłam się, że wypatruje mnie. Franziska zaczęła grymasić, że zerwano ją tak wcześnie z łóżka. Robiła to tak głośno, żeby wszyscy ją słyszeli. W końcu Katja jej przerwała.

– Dziękuję, że państwo przyszli. Przykro mi, że obudziłam was w środku nocy, ale... wydarzyło się coś złego.

– Czy nie powinniśmy poczekać na Annę? – spytał Henry.

Rozejrzał się po pokoju, jak gdyby szukał mnie wzrokiem, z nadzieją, że po prostu mnie nie zauważył i że jednak gdzieś tu jestem. Katja spojrzała na niego.

– Właśnie w tym problem. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... – Katja nabrała głęboko powietrza i dopiero po tym dokończyła zdanie: – ...Anna nie żyje.

Chociaż byłam przygotowana, że Katja powie coś w tym stylu, to jednak przeszedł mnie dreszcz. „Anna nie żyje”. Jakbym rzeczywiście umarła i w związku z tym nie ma sensu na mnie czekać. Dla tych ludzi byłam naprawdę martwa. Poczułam się znacznie gorzej, niż się spodziewałam, więc postanowiłam skupić się bardziej na tym, co się działo w pokoju niż na swoich myślach. Wszyscy gapili się na Katję, jak gdyby nie zrozumieli, co powiedziała. W swoich dziwnych strojach przypominali podstarzałe dzieci z wykrzywionymi ze zdumienia twarzami.

– Wszystko wskazuje na to, że ktoś ją zamordował.

Staralam się obserwować każdą z osób i zapamiętać ich reakcję. Post gapił się na Katję z otwartymi ustami, jakby mówiła w niezrozumiałym języku.

Franziska miała taką minę, jakby gorączkowo się zastanawiała, jakie zadać pytanie i nic nie przychodziło jej do głowy. Lotte rozglądała się po salonie niespokojnym, nieobecny wzrokiem i szarpała za kciuk, jakby chciała go sobie wyrwać. Pułkownik siedział z ciężko zwieszoną głową. Tylko on nie wyglądał na zaskoczonego. Nic dziwnego, przecież to on zaniósł mnie przed chwilą do punktu medycznego. Ciekawe, jaką minę miał wtedy.

Najbardziej zainteresowała mnie reakcja Henry’ego. Nie tylko ze względu na niego, ale głównie dlatego, że zachowywał się inaczej niż pozostałe osoby. Skulił się, jakby ktoś mu strzelił w plecy, i siedział pochylony ciężko do przodu. Oddychał tak gwałtownie, że drżały mu ramiona. Katja wyjaśniła pokrótce, co się stało: poszła do kuchni, żeby napić się mleka i znalazła tam mnie; obudziła pułkownika, zanieśli zwłoki do zamrażarki i zamknęli je w niej. Nagle Henry wstał z krzesła, podszedł do Katji i coś jej szepnął do ucha. Nie usłyszałam, co powiedział, ale z odpowiedzi Katji domyśliłam się, że spytał ją, czy mógłby mnie zobaczyć. Katja skierowała swoją odpowiedź do wszystkich osób zebranych w pokoju.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Rozmawiałam już o tej sprawie z sekretarzem i otrzymałam od niego bardzo wyraźne instrukcje. Ciało Anny znajduje się w punkcie medycznym, w zapieczętowanej zamrażarce. Nikomu nie wolno jej otworzyć, nikomu nie wolno dotykać zwłok. Wkrótce zjawi się tu ekipa, która wie, jak w takich sytuacjach należy postępować.

Chyba dopiero teraz do wszystkich dotarło, co się wydarzyło. Posypały się pytania, komentarze i uwagi. Wszyscy się przekrzykiwali i trudno mi było za nimi nadążyć. Franziska odzyskała w końcu mowę i zaczęła zarzucać Katję pytaniami: Co się stało? Jak do tego doszło? Czy Katja jest pewna, że to nie było samobójstwo? Czy jest upoważniona do podejmowania decyzji? Kiedy zjawi się jakaś pomoc? W końcu oznajmiła, że nie ma zamiaru zostać dłużej

na wyspie i żąda natychmiastowej, bezpośredniej rozmowy z Przewodniczącym.

– Obawiam się, że to też nie będzie możliwe – odparła Katja mechanicznym głosem, a ja zaczęłam się zastanawiać, ile razy będzie musiała powtórzyć to zdanie, zanim spotkanie w salonie dobiegnie końca. – Wygląda bowiem na to, że radiostacja, która stoi w piwnicy, nie działa.

– Co takiego? – spytał pułkownik, włączając się w ten sposób do rozmowy.

– Za pierwszym razem, gdy dzwoniłam do Przewodniczącego, radiostacja funkcjonowała bez zarzutu. Niestety, w pewnej chwili połączenie zostało zerwane, a gdy próbowałam skontaktować się ponownie, okazało się, że radiostacja nie działa. Być może z powodu pogody.

Wiadomość o uszkodzonej radiostacji była niespodzianką także dla mnie.

Zaczęłam się zastanawiać, jak mogło do tego dojść. Z powodu awarii prądu?

A może Katja kłamała, żeby odwieść Franziskę od pomysłu rozmowy z Przewodniczącym? Bardzo chciałam w to wierzyć, ale nie mogłam się pozbyć wrażenia, że to zwiastun jakiegoś nieszczęścia. Pułkownik też tak najwyraźniej uważał, bo nagle jakby zupełnie wytrzeźwiał.

– To bardzo źle – powiedział.

– A może ona sama odebrała sobie życie? – rzuciła Lotte. Widząc, że wszystkie spojrzenia zwróciły się w jej stronę, podjęła ten wątek, wykonując przy tym nieskoordynowane ruchy palcami. – Wprawdzie wcześniej jej nie znałam, ale z tego, co zdażyłam zauważyć... Anna wydała mi się dość dziwna, chyba nawet nieszczęśliwa. Być może podczas misji doznała jakiejś traumy, potem zjawiała się tutaj i...

Lotte mówiła coraz szybciej i głośniej, jak gdyby sama chciała się przekonać do swojej teorii.

– Anna nie popełniła samobójstwa – przerwała jej Katja.

– A skąd to wiemy? Depresja wśród ludzi, którzy przeżyli to, co ona, zdarza się dość często. Jak to się nazywa? Stres pourazowy? Nie można przecież wykluczyć, że...

– Człowiek nie może się własnoręcznie udusić – przerwała jej Katja.

– Ale...

Lotte jakby skurczyła się w sobie i zamilkła.

– Ona taka nie była – odezwał się nagle Henry. Zabrzmiało to tak, jakby powiedział to do siebie.

Nie wiem, czy oprócz mnie ktoś jeszcze go usłyszał, ale po jego słowach w pokoju zapadła cisza. Lotte zaczęła cicho szlochać, ale od razu wytarła łzy rękawem szlafroka. Poczulałam, jak nogi się podę mną uginają, na czoło wystąpił mi zimny pot. Mimo to nadal stałam w ciemnym korytarzu i nie spuszczałam wzroku z osób zebranych w salonie.

– A może na wyspie jest ktoś obcy? – przerwał milczenie Post. Spojrzał na Katję, a potem na pułkownika, jakby to właśnie od nich oczekiwał odpowiedzi. Pułkownik zrobił taką minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nie można tego wykluczyć – odparł. – Powinniśmy jak najprędzej przeszukać wyspę, ale zanim się do tego zabierzemy, proponuję, abyśmy najpierw ustalili, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru. Kto widział Annę jako ostatni?

W tym momencie całą uwagę skupiłam na Henrym. Od chwili kiedy spytał

Katję, czy nie należałoby na mnie poczekać, siedział jak wbity w krzesło, z opuszczoną głową. Słyszając pytanie, które zadała Katja, odezwał się, nie podnosząc głowy.

– Chyba ja – odparł i mruknął coś, czego nie zrozumiałam.

– Co takiego? – spytał pułkownik.

– Kiedy Anna ode mnie wyszła, spałem. Ostatni raz widziałem ją w moim pokoju. Kiedy zasypiałem, jeszcze tam była, a gdy się obudziłam, Anny już nie było.

Henry dopiero teraz uniósł głowę. Wyglądał na kompletnie rozbitego, co w pewnym sensie sprawiło mi przyjemność. W końcu jednak zmusiłam się, żeby nie patrzeć na niego, tylko zająć się obserwacją pozostałych osób. Post zrozumiał, co Henry miał na myśli, i uśmiechnął się szeroko, ale chwilę później jakby się opamiętał i uśmiech zniknął mu z twarzy. Poczułam się zażenowana faktem, że wszyscy dowiedzieli się o mnie i Henrym.

Zastanawiałam się, jak Przewodniczący oceni to niezaplanowane zdarzenie.

Pewnie mu się nie spodoba, ale było już za późno, żeby coś z tym zrobić. Za to pułkownik nie zamierzał komentować tego, co przed chwilą usłyszał.

Odezwał się zupełnie neutralnym głosem:

– A która mogła być godzina, gdy pan zasnął?

– Między drugą a trzecią.

– To znaczy, że istnieje luka czasowa między trzecią a czwartą, bo Katja znalazła Annę około czwartej.

Pułkownik nie spuszczał wzroku z Henry'ego, jakby chciał mu zadać więcej pytań, ale ostatecznie skończyło się na jednym. Zamiast tego zaczął wyjaśniać, gdzie on sam i reszta towarzystwa przebywali wieczorem i nocą.

Oświadczył, że położył się spać po północy, podobnie jak Lotte i Katja.

Kiedy przyszła kolej na Posta i Franziskę, oboje zareagowali dość dziwnie, jakby nie chcieli wyjawiać zbyt wielu szczegółów. W końcu potwierdzili, że z kolacji wyszli razem i poszli do pokoju Posta, żeby – jak to określili – „spędzić razem trochę czasu w łóżku”. Franziska wróciła do swojego pokoju około drugiej. Wstrzymałam oddech. Przecież mogłam ją spotkać na korytarzu, a wtedy sprawy bardzo by się skomplikowały.

– Szczeniackie zachowanie! – stwierdziła Lotte.

– Myślałam, że mamy tu prawo do prywatności – syknęła w odpowiedzi Franziska. Doszłam do wniosku, że spośród osób zebranych w pokoju to właśnie ona jest najbardziej opanowana. Irytowało ją głównie to, w jaki sposób całe zdarzenie odbija się na jej prywatnym życiu.

Kiedy każda z osób złożyła stosowne wyjaśnienia, w salonie zapadła

cisza.

Wszyscy patrzyli na pułkownika, a ja zanotowałam w pamięci, że to właśnie on „przejął dowodzenie”, chociaż równie dobrze mogłabym powiedzieć, że pozostałe osoby mu to dowodzenie powierzyły. Miałam nadzieję, że później sobie przypomnę, jak przebiegała cała rozmowa, bo mój mózg nadal był częściowo wyłączony z powodu środka, który wstrzyknęła mi Katja. Nogi drżały mi z wysiłku. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze wytrzymam bez omdlenia w tej pozycji. Modliłam się w duchu, żeby dyskusja w salonie jak najszybciej dobiegła końca.

– Okej, w takim razie zrobmy tak – zaczął pułkownik, przecierając zaczerwienione z niewyspania oczy. Musiałam przyznać, że mimo środka nasennego i dużej ilości wypitego alkoholu zachował zadziwiająco sprawny i trzeźwy umysł. – Na dworze robi się jasno. Podzielimy się na dwie grupy i przeszukamy wyspę, żeby sprawdzić, czy jesteśmy na niej sami. Zanim to jednak zrobimy, chcę jeszcze coś powiedzieć.

Wszyscy wpatrywali się w niego jak w nauczyciela.

– Po pierwsze: musimy zachować spokój. Nie wolno nam się bać, bo strach jest najgorszym doradcą. Nie będziemy się wzajemnie o nic oskarżać.

Nie wiemy, co się wydarzyło, i dlatego do czasu, aż sprawa zostanie wyjaśniona, nie będziemy wyciągać pochopnych wniosków.

Pułkownik popatrzył na wszystkich po kolei. Odniosłam wrażenie, że trochę dłużej przyglądał się Franzisce.

– Po drugie: zachowajmy ostrożność. Ja też widziałem ciało Anny i chociaż niezbyt się znam na medycynie, to jednak zgadzam się z opinią Katji: ktoś ją udusił.

Pułkownik zrobił sztuczną przerwę, a potem spuścił wzrok i powiedział: – Nasuwa się tylko jeden wniosek: albo na wyspie nie jesteśmy sami, albo...

Przerwał w pół zdania, a ja obserwowałam, jak Lotte rozgląda się po salonie i wyszukuje wzrokiem potencjalnego mordercę. Jej oczy robiły się coraz większe i coraz bardziej przestraszone. Pewnie dopiero teraz do niej dotarło, że to najbardziej prawdopodobny scenariusz. Zaskoczyło mnie, że właśnie ona nie radzi sobie z tą sytuacją. Niepozbitane emocje, zbyt późna reakcja na to, co wydawało się oczywiste... Z moich doświadczeń z Kyzylkum wynikało, że w trudnych sytuacjach ze stresem najlepiej radzą sobie matki, podczas gdy tak zarozumiałe typy jak Post szybko się załamują.

Zastanawiałam się, czy Lotte zachowywałaby się inaczej, gdyby jej dzieci też przebywały na wyspie. Postanowiłam uwzględnić tę okoliczność w moim przyszłym raporcie.

– O czym pan mówi? – spytała matowym głosem Lotte.

– Proponuję, aby nikt z nas nie chodził nigdzie sam – wyjaśnił pułkownik.

– Powinniśmy przez cały czas przebywać razem. Podzielimy się na grupy, ale nikomu nie wolno się oddalać. Będziemy się wzajemnie obserwować. W tym momencie tylko tyle możemy zrobić.

Nogi drżały mi już tak mocno, że prawie przestałam nad nimi panować.

Pot spływał mi szerokim strumieniem po karku i plecach, przed oczami

tańczyły mi czarne plamy. Czułam, że jeśli natychmiast nie usiądę albo czegoś się nie napiję, zemdleję. Głos pułkownika dobiegał do mnie jakby z daleka. Pułkownik wstał z krzesła.

– Proponuję następujące rozwiązanie: wszyscy pójdą teraz do swoich pokojów, żeby się przebrać. Drzwi zostawcie uchylone, żebyśmy się przez cały czas słyszeli. Za pięć minut spotykamy się na dole i ruszamy w teren.

Nikt nie zaprotestował, wszyscy ruszyli wolno zwartą grupą do swoich pokojów. Pułkownik wyszedł z salonu jako ostatni. Przez kilka sekund stałam i wpatrywałam się w pusty pokój, po czym odwróciłam się i na chwiejnych nogach poszłam do mojej podziemnej niszy.

Sekretarz od razu mnie poinformował, że system monitoringu na wyspie jest przestarzały. Oznaczało to, że gdy wszyscy wyjdą z budynku, stracę z nimi kontakt i nie będę mogła obserwować ich zachowania.

– Kamerę zamontowano jedynie przy drzwiach wejściowych, w innych miejscach było to niemożliwe, bo wiatr je strącał – wyjaśnił sekretarz, a widząc moją zdziwioną minę, dodał: – Zalecam, aby w tym konkretnym punkcie postąpiła pani zgodnie z moimi wytycznymi. W ciągu nadchodzącej doby nie będzie czasu na spanie, chyba że trafi się okazja do krótkiej drzemki. Jeśli więc uczestnicy projektu wyjdą z budynku, radzę skorzystać z okazji i trochę się przespać. Pod warunkiem, że będzie to możliwe.

Kiedy szłam schodami na Poziom Strategiczny, prawie się przewróciłam i poleciałam do przodu. Rady sekretarza wydały mi się o wiele bardziej rozsądne teraz niż podczas tamtej rozmowy. Powlokłam się do lodówki, wyjęłam z niej kolejną butelkę słodkiego napoju energetycznego, który wypełniał połowę półek, i opróżniłam ją na miejscu. Potem owinęłam się kocem, usiadłam na podłodze, oparłam się plecami o ścianę i zaczęłam czekać, aż poczuję się lepiej. Drżenie nóg powoli ustępowało, ale głowa nadal mi ciążyła, a przytłumione oświetlenie i nieostre kolory w moim małym bunkrze jeszcze bardziej spowolniały moje reakcje i ruchy. Jakbym znajdowała się pod wodą.

Kiedy byłam pewna, że utrzymam się na nogach, wstałam z podłogi, rozebrałam się do bielizny, wsunęłam się w moje ciasne legowisko i starałam się zapamiętać to, co wydarzyło się w salonie. Powoli przeszłam w stan półsennego odrętwienia. Śniło mi się, jak któregoś lata pojechałam na obóz i łowiliśmy raki w jeziorze. Byłam wtedy małą dziewczynką (a może to był sen o Siri?). Nour zmusiła mnie do wyjazdu, a ja każdego dnia dzwoniłam do domu i płakałam do słuchawki. W końcu po mnie przyjechała i zabrała do domu, choć zrobiła to niechętnie. Teraz już nie pamiętam, czy było mi tam tak bardzo źle... Być może bardziej chodziło o walkę o władzę między mną a nią.

Kiedy w końcu Nour zgodziła się mnie stamtąd zabrać, potraktowałam to jako coś w rodzaju zwycięstwa. Kiedy jednak wysiadła z zaciętą miną ze swojego starego trabanta i zobaczyła mnie na placu z walizką obok komendanta obozu, który stał przy mnie ze zrezygnowaną miną,

zrozumiałam, że to, co wyglądało na zwycięstwo, wcale nim nie było. Nour już wtedy była bardzo pamiętliwa. Najgorsze, że kiedy w końcu udało mi się postawić na swoim, czas na obozie zaczął nam płynąć coraz przyjemniej.

Ostatniej nocy przed przyjazdem Nour poszliśmy łowić raki.

– Mam nadzieję, że jednak wyniesiesz z pobytu na naszym obozie jakieś dobre wspomnienia – powiedział Ivan, komendant. Miał duże brązowe oczy i był miły.

Wzięliśmy latarki i poszliśmy nad brzeg. Otaczał nas ciemny las, w blasku latarek zaczęliśmy przeszukiwać wiecierze. Kiedy zmarznięci wracaliśmy do obozu, wstawał świt. W moim obecnym śnie byłam jednocześnie sobą i Siri, ale za każdym razem, gdy wkładałam rękę do wiecierzy, żeby sprawdzić, czy złapały się w nie jakieś raki, odnosiłam wrażenie, że pułapki się poszerzają i robią nieskończenie duże. Czułam, jak raki poruszają się wokół moich dłoni, ale żadnego nie udało mi się wyciągnąć. Włączyłam latarkę i zobaczyłam, że w klatce aż roi się od czarnych raków. Kiedy jednak wyciągnęłam po nie rękę, od razu zniknęły. Trwało to do momentu, gdy do rzeczywistości przywrócił mnie jakiś hałas. Brzmiało to tak, jakby w pomieszczeniu nade mną, w punkcie medycznym, ktoś upadł.

SZTOKHOLM

PROTEKTORAT SZWECJI

MAJ 2037 ROKU

Do pokoju przesłuchań wszedł Przewodniczący. Kobieta zerwała się z krzesła i stanęła w pozycji „na baczność”. Stanowczym wzrokiem spojrzała na swojego partnera, który od razu zrobił to samo.

– Widzę, że jesteście zaskoczeni – powiedział z szerokim uśmiechem Przewodniczący, wykonując obronny ruch ręką. – Siedźcie, proszę. Czy moglibyśmy zostać sami? Zupełnie sami?

Strażnik skinął głową i wyszedł, aby wyłączyć zainstalowany w pokoju przesłuchań system monitoringu. Cała trójka czekała w milczeniu, aż przez małe okienko w drzwiach da im znak, że system został wyłączony.

Przewodniczący usiadł naprzeciwko nich, w miejscu przeznaczonym dla przesłuchiwanym osób.

– Nie miałem zamiaru przerazić was tym przyjściem, zwłaszcza że zjawilem się bez zapowiedzi. Chciałem wam tylko życzyć powodzenia i poczynić pewne uzgodnienia odnośnie do przesłuchań.

Przewodniczący roztargnionym ruchem przesunął ręką po klapie marynarki, jakby chciał z niej usunąć niewidoczny pyłek.

– Uzgodnienia? – spytał Pierwszy Śledczy. Wypowiedział te słowa w taki sposób, jakby próbował zapanować nad głosem. Zabrzmiało to jednak tak, jakby coś utknęło mu w gardle, przez co jego głos zabrzmiał jak głos nastolatka. Przewodniczący obrzucił go uprzejmym spojrzeniem.

– Nie ma powodu do obaw... chcę tylko, abyśmy przed przystąpieniem do ostatniej fazy śledztwa wypracowali tę samą wizję wydarzeń.

– A jak ona wygląda z pańskiego punktu widzenia, panie Przewodniczący?

Kobieta była lepsza w prowadzeniu dyskusji z Przewodniczącym, który chyba miał do niej słabość. Oboje dobrze o tym wiedzieli, chociaż udawała, że niczego się nie domyśla. Taki praktyczny układ bardzo jej odpowiadał, widziała w nim pewne zalety. Przewodniczący znowu się uśmiechnął, jakby się ucieszył, że zadała mu pytanie, na które czekał.

– Właściwie to prosta sprawa... Wydaje się, że już teraz można wskazać osobę, która jest za to wszystko odpowiedzialna. Osoba ta dopuściła się całego szeregu zaniedbań. Czy nie mam racji?

Kobieta właśnie takiego wniosku się spodziewała, a raczej obawiała. Będą musieli znaleźć kozła ofiarnego. Przewodniczący wykonał nad stołem zamaszty ruch ręką, jakby chciał im pokazać coś, co tylko on widział.

– Myślę, że wynika to także z materiału zebranego w śledztwie – kontynuował spokojnym głosem. – Zaszwankowała koordynacja i tryb podejmowania decyzji. Dlatego wszystko poszło tak źle.

– Przecież... – zaczął mężczyzna, ale kobieta kopnęła go pod stołem, więc umilkł. Przewodniczący najwidoczniej nie chciał rozwijać tego wątku.

W pokoju zapadła cisza.

– A jak ocenia pan swoją rolę w tych wydarzeniach? – spytała po chwili kobieta.

Przewodniczący popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Jak to? Czyżby nie wyczytała pani tego w aktach i protokołach przesłuchań? O niczym nie wiedziałem.

– Naprawdę? Zupełnie o niczym? – spytała, wymawiając z naciskiem każdą sylabę.

– Absolutnie! – odparł rozbawionym głosem Przewodniczący. – To dość niefortunna sprawa, ale nie zrobiłem nic, co było niezgodne z prawem. Tak to czasem bywa, gdy ktoś odpowiada jednocześnie za zbyt wielu ludzi i ma na głowie zbyt dużo spraw. Nie da się wiedzieć wszystkiego.

Przewodniczący zrobił przerwę. Przez chwilę wodził wzrokiem od mężczyzny do kobiety, a potem spytał:

– No więc jak będzie? Zgadzą się?

Kobieta zauważyła, że jej partner nie jest do końca przekonany, ale uznała, że to bez znaczenia, i skinęła głową.

– Oczywiście, panie Przewodniczący.

Przewodniczący wstał z krzesła i wyciągnął na pożegnanie wielką dłoń: najpierw do mężczyzny, potem do jego partnerki, której się wydawało, że trzyma w ręce wiosło.

– Wspaniale. W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć wam powodzenia. Czekam na końcowy raport. A teraz proszę mi wybaczyć, czekają na mnie inne sprawy.

Oboje wstali z krzesła i Przewodniczący opuścił pokój. Przed rozmową kobieta chciała go spytać o Annę Francis, dowiedzieć się, gdzie jest i jak się czuje. Teraz nie była pewna, czy rezygnując z tych pytań, zrobiła źle, czy dobrze. Pewnie dobrze, bo Przewodniczący też o niej nie wspomniał. Gdyby chciał coś wyjaśnić, na pewno by to zrobił. Kobieta pracowała na rzecz RAN na tyle długo, że wiedziała, jaką rolę Anna Francis odgrywała w całej tej grze. Nie była tylko pewna, czy Anna też już o tym wie. Uznała jednak, że wyjaśnieniem tej kwestii powinien zająć się Przewodniczący.

Stała wpatrzona w drzwi, przez które przed chwilą wyszedł

Przewodniczący. Odwróciła się i spojrzała śledczemu w oczy.

– Boże – powiedział cicho mężczyzna i opadł ciężko na krzesło.

W chwili gdy Przewodniczący wyszedł z pokoju przesłuchań, uśmiech błyskawicznie znikł mu z twarzy. Dwaj umundurowani ochroniarze szli za nim krok w krok jak dwa cienie. Niewidzialne ręce otwierały przed nim drzwi i od razu je za nim zamykały.

- Przyrowadź samochód – polecił Przewodniczący jednemu z ochroniarzy. Ten natychmiast skręcił na schody, podczas gdy drugi ochroniarz skierował się razem z Przewodniczącym do windy. Przewodniczący poczuł, że spodnie cisną go lekko w pasie i zwijają się wokół ud. Pomyślał, że powinien częściej wchodzić schodami.

Drzwi windy się otworzyły i obaj weszli do środka. Ochroniarz stanął po prawej stronie, przed Przewodniczącym, który oparł się o ścianę. Winda pomknęła w dół. Wokół panowała kompletna cisza, podobna do ciszy panującej w próżni. Kiedy winda się zatrzymała, obaj z niej wyszli, a drugi

ochroniarz podjechał pod nią samochodem. Pierwszy ochroniarz otworzył

Przewodniczącemu tylne drzwi. Ten wsiadł do wozu, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz samodzielnie otwierał drzwi samochodu.

Ochroniarz zamknął je za nim, usiadł na przednim siedzeniu i wóz odjechał.

Przewodniczący rozsiadł się na czarnym skórzanym siedzeniu. Kiedy samochód opuścił podziemny garaż i przeszedł wszystkie obowiązkowe kontrole, ruszyli w stronę miasta. Wiatr rozpędził szare chmury, które jeszcze rano zasłaniały niebo. To był jeden z tych ładnych dni, przypominających, że przyszła wiosna. Niestety, zdarzają się zaledwie dwa, trzy razy do roku.

Nieliczne drzewa, które pozostały jeszcze w ścisłym centrum miasta, pokryły się świeżym listowiem.

Przewodniczący nie należał do ludzi, którzy potrafią spojrzeć na siebie krytycznym okiem, ale tym razem był na siebie naprawdę zły. Końcowy wynik operacji – ten prawdziwy – okazał się całkiem niezły, ale sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Powinien był to przewidzieć. Niektórzy jego podwładni wykazali się zbyt dużą samodzielnością, wykazywali własną inicjatywę. Był zły nie tylko na siebie, ale generalnie na wszystkich. Gdyby tylko posłuchali jego wskazówek, wszystko poszłoby znacznie łatwiej.

W zaistniałej sytuacji musi wziąć na siebie część winy, przynajmniej we własnym sumieniu, ale nikomu do niczego się nie przyzna, bo gdyby z formalnego punktu widzenia okazało się, że to jednak on za to odpowiada, nie mógłby już niczego odkręcić. Jeszcze raz przesunął dłonią po marynarce i dotknął tego, co miał w kieszeni. Gra toczyła się o wysoką stawkę, ale wiedział, że wszystko się w końcu ułoży. Teraz zależy to tylko od niego.

Samochód skręcił w stronę wysokiego czworokątnego szarego budynku.

Tereny te nazywały się kiedyś Karolinska, ale w dzisiejszych czasach nikomu nie przyszłoby na myśl, żeby w podobny sposób złożyć hołd Karolowi XII i jego Karolinom. Samochód toczył się powoli przez tereny należące do szpitala. Przewodniczący pomyślał, że nikt nie może być na sto procent pewien, iż nawet kilkaset lat po śmierci ktoś nie odbierze mu regaliów. Przez wiele lat Karola XII uważano za bohatera narodowego, ale potem dokonano pewnego przewartościowania i zaczęto o nim pisać jako o szkodniku i wrogu Unii. Przed wielu laty zdemontowano stojący w parku Unijnym w centrum miasta pomnik króla. Przewodniczący był już w tym wieku, że pamiętał debaty toczące się w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Pod pomnikiem zbierali się wtedy skinheadzi, aby oddać cześć wojownicznemu władcy, który całe swoje krótkie życie spędził na wojaczce. Przewodniczący jako przywódca Unii bardzo dobrze rozumie takie zachowanie, chociaż oficjalnie nigdy by się do tego nie przyznał.

Samochód zatrzymał się do kontroli bezpieczeństwa i czekał na otwarcie bramy. Minęli izbę przyjęć i podjechali pod jedno ze skrzydeł przylegających do kwadratowego korpusu, który przypominał nogę kraba. Wóz zatrzymał się przed nieoznakowanym wejściem. Jeden z ochroniarzy wysiadł z samochodu,

otworzył Przewodniczącemu drzwi i ruszył tuż za nim. Automatyczne drzwi wejściowe otworzyły się z taką siłą, że prawie uderzyły Przewodniczącego w twarz.

Po wejściu do środka Przewodniczący zatrzymał się w lobby, żeby obejrzeć olejny landszaft. Jego ochroniarz podszedł do okienka i zgłosił ich przybycie. Drugi z ochroniarzy w błyskawicznym tempie zaparkował samochód i już po kilku minutach do nich dołączył. Chwilę potem zjawił się strażnik, który przeprowadził ich przez kilka zamkniętych na klucz drzwi.

Szli jasnymi korytarzami, których ściany pomalowano na żywy zielony kolor. Co jakiś czas mijali komplety wypoczynkowe wykonane z jasnego drewna. Na stolikach leżały miękkie obrusy. Nic nie było tu ani ostre, ani kanciaste. Przewodniczący poczuł się tak, jakby płynął przez świat wykonany z masła. W końcu strażnik zatrzymał się i zapukał do drzwi, które od razu się otworzyły. Ich oczom ukazał się lekarz z siwą brodą. Na widok Przewodniczącego aż się wzdrygnął.

– Cześć – powiedział Przewodniczący tonem dobrego kumpla. – Wpadłem na chwilę, żeby sprawdzić, jak się ma nasza pacjentka. Czy możemy wejść?

Nie czekając na zaproszenie, przeszedł zdecydowanym krokiem obok lekarza w szarym fartuchu, a ochroniarze od razu zamknęli za nim drzwi.

Teraz byli w pokoju tylko oni i lekarz, który zrobił taką minę, jakby nie wiedział, jak się w tej sytuacji zachować.

– To dość niespodziewana wizyta... Ale cóż... nie ma sprawy. Proszę usiąść, krzesła stoją tam...

Przewodniczący zignorował jego słowa i nawet nie spojrzał na składane drewniane krzesła stojące w rogu pomieszczenia, tylko usiadł na fotelu przy biurku. Lekarz został na środku pokoju i nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – zaczął Przewodniczący. – Uznałem, że najwyższy czas na wizytę. Chciałbym porozmawiać z pacjentką, jeśli to możliwe.

Lekarz zaczął kręcić głową, jeszcze zanim Przewodniczący skończył mówić.

– To nie jest najlepszy moment – stwierdził. – Pacjentka znajduje się pod wpływem lekarstw i nadal jest w złym stanie.

Przewodniczący spojrzał na niego spod zmrużonych powiek.

– Fizycznym i psychicznym?

– Tak. Proces leczenia fizycznego przebiega we właściwy sposób, ale leczenie stanu psychicznego...

Lekarz pokręcił głową, a Przewodniczący uderzył obiema rękami o uda.

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z pacjentką już teraz, bo przynoszę jej dobrą nowinę. Myślę, że po naszej rozmowie od razu poczuje się lepiej.

Lekarz nie wyglądał jednak na kogoś, kto da się zbyć takim argumentem.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł...

– Na pewno. Jeśli jednak po trwającej kilka tygodni kuracji nie można

zamienić z pacjentką kilku słów, będę się musiał zastanowić, czy nie powinniśmy odsyłać takich przypadków do innych placówek, oczywiście razem z dotacjami, które idą na ich leczenie. Nie mówmy jednak teraz o takich nudnych sprawach. Chciałbym porozmawiać z pacjentką!

Przewodniczący wstał energicznym ruchem z krzesła i zapiął górny guzik marynarki. Lekarz miał taką minę, jakby ze sobą walczył, ale w końcu ustąpił. Wyjął pęk kluczy i zapukał do drzwi. Strażnik otworzył je od zewnątrz i wypuścił ich na korytarz. Przewodniczący szedł za lekarzem. Po chwili zatrzymali się przed pokojem i lekarz znowu zapukał do drzwi, tym razem delikatniej niż poprzednio. Nie słysząc odpowiedzi, wyjął pęk kluczy, włożył jeden z nich do zamka, otworzył go i wszedł do środka. Pokój był prawie pusty, stało w nim tylko łóżko. Pod kołdrą, plecami do drzwi, ktoś leżał. Przy łóżku stał stolik z kilkoma bukietami zwiędłych kwiatów. Lekarz podszedł do łóżka, chwycił leżącą na nim osobę za ramiona i zaczął nią lekko potrząsać. Po chwili odwrócił się do Przewodniczącego z zadowoloną miną.

– Pacjentka śpi. Może przyjdzie pan innego dnia?

– Zostanę tutaj. Każdy się kiedyś obudzi.

Lekarz westchnął głęboko.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział. Wyszedł z pokoju i po kilku minutach wrócił z krzesłem. Część nośna wykonana była z materiału przypominającego stal, podczas gdy siedzenie obito takim samym ciemnozielonym materiałem co podłogę. Lekarz stanął przy łóżku, uchylił okno i zastygł w tej pozycji z niepewną miną. Przewodniczący dał mu do zrozumienia, żeby wyszedł.

– Zawołam pana, gdy skończymy. Na pewno ma pan na głowie wiele innych rzeczy.

Lekarz zrobił taką minę, jakby nie chciał wyjść, ale w końcu opuścił pokój.

Przewodniczący usiadł na krześle, jeszcze raz dotknął dłonią kieszeni w marynarce, zmarszczył czoło i spojrzał na kobietę leżącą w łóżku.

ISOLA

PROTEKTORAT SZWECJI

MARZEC 2037 ROKU

Anna

Leżałam nieruchomo i wsłuchiwałam się w dźwięki dochodzące z punktu medycznego. Jego podłoga była jednocześnie sufitem mojej niszy. Jakiś kobiecy głos (Katja?) krzyczał „Nie, nie”, słyszałam kroki i głuchoe odgłosy.

Potem rozległy się głośnie trzaski, jakby na podłogę spadły jakieś ciężkie przedmioty, i w końcu zapadła cisza. Chwilę później usłyszałam jeszcze pojedyncze kroki, jakby ktoś wychodził z pokoju. Przez kilka sekund zastanawiałam się, co zrobić, i w końcu podjęłam decyzję. Na niepewnych nogach zwlekłam się z łóżka, potykając się, podeszłam do wąskich schodów, otworzyłam szczelinę w podłodze zamrażarki i weszłam do niej. O ile wyjście z niej było rzeczą trudną, o tyle powrót tą samą drogą okazał się prawie niemożliwy. Narobiłam przy tym sporo hałasu i kilka razy utknęłam w szczelinie. W końcu udało mi się zająć pozycję, w której mogłam wcisnąć kod na panelu. Razem z przyciskiem służącym do otwierania szczeliny był ukryty w czymś, co przypominało agregat chłodniczy. Ostrożnie odsunęłam pokrywę i zajrzałam do pomieszczenia.

W punkcie medycznym panował kompletny chaos. Wszędzie leżały porzucane przedmioty, jakby doszło do bójki. Pod łóżkiem, które było przewrócone do góry nogami, leżała Katja. Wszystko wskazywało na to, że nie żyje. Pod jej głową utworzyła się kałuża krwi, która rosła w szybkim tempie.

Rozsunęłam szerzej pokrywę, a gdy się upewniłam, że w pokoju nikogo nie ma, postanowiłam zaryzykować. Wygramoliłam się z zamrażarki i podczołgałam się do Katji.

– Katju – szepnęłam. – Słyszysz mnie?

Zero reakcji.

Położyłam dłoń na jej ramieniu i lekko nią potrząsnęłam, ale Katja nadal nie reagowała. Uklękałam w kałuży krwi, żeby sprawdzić oddech, ale ani go nie wyczułam, ani nie słyszałam. Nie miałam odwagi unieść jej głowy, żeby obejrzeć ranę, bo Katja leżała pod łóżkiem, które przygniotło ją do podłogi.

Wstałam więc, żeby je z niej zsunąć.

W głowie nadal miałam mętlik, a środek, który wstrzyknęła mi Katja, spowolnił moje reakcje. W pewnej chwili usłyszałam za sobą kroki.

Odwrociłam się, ale zrobiłam to zbyt wolno. Nie zauważyłam stojącej za mną osoby i nie zdążyłam osłonić się przed ciosem. Poczułam mocne uderzenie w skroń i natychmiast pociemniało mi przed oczami.

Henry

Pułkownika zastałem na plaży za budynkiem, w miejscu, do którego razem z Anną poszliśmy poprzedniego wieczoru. Wojskowy stał i wpatrywał się w wodę. Wiatr jeszcze bardziej się wzmógł, ale pułkownik nic sobie z tego nie robił. Stał wyprostowany i niewzruszony. Z daleka wyglądał na rosnącego, silnego mężczyznę, ale gdy podeszedłem bliżej, zobaczyłem, że ręce zwisają mu bezradnie.

– Coś pan zauważył? – zawołałem, żeby go nie zaskoczyć. Pułkownik odwrócił się do mnie. Oczy miał zaczerwienione, wilgotne i opuchnięte.

Popatrzył na mnie pustym wzrokiem. Domyśliłem się, że jest kompletnie albo prawie kompletnie pijany.

Pułkownik odwrócił się z powrotem twarzą do morza.

– To wielce nieprzyjemna sprawa – stwierdził, gdy stanąłem obok niego. – Anna była miłą kobietą.

Ja bym w tym kontekście nie użył słowa „miła”, ale nie dało się nie zauważyć, że pułkownik był przybity wiadomością o jej śmierci. Wcale mnie nie zdziwiło, że Anna mogła spodobać się komuś takiemu jak on. Oboje pasowali do siebie jak dwa konie robocze. Chciałem mu coś odpowiedzieć, ale nie wiedziałem jak, więc stałem tylko, wystawiając się na podmuchy wiatru. Dłonie wsunąłem głęboko do kieszeni, ramiona podciągnąłem aż do uszu, żeby nie zmarznąć, ale i tak nic to nie dało. Wiatr chłostał mnie przez cały czas drobnymi słonymi kropelkami wody. Czułem się, jakby ktoś pocierał mi twarz papierem ściernym.

– Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza – powiedział głośno pułkownik.

– Co pan ma na myśli? – spytałem. Silne podmuchy wiatru sprawiły, że i mnie zaczęły łzawić oczy. Otarłem je krawędzią dłoni i poczułem, że moje czubki palców nadal pachną Anną. Przez głowę przesunęła mi się nagle cała sekwencja obrazów przedstawiających Annę w ciemnym pokoju. Łuki brwi, zarys bioder, ciemne zagłębienie nad obojczykiem w kształcie muszli.

– To wszystko. Wyspę, śmierć Anny i ludzi, którzy tu przybyli, żeby wziąć udział w teście.

Pułkownik odwrócił się i spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, jakby czekał na odpowiedź albo jakieś wyjaśnienia z mojej strony. Widząc, że nie spieszę się z odpowiedzią, odwrócił się ode mnie.

– To wszystko nie ma sensu – stwierdził krótko.

Przez chwilę śledził wzrokiem Lotte, która szła ubrana w wełnianą kurtkę i rozglądała się bez określonego celu po zboczu, gdzie rzadkie krzaki przechodziły w nieprzebyty gąszcz. Co jakiś czas pojedyncze uderzenia wiatru prawie spychały ją ze wzniesienia. Zastanawiałem się, czy spacer w takim miejscu jest bezpieczny i czy nie powinienem jej ostrzec. Na tle wznoszącego się nad nią wielkiego budynku Lotte przypominała raczej drobną staruszkę, która szuka zagubionego portfela, niż kogoś, kto jest na tropie mordercy.

– Nie wiem też, co myśleć o awarii radiostacji – kontynuował pułkownik.

– Jej awaria to dla nas bardzo niekorzystna okoliczność. Czy pan się w ogóle orientuje, co to za miejsce?

Pokręciłem głową.

– Ja też nie i właśnie to mnie martwi. Myślałem, że to jedno z tych miejsc, które powinienem znać. Zaczynam się zastanawiać, do czego kiedyś służyło.

Komu i do jakich celów potrzebna była tak niedostępna wyspa i budynek?

– I do jakich doszedł pan wniosków?

– Do żadnych. Ciągłe się zastanawiam.

– Czy zna pan osobiście Przewodniczącego?

Wiatr zagłuszył moje słowa, ale pułkownik i tak je dosłyszał.

– Znam albo nie znam... Znam go od dawna. To karierowicz. – Pułkownik prawie wypluł z siebie to słowo. – Karierowicz i dorobkiewicz z ambicjami.

Tacy są zawsze najgorsi.

– Ufa mu pan?

– Nie bardziej niż panu. I każdej innej osobie na tej wyspie. Domyślam się, że pan ma podobne nastawienie. – Pułkownik przerwał, jakby czekał na moją odpowiedź i po chwili podjął na nowo: – Jestem pijany, ale to wcale nie oznacza, że głupi. Zauważyłem parę rzeczy. Na przykład coś, co dotyczy pana. Wiem, co pan robi, i widzę, że dobrze panu idzie.

Puls od razu mi przyspieszył. Wmawiałem sobie, że słowa pułkownika nic nie znaczą, że to stary wyjadacz, który wiele lat przepracował w tajnych służbach, i dlatego wszystkich podejrzewa. Miałem tylko nadzieję, że gdy go spytam, co ma na myśli, mój głos zabrzmiał normalnie.

– Dobrze pan wie, co mam na myśli – dodał. – Obserwuje pan innych. Widzę to.

Zrozumiałem, że więcej z niego nie wyciągnę. Zresztą nie miałem ochoty utwierdzać go w jego paranoicznych przypuszczeniach poprzez zadawanie szczegółowych pytań. Nie chciałem też w nim wzbudzać strachu ani nowych podejrzeń. Zacząłem jednak wątpić, czy to, że wszyscy mu się podporządkowaliśmy, było właściwą decyzją.

– Co pan pomyślał, gdy ją znaleźliście?

Pytanie wymknęło mi się, zanim zdążyłem się przed nim powstrzymać.

Wydawało mi się, że sformułowałem je tylko w myślach. Postanowiłem być bardziej ostrożny w okazywaniu objawów zmęczenia.

– Najpierw pomyślałem, że się po prostu przewróciła. Mogła przecież zemdleć. Kiedy moja żona wstaje z krzesła albo z kanapy, czasem spada jej nagle ciśnienie. Potem pomyślałem, że Anna się uderzyła. Kiedy jednak zobaczyłem te ślady na szyi...

Pułkownik umilkł. Żaden z nas nie miał ochoty szukać zabójcy.

Domyśliłem się, że jego zdaniem ktoś taki nie istnieje.

Nagle odwrócił się w moją stronę.

– Skąd pan się tu w ogóle wziął? – spytał.

– Byłem po drugiej stronie budynku.

– Czy ktoś tam jeszcze był?

– Post i Franziska.

Pułkownik wpatrywał się we mnie swoimi wodnistymi oczami, które nagle nabrały dawnej ostrości.

– Post i Franziska?

– Tak. Przeszukiwaliśmy przystań. Doszedłem do wniosku, że beze mnie też sobie poradzą, i przyszedłem tutaj. Pomyślałem, że może potrzebuje pan pomocy.

– Post i Franziska? – powtórzył pułkownik, tym razem o wiele

ostrzejszym tonem. – Tylko oni?

– Tak – potwierdziłem.

– W takim razie gdzie jest Katja?

Zaniemówiłem i popatrzyłem na niego dzikim wzrokiem. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pułkownik wykonał gwałtowny zwrot i ruszył przed siebie szybkim krokiem.

– Niech pan poczeka! – zawołałem.

– Niech pan zostanie i dalej przeszukuje wyspę! – krzyknął pułkownik.

Po drodze powiedział coś do Lotte, która natychmiast ruszyła za nim w kierunku budynku. Patrzyłem na nich i czułem, że głowa mi za chwilę eksploduje. Kiedy straciłem ich z oczu, zerknąłem na zegarek i pobiegłem ich śladem.

Anna

Dźwięk, który mnie obudził, przypominał natrętne brzęczenie. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam, była – jak mi się wydawało – podłoga. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że pokój jest całkiem pusty, a Katja zniknęła. Próbowałam unieść głowę, ale ból w skroniach okazał się tak silny, że z powrotem ją opuściłam. Umysł miałam pełen chaotycznych myśli.

Ponowiłam próbę i tym razem udało mi się dźwignąć do pozycji siedzącej.

Od razu zauważyłam, że ktoś wysprzątał pokój. Łóżko nie leżało już przewrócone na podłogę, tylko stało na swoim miejscu. Podłoga była czysta, bo ktoś ją umył. Jeśli nie wiedziałoby się, że jeszcze przed chwilą była tam kałuża krwi, nigdy nie zwróciłoby się uwagi na słabo widoczne smugi po mopie. Zdziwiło mnie też to, że miałam na sobie samą bieliznę. W końcu udało mi się podnieść i stanąć na chwiejnych nogach. Wydawało mi się, że moja głowa ma rozmiar i ciężar kuli do bowlingu. W ustach czułam smak krwi. W końcu zrozumiałam, skąd dobiega dźwięk, który mnie obudził: brzmiał tak, jakby ktoś bez przerwy przyciskał dzwonek umieszczony przy wejściu do punktu medycznego. Na dodatek ktoś szarpał za kłamkę.

– Przynieś klucz z kuchni! – usłyszałam czyjś głos. Zrozumiałam, że muszę stąd natychmiast zniknąć i jak najprędzej dostać się na Poziom Strategiczny. Dowlekłam się do zamrażarki, z wielkim trudem wgramoliłam się do środka i zamknęłam nad sobą pokrywę. Rozpaczliwie usiłowałam przypomnieć sobie dziewięciocyfrowy kod. Pierwsza próba była chybiona.

Usłyszałam, jak ktoś mocuje się z zamkiem. Palce tak mi się trzęsły, że z trudem trafiałam w cyfry. Druga próba też okazała się nieudana. W tym momencie drzwi prowadzące do punktu medycznego się otworzyły. Została mi ostatnia szansa. W pokoju rozległy się głosy. Jeden z nich należał do kobiety, ale nie potrafiłam określić, do której: Lotte czy Franziski.

– Wygląda na to, że jej tu nie ma.

– Jest pani pewna?

Głos należał do pułkownika.

Słyszałam, jak krążą po pokoju. Było kwestią czasu, kiedy uniosą pokrywę i mnie znajdą. Powoli wciskałam cyfry kodu. Ostatnia próba. Ręka

tak mi się trzęsła, że nie mogłam nad nią zapanować.

– Niech pani zajrzy do magazynku z lekami – usłyszałam głos pułkownika.

Był blisko zamrażarki, a mnie zostały już tylko trzy cyfry.

– To dziwne, że tak po prostu zniknęła. Nie sądzi pan?

Głos należał do Lotte i dobiegał z drugiej części pokoju. Słychać było, że jest wystraszona.

Wcisnęłam ostatnią cyfrę kodu i uruchomiłam mechanizm. Pokrywa zamrażarki została zablokowana elektronicznie. W tym samym momencie ktoś nią poruszył. Wstrzymałam oddech. Pułkownik ponownie szarpnął za pokrywę.

– Tak, to naprawdę dziwna sprawa. Czy pani wie, jak to można otworzyć?

Nagle na wysokości mojej twarzy rozbłysnął panel kontrolny zamontowany wewnątrz zamrażarki. Domyśliłam się, że pułkownik wbija na chybił trafił różne kombinacje kodów. Miałam nadzieję, że nie trafi. Tylko ja i Katja wiedziałyśmy, jak się zamyka i otwiera pokrywę. Katja zniknęła, a ja nie wiedziałam, co się z nią stało. Byłam za to pewna jednej rzeczy: ktoś wyniósł jej ciało. Jeśli zrobił to pułkownik, niewykluczone, że zmusił ją do wyjawienia kodów, i teraz, kilkadziesiąt centymetrów od mojej twarzy, próbuje odblokować mechanizm. Znowu wstrzymałam oddech.

– Nic tu nie znalazłam – powiedziała Lotte. – Może zajrzemy do kuchni?

Zauważyłam, że pułkownik przestał walczyć z blokadą. Lampka panelu kontrolnego zgasła i po chwili usłyszałam kroki. Oboje wyszli z pokoju.

Domyśliłam się, że człowiek, który zaatakował Katję, wyniósł ją z budynku i porzucił gdzieś na wyspie. Wyglądało na to, że reszta grupy jej teraz szuka.

Najwidoczniej ta sama osoba uderzyła mnie w głowę. Ktoś z zewnątrz musiał wiedzieć, że moja śmierć była pozorowana.

Przez chwilę leżałam nieruchomo i zastanawiałam się nad różnymi rozwiązaniami. Przyszło mi do głowy, że osoba, która zaatakowała mnie i Katję, może się teraz ukrywać na Poziomie Strategicznym. Jeśli tak, to nie mogę tam iść, bo wpadnę sprawcy prosto w ręce. Nie mogłam też pójść w drugim kierunku, ale leżenie w zamrażarce i czekanie na pomoc było chyba najgorszym rozwiązaniem. Dlatego mimo wszystko postanowiłam zejść.

Zrobiłam to tak cicho i ostrożnie, jak to było możliwe. Pokój na dole był pusty i znalazłam go dokładnie w takim samym stanie, w jakim go zostawiłam. Natchnęło mnie to nadzieją, że jestem jedyną osobą, która wie o istnieniu Poziomu Strategicznego i może się tam dostać. Kolana miałam brudne od zaschniętej krwi, więc wzięłam ręcznik, żeby je wytrzeć, a potem włożyłam go do torby, którą zakleiałam taśmą. Zrobiłam to na wszelki wypadek, gdyby w przyszłości miał mi posłużyć jako dowód. Na górnej półce stały lekarstwa. Z pewnym wysiłkiem sięgnęłam po buteleczkę z tabletkami przeciwbólowymi, wytrząsnęłam trzy i od razu je połknęłam.

Usta miałam wyschnięte, więc żeby tabletki dostały się do żołądka, musiałam kilka razy przełknąć ślinę. Mimo to jeszcze przez jakiś czas czułam

ich smak w ustach. Próbowалам skupić myśli na Katji i na tym, co oznacza jej zniknięcie, ale przychodziło mi to z dużym trudem. Może powinnam przerwać misję i zacząć jej szukać? Nie byłam pewna. Przecież otrzymałam polecenie, aby bez względu na okoliczności się nie ujawniać. Uznałam więc, że łatwiej mi będzie odnaleźć ją z miejsca, w którym mam do dyspozycji środki techniczne. Zasiadłam przed ekranami monitorów.

Zacząłam śledzić niewyraźne obrazy wyświetlane na poszczególnych ekranach. Lotte i pułkownik metodycznie przeszukiwali kuchnię i salon. Post i Henry szli korytarzem na piętrze i zagląдали do wszystkich pokoi.

Franziska stała przy schodach z założonymi rękami, niczego nie dotykała i nie komentowała. Jakby zastygła. Jej niewyraźna drobna sylwetka odcinała się na tle ściany. Widziałam to nawet na moim monitorze o słabej rozdzielczości, bo Franziska coraz szczelniej otulała się swoim obramowanym futrem płaszczem, jakby był na nią za mały. Po pewnym czasie cała trójka zniknęła z zasięgu kamery na piętrze i chwilę później pojawiła się w kamerze w przedpokoju. Wszyscy weszli do kuchni, gdzie były pozostałe osoby. Żeby usłyszeć, co każda z nich mówi, zerwałam się szybko z krzesła, otworzyłam wąskie drzwi i weszłam w biegnący za nimi korytarz.

– Jak to się mogło stać? – spytała drżącym głosem Lotte. Widać było, że jest na granicy załamania nerwowego. – Myślałam, że jest z wami.

– Niech każdy martwi się o siebie! – syknęła w odpowiedzi Franziska. – Jestem pewna, że gdy stąd wychodziliśmy, była z nami. Nie mam obowiązku troszczyć się o to, gdzie kto przebywa.

Franziska stała pochylona nad stołem, tuż obok Posta, który wyglądał wprost fatalnie. Najwidoczniej on też miał niezłe w czubie. Tak jak pułkownik. Post siedział głęboko pochylony na krześle, jakby zasiadał na sedesie.

Za to Franziska wyglądała tak, jakby zdążyła się otrząsnąć z pierwszego szoku i odzyskała siły. Jakimś sposobem udało jej się wygospodarować trochę czasu, który poświęciła na zrobienie makijażu i przebranie się. Zdjęła płaszcz i okazało się, że jest ubrana w czarne spodnie i różowy kardigan we wzorek przypominający tykwy. Na pierwszy rzut oka wyglądał na ręcznie robione wdzianko, ale kiedy przyjrzałam mu się bliżej, zobaczyłam, że to cholernie drogi ciuch, chyba z importu. Łatwo się było domyślić, że Franziska ubiera się tak na potrzeby sesji zdjęciowej „w warunkach domowych” dla jakiegoś magazynu dla pań. Dzięki temu mogła uchodzić za bezpretensjonalną i w pełni zrelaksowaną.

Dopiero teraz, gdy mogłam się jej przyjrzeć w nieskrępowany sposób, zauważyłam, że pod szyją ma niewielkie, dziwne wgłębienie, a gdy mówi, skóra wokół jej oczu się napręża. Pomyślałam, że to skutek operacji plastycznych. Krążyły pogłoski, że najważniejsi funkcjonariusze partyjni i różnego rodzaju dygnitarze mają do swojej wyłącznej dyspozycji klinikę chirurgii plastycznej i że są w niej zatrudnieni amerykańscy chirurdzy, którzy

przenieśli się do naszego kraju i w największej tajemnicy, za ogromne pieniądze, przeprowadzają operacje plastyczne. Ciekawe, czy Franziska też była tam operowana? Może załatwił jej to szwagier – minister spraw wewnętrznych? Tak to właśnie funkcjonuje. Wyobraziłam sobie, jak by na coś takiego zareagowała Nour, i doszłam do wniosku, że na pewno głośno by się zachnęła. Nour zawsze gardziła taką próżnością i pretensjonalnością. Obie te cechy atakowała tak gorliwie, że czasem się zastanawiałam, czy raczej nie jest zazdrosna.

Wywnioskowałam, że Nour i Franziska musiały się kiedyś obracać w tych samych sferach. Ciekawe, czy się znały. Może Franziska odwiedzała kiedyś Nour w jej mieszkaniu w Hökarängen? Wysiadywały wśród kłębów szczypiącego dymu, ze szklanką wódki w ręce, śpiewały razem partyzanckie pieśni i roztrząsały różne dylematy polityczne, podczas gdy ja leżałam w sąsiednim pokoju z poduszką na głowie i próbowałam zasnąć... Chętnie bym o to spytała Franziskę, choćby po to, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

Niestety, teraz nie było na to czasu. Domyśliłam się, że bez względu, co Franziska robiła w młodości, jej obecna pozycja wskazywała na to, iż o wiele sprawniej niż Nour pokonała polityczne meandry, którymi podążała jej partia. Gdyby porównać jej pozycję z sytuacją Nour, można by powiedzieć, że Franziska wygrała lepszy los na loterii. I tylko wyraz jej pustych oczu świadczył o czymś innym.

Tymczasem rozmowa w salonie skoncentrowała się na Katji.

– Skąd wiemy, że po prostu stąd nie wyjechała? – spytał utrudzonym głosem Post, unosząc głowę.

– Nie ma jak – odparł zmęczonym tonem pułkownik. – Przecież zaglądaliście do hangaru na łodzi. Z tego, co wiemy, na wyspie nie ma żadnej łodzi, która nadawałaby się do użytku i mogła przy tak silnym wietrze pokonać tak dużą odległość.

– Może ktoś po nią przyплыł?

Widać było, że Post nie chce zrezygnować ze swojej teorii. Tymczasem pułkownik ją negował i rozmawiał z nim jak z upartym dzieckiem, które nie chce przyjąć czegoś do wiadomości.

– Gdyby przyleciał po nią helikopter, na pewno by nam to nie umknęło.

Wyspa jest zbyt mała, żeby ktoś mógł się na niej pojawić niezauważony.

– Może sama się gdzieś ukryła?

– A po co miałyby to robić?

Zauważyłam, że Franziska używa dwóch rodzajów tonu. Pierwszy z nich był niefrasobliwy i wesoły, posługiwała się nim poprzedniego dnia podczas kolacji, gdy rozmawiała z Postem. Drugi – pełen zachnieć i niezadowolenia – był mniej sympatyczny i wydawał się jej normalnym głosem, którego używała na co dzień podczas salonowych rozmów. Post spojrział na nią.

– Sam nie wiem... Może się boi? Może wie coś, czego my nie wiemy? – zastanawiał się głośno Post. – Może wie, kto jest mordercą, i dlatego się przed nim ukrywa...

– Albo przed nią – wtrąciła Lotte.

– Albo przed nią – zgodził się. – A może po prostu... Hm... przecież to ona znalazła Annę. Skąd możemy wiedzieć, że jej nie udusiła? Potem tylko...

Post spojrział na wszystkich, żeby sprawdzić, jak zareagują na jego teorię, która w miarę, jak ją rozwijał, coraz bardziej mu się podobała. Mówił coraz silniejszym i bardziej pouczającym tonem. Kolejny raz dało się zauważyć, że jest kimś, kto nawykł do wydawania poleceń.

– Nie możemy tego wykluczyć – kontynuował. – Katja zabija Annę, zamyka ciało w zamrażarce, żebyśmy nie mogli go obejrzeć, a potem sama znika. Uważam, że to całkiem rozsądna teoria, i powinniśmy nad nią popracować.

– Podłoga – powiedział nagle pułkownik.

– Co: podłoga? – spytał Post. Wszyscy spojrzeli na pułkownika.

– Podłoga – powtórzył trochę głośniejszym pułkownik. – Wygląda na to, że ktoś zmył podłogę. Z tego, co się zorientowałem, ta sama osoba usunęła też krew.

Pułkownik wyjął z kieszeni białą chusteczkę do nosa i ją uniósł. Jedna strona była rdzawobrunatna. Wszyscy wpatrywali się w nią zdziwionym wzrokiem. Pułkownik uznał więc, że powinien wyjaśnić, o co mu chodzi.

– Kiedy razem z panią Lotte byliśmy w punkcie medycznym, zauważyłem, że podłoga wygląda tak, jak gdyby ktoś ją zmył. Wziąłem więc chusteczkę, potarłem nią kawałek podłogi i myślę, że... – Pułkownik przerwał na moment, jakby chciał nabrać rozpedu, i po chwili kontynuował: – ...że to krew. Całkiem prawdopodobne, że to krew Katji, co oznacza, że to ona zabrudziła podłogę i ktoś, może nawet ona sama, już ją wytarł. Biorąc pod uwagę obecne okoliczności, twierdzę, że najprawdopodobniej ktoś ją zranił, a potem po sobie posprzątał. Ale tego nie możemy być do końca pewni.

W obecnej chwili natomiast nie widzę uzasadnionego powodu, dla którego Katja miałaby sama się zranić, posprzątać po sobie i zniknąć. Brzytwa Ockhama, drodzy przyjaciele, oznacza, że...

– ...że to, co wydaje się prawdopodobne, jest prawdziwe – westchnęła Franziska. – Znam tę zasadę, nie musi nas pan pouczać.

Pułkownik jakby nie zauważył jej sarkastycznego tonu i kontynuował: – Na obecną chwilę mamy tylko to i nic więcej.

– Przecież podłoga mogła się zabrudzić od wszystkiego – zauważył Post, ale wypowiedział to zdanie bez przekonania.

– Kiedy byliśmy na dole, sprawdziłem przy okazji radiostację – dodał pułkownik. – Rzeczywiście nie działa.

Tymczasem Henry wciąż milczał. Wydawało się, że jest zajęty nalewaniem kawy z dzbanka. Zdziwiło mnie to, bo przecież mógł użyć dzbanka od ekspresu. W końcu wstał z krzesła i ruszył wokół stołu, żeby każdemu nalać kawy. Zachowywał się przy tym jak lokaj. Już dawniej zauważyłam, że Henry potrafi stać się niewidoczny dla innych, i doszłam do wniosku, że robi to celowo, gdy w danej sytuacji woli słuchać niż mówić.

Spojrzałam na niego i przeszył mnie bolesny dreszcz. Miałam ochotę przejść przez ścianę, dotknąć go nosem za uchem i objąć w pasie.

Henry wyglądał na zmarzniętego i zmęczonego. Dałabym wszystko, żeby w tej chwili leżeć z nim w łóżku, upić się i oglądać stare filmy. Niestety, jakiś wewnętrzny głos mi podpowiadał, że to nierealne i nigdy się nie zdarzy.

Zachciało mi się płakać.

– Uważam – powiedział pułkownik, spoglądając surowym wzrokiem na Posta – że akurat w tej sprawie powinniśmy sformułować nasze teorie bardzo ostrożnie. Jeśli nasza dyskusja zamieni się nagle w polowanie na czarownice, będziemy zgubieni. Uważam, że wszyscy powinniśmy o tym pamiętać.

Kiedy tak stałam i przysłuchiwałam się dyskusji o tym, co należy zrobić w sytuacji, gdy dwie osoby nie tylko zniknęły, ale być może są też martwe, albo jakie należy podjąć kroki, aby dokładnie przeszukać cały dom, doszłam do wniosku, że ze światem zewnętrznym można się skontaktować w jeszcze inny sposób niż tylko za pomocą radiostacji w punkcie medycznym. Przecież Lotte ma telefon satelitarny. Wczoraj wieczorem widziałam, jak przez niego rozmawiała. Zaczęłam ją więc obserwować. W odróżnieniu od Posta i Franziski ubrana była w mniej ekstrawagancki sposób. Jediną rzeczą, która kłóciła się z jej „codziennym” stylem, była duża, lśniąca skórzana czarna torebka. Lotte trzymała ją kurczowo w obu rękach i chodziła z nią po kuchni.

Od krzesła do okna i z powrotem. Doszłam do wniosku, że telefon ma w torebce i dlatego przez cały czas trzyma ją przy sobie.

Sekretarz wyraźnie podkreślał, że moja rola polega wyłącznie na obserwowaniu pozostałych osób. Zabronił mi interweniować, bez względu na to, co będzie się działo. Teraz jednak zaczęłam wątpić, czy w moich instrukcjach uwzględnił też taką sytuację. Po pierwsze, w pewnym sensie zostałam „zdemaskowana”, bo ktoś przecież wie, że wcale mnie nie zamordowano. Po drugie, ta sama osoba próbowała mnie unieszkodliwić.

Ponieważ jednak nie odnaleziono mojego ciała, osoba ta musiała dojść do wniosku, że sztuczka się nie udała, a ja nadal przebywam na wyspie. Być może jestem ranna, ale wciąż żyję. Na dodatek zaginęła Katja. Jeśli nie jest martwa, to być może ciężko ranna. Na podłodze było mnóstwo krwi.

Zastanawiałam się, czy nie wyjść z kryjówki, żeby o wszystkim opowiedzieć, ale ostatecznie uznałam, że bezpieczniej będzie tu pozostać. Oprócz mnie chyba nikt inny nie wie o istnieniu Poziomu Strategicznego, a jeśli nawet tak, to ten ktoś się nie orientuje, jak tam trafić. Dzięki temu na razie mam nad nimi przewagę. Poza tym wciąż pamiętałam groźby, które Przewodniczący skierował wobec mnie na czternastym piętrze biurowca rządowego.

Przerwanie misji mogłoby skutkować konsekwencjami, o których wolałam nie myśleć. Kiedy jednak ujrzałam, jak Lotte przyciska do ciała torebkę, pomyślałam, że być może istnieje inne rozwiązanie, a mianowicie próba skontaktowania się z Przewodniczącym.

Pułkownik oparł się rękami o kolana i z trudem wstał z krzesła.

– Musimy ponownie przeszukać dom, tym razem dokładnie i

szczegółowo.

Jeśli Katja się ukrywa albo jeśli ktoś ukrywa ją w tym domu, może to oznaczać, że jest poważnie ranna. Proponuję więc, abyśmy się podzielili.

– A ja proponuję, żebyśmy zjedli śniadanie – wtrącił cicho Henry.

– Całkiem słusznie – odparł pułkownik, spoglądając na niego z wdzięcznością. – Pan i Lotte zostaniecie na dole. Najpierw przeszukacie dolną kondygnację, a jeśli nic nie znajdziecie, zacznijcie szykować śniadanie.

My przeszukamy dokładnie resztę domu. I módlmy się, żeby znaleźć Katję, zanim będzie za późno.

Pułkownik spojrzał wyzywającym wzrokiem na Franziskę i Posta, a potem z resztą osób wyszedł z kuchni.

Zastanawiałam się, co powinnam zrobić w sytuacji, gdy cała grupa się podzieliła. Po chwili namysłu postanowiłam wrócić do pokoju z monitorami, aby obserwować obie grupy w tym samym czasie. Przez następne pół godziny śledziłam wszystkich na ekranach; przeszukiwali każde miejsce, bez względu na to, czy miało to uzasadnienie, czy nie. Lotte i Henry sprawdzili kuchnię i salon, a potem zajrzeli we wszystkie możliwe zakamarki znajdujące się między tymi pomieszczeniami. W tym samym czasie pułkownik, Post i Franziska przeszukiwali pokoje na piętrze. Lotte nadal miała ze sobą torebkę, wchodziła z nią do pokoi i odkładała ją tylko wtedy, gdy musiała użyć obu rąk. Zauważyłam, że Henry zerkał co jakiś czas na tę torebkę.

Pomyślałam, że on też wpadł na pomysł z telefonem satelitarnym. Być może szukał okazji, aby go wyjąć, a może tylko o nim myślał, w taki sam sposób jak ja. Wszystko wskazywało na to, że nie rozmawiał z Lotte na ten temat.

W końcu oboje wrócili do kuchni i zabrali się do przygotowywania śniadania. Po chwili pojawiła się tam grupa, która przeszukiwała piętro.

Opuściłam więc moje stanowisko i przeszłam do korytarza biegnącego wzdłuż ściany kuchni, w której panowała przytłaczająca cisza. Pięć osób jadło śniadanie, szary świt przeszedł powoli w przedpołudnie, wiatr jeszcze bardziej się wzmógł.

Nagle Henry wstał z krzesła, podszedł do okna, wyjrzał na dwór i odwrócił się twarzą do reszty osób.

– Co tam się dzieje? – spytał.

Pułkownik wstał od stołu, stanął obok Henry'ego i spojrzał przez okno.

– Nie wiem... Czy ktoś mógłby mi podać lornetkę? Chyba wisi w korytarzu.

Lotte wstała z krzesła, wyszła do przedpokoju i wróciła z lornetką, którą podała pułkownikowi. Ten przyłożył ją do oczu i wydał cichy okrzyk.

– Co u diabła... Przecież to pomost!

Wszyscy zerwali się z krzesel, podczas gdy pułkownik chwycił kurtkę i popędził do drzwi. Reszta osób ruszyła za nim. Zauważyłam, że Lotte zostawiła torebkę na krześle. Zrozumiałam, że trafia mi się wyjątkowa okazja.

Kiedy się upewniłam, że wszystkie osoby pobiegły na pomost, przeszłam przez zamrażarkę do punktu medycznego. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, podeszłam do półki z lekarstwami, zdjęłam z niej jedno z pudełeczek, schowałam je do kieszeni i szybko opuściłam pokój. Teraz, gdy dom był pusty, wydał mi się wprost olbrzymi. Wpadłam do kuchni skulona, żeby nie zauważono mnie z zewnątrz, chwyciłam torebkę Lotte i przez chwilę mocowałam się z zamkiem. W końcu udało mi się go otworzyć. Zawartość torebki stanowiła dowód na to, że Lotte należy do osób, które lubią być przygotowane na każdą okoliczność. Znalazłam w niej portfel, klucze, gumę do żucia, analogowy rozkład jazdy autobusów, tampony, plastry, plik paragonów spiętych spinaczem, nadgryziony kawałek czekolady, dziecięcy rysunek przedstawiający pomarańczowe bohomy i zegarek, który wyglądał tak, jakby Lotte kupiła go w sklepie z tandetą.

Kiedy byłam małą, Nour miała dużą torbę, z którą się nie rozstawała. Nie pozwalała mi do niej zaglądać i pewnie dlatego lubiłam w niej grzebać, gdy Nour tego nie widziała. Traktowałam jej torebkę jak encyklopedię, z której mogłam się wiele o Nour dowiedzieć.

Zbierałam paragony z miejsc, w których piła kawę i ze sklepów, gdzie robiła zakupy. Zaglądałam do jej kalendarza, żeby sprawdzić, z kim się spotyka. Często nie robiła zbyt szczegółowych notatek, tylko zaznaczała coś literą albo godziną. Wszystko to zapamiętywałam i gromadziłam w moim wewnętrznym skarbcu, jakbym szukała na Nour jakichś haków. Szczerze mówiąc, nie do końca wiedziałam, po co to robię.

Torebkę należącą do Lotte przeszukałam w równie metodyczny sposób, chociaż od razu zauważyłam, że nie było w niej telefonu satelitarnego. Ze środka wyjęłam szpilkę do włosów, zamknęłam torebkę na zamek i odstawiłam na miejsce. Spojrzałam ostrożnie przez okno, aby się upewnić, czy ktoś nie wraca, a potem przemknęłam do kuchni i wbiegłam schodami na korytarz na piętrze. Policzyłam drzwi w lewym skrzydle i podeszłam do tych, które prowadziły do pokoju Lotte. Chciałam otworzyć zamek szpilką do włosów (nauczyłam się tej sztuczki w dzieciństwie, potem udoskonaliłam ją w Kyzył-kum), ale okazało się, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Weszłam do pokoju, w którym nadal panował półmrok. Żaluzje były częściowo zasunięte, ubrania porzucane po całym pokoju. Na podłodze leżały używane bawełniane majtki włożone w parę nylonowych rajstop. Łóżko było niepościelone, jakby ktoś przed chwilą zrzucił z siebie kołdrę i wybiegł z pokoju. Pewnie tak to właśnie wyglądało. Ukryta przed ludzkim wzrokiem w tajnym korytarzu, miałam wrażenie, że przebywam w nierzeczywistym świecie. Za to teraz prawie spanikowałam. Czułam się naprawdę niezręcznie, chodząc po cudzym pokoju, grzebiąc w rzeczach i ubraniach, zaglądając do garderoby i łazienki. Wydawało mi się, że zachowuję się jak szaleniec, który przekroczył wszelkie granice. I chociaż ukrywałam się dopiero pół doby, czułam się nienaturalnie: stałam na środku pokoju zamiast ukryć się w ciemnym korytarzu. W końcu głęboko odetchnęłam, wzięłam się w garść i zaczęłam przeszukiwać pomieszczenie.

Robiłam to w sposób metodyczny i co jakiś czas patrzyłam przez okno.

Reszta grupy zdawała się pochłonięta tym, co działo się na pomoście, a ja modliłam się w myślach, żeby zostali tam jak najdłużej. Przeszukiwanie pokoju szło mi niezwykle powoli, bo po zastrzyku, który przed kilkoma godzinami zrobiła mi Katja, i po uderzeniu w głowę moje dłonie nadal nie były do końca sprawne. Kilka razy złapałam się na tym, że stoję na środku pokoju z jakimś przedmiotem w ręce i nie umiem powiedzieć, jak tu trafiłam i jak długo tak stoję. Postanowiłam więc zadziałać strategicznie. Zajrzałam nawet do zbiornika przy sedesie, ale telefonu nigdzie nie znalazłam.

Niewykluczone, że Lotte zabrała go ze sobą i ukryła pod ubraniem, ale jakoś nie chciało mi się w to wierzyć, bo telefon był duży i nieporęczny. Nagle doznałam olśnienia: przecież o telefonie wiedziała jeszcze jedna osoba, która mieszkała w sąsiednim pokoju.

Henry.

Jego pokój też nie był zamknięty na klucz. Weszłam do środka i zatrzymałam się za progiem. W dziennym świetle pomieszczenie wyglądało inaczej niż nocą, ale jedna rzecz się w nim nie zmieniła: prawie nic nie wskazywało na to, że Henry tu przebywał. W przeciwieństwie do bałaganu, jaki zastałam w pokoju Lotte, u Henry'ego panował całkowity porządek. Nie zauważyłam ani jednego przedmiotu wskazującego na to, że Henry albo w ogóle k o l w i e k tu mieszka. Łóżko było pościelone jak w typowym pokoju hotelowym, kołdra równa i nic nie leżało na wierzchu, z wyjątkiem książki w kieszonkowym wydaniu na nocnej szafce. Najpierw zajrzałam pod łóżko i znalazłam tam pustą granatową walizkę. Wskazywało to na to, że Henry rozpakował wszystko, co w niej było, a pustą walizkę wsunął pod łóżko.

Nie wiem dlaczego, ale ten jego porządek mnie zirytował. Podeszłam do garderoby i otworzyłam ją. Ubrania Henry'ego wisały w perfekcyjnym ładzie. Na podłodze stała para brązowych skórzanych pantofli. Znalazłam też dwie marynarki, ciemne spodnie, świeżo wyprasowane koszule na wieszakach i parę majtek. W szufladzie leżały dwa sweterki z dzianiny. Jeden z nich rozpoznałam – Henry miał go na sobie poprzedniego wieczoru. Ten anonimowy porządek w szafie zarówno mnie zirytował, jak i zafascynował.

Dziwne... Oglądanie jego ubrań i dotykanie ich miało w sobie coś zmysłowego, bo przecież stykały się z jego skórą, klatką piersiową, ramionami. Wyciągnęłam rękę, przesunęłam nią po jasnoszarej koszuli, pochyliłam się i powąchałam ją. Pachniała proszkiem do prania.

Odprasowane kanty na rękawach były tak równe, że prawie ostre.

Próbowałam sobie przypomnieć, czy sama prasuję koszule, czy raczej oddaję je do pralni chemicznej.

Po przeszukaniu garderoby Henry'ego poczułam nad nim pewną przewagę. Czułam się tak, jakbym wreszcie mogła obserwować go bez żadnych ograniczeń i bez jego wiedzy. Zdjęłam z wieszaka koszulę, którą miał na sobie poprzedniego wieczoru, i wciągnęłam jej zapach. Lekko

pachniała wodą po goleniu i ludzkim ciałem.

Przez krótką chwilę zmagalam się z pokusą, żeby ją ze sobą zabrać, ale szybko dostrzegłam niestosowność takiego zachowania. Odwiesiłam więc koszulę na miejsce i kontynuowałam poszukiwania po omacku. W końcu za ubraniami znalazłam wbudowaną w ścianę szafkę wielkości sejfu. Okazało się, że nie jest zamknięta na klucz. I chociaż w garderobie było dość ciemno, od razu zobaczyłam, co leży w środku: plik papierów – akta personalne – a wśród nich kopia pierwszej strony mojego paszportu. Znalazłam też jeszcze coś – pistolet.

Cofnęłam się jak oparzona i cicho krzyknęłam. Prędko podeszłam do okna i ku swej rozpaczce ujrzałam, jak cała grupa maszeruje szybkim krokiem w stronę domu. Nie wiedząc dlaczego, chwyciłam pistolet, zamknęłam szafkę, wyszłam z pokoju i zbiegłam po schodach. W chwili gdy wchodziłam do zamrażarki, usłyszałam, jak otwierają się drzwi wejściowe do budynku.

Ktoś zawołał: „Proszę zejść na dół i przynieść koc!”. Kroki były coraz bliżej, ale tym razem udało mi się zamknąć pokrywę od razu. Leżałam nieruchomo z bijącym sercem i słyszałam, jak ktoś buszuje gorączkowo po pokoju.

W końcu znalazł to, po co przyszedł, bo chwilę później usłyszałam oddalające się kroki i trzask zamykanych drzwi. Próbowałam się skoncentrować i zaczęłam liczyć powoli do stu. Potem przecisnęłam się przez szczelinę i zeszłam. Szłam wąskimi schodami możliwie jak najciszej, aż w końcu zdyszana, z bronią w ręku, znalazłam się w moim podziemnym pokoju.

Henry

– Gdzie on jest? Gdzie on jest?

Lotte wykrzykiwała to pytanie tuż przy moim uchu. Z trudem nad sobą zapanowałam, mało brakowało, a kazałbym się jej zamknąć. Piąłem się mozolnie po drabinie w ciężkim, oblodzonym ubraniu, a gdy pokonałem ostatni szczebel, położyłem się na plecach, próbując złapać oddech.

Rozpiąłem kamizelkę ratunkową i zdjąłem ją razem z moką, ciężką kurtką.

Przewróciłem się na bok, wypluwałem z siebie morską wodę i zaniósłem się kaszlem. Przyłożyłem czoło do błotnistego, zdeptanego trawnika, próbując wyrównać oddech. Mało brakowało, a nie dopłynąłbym do brzegu.

Mniej więcej kwadrans wcześniej pobiegliśmy wszyscy na pomost, a właściwie na trawnik przy drabinie powyżej miejsca, w którym wcześniej znajdował się pomost. Kiedy dobiegliśmy na miejsce, ujraliśmy, jak woda unosi go w stronę otwartego morza. Wiedzieliśmy, że bez pomostu żadna większa łódź nie przybije do lądu, zwłaszcza w taką pogodę. Jeśli odpłynie, zostaniemy całkowicie odcięci od świata.

– Musimy go jakoś zatrzymać! – krzyknąłem do reszty. Wiatr wiał z coraz większą siłą. Jeśli dalej będzie się wzmacniał, prawdopodobnie zacznie się

sztorm. Przez cały czas zacinał boczny deszcz.

– W hangarze widziałem ponton! – zawołał Post.

– Niech go pan przyniesie! – krzyknąłem w odpowiedzi. Post wrócił minutę później, ciągnąc za sobą duży nadmuchiwany ponton wojskowy z niewielkim silnikiem zaburtowym. Wiatr od razu zaatakował Posta i prawie oderwał go od skały. Lotte podbiegła, żeby mu pomóc, i razem zaczęli spuszczać ponton na ziemię. Kiedy schodziłem po drabinie, wiatr silnie mną szarpnął i kilka razy prawie zepchnął mnie ze szczebli. W końcu znalazłem się na wąskim skrawku plaży i z trudem odebrałem od nich ponton. Udało mi się go spuścić na wodę w miejscu chronionym od wiatru przez skałę.

– Zejdzie pan? – zawołałem do pułkownika. Ten spojrzał na mnie z wahaniem, ale w końcu zaczął schodzić po drabinie. Post wykonał ruch, jakby chciał pójść za nim.

– Niech pan tam zostanie! Łódź jest za mała!

Post zatrzymał się na pierwszym szczeblu i wrócił na górę. Na jego twarzy zauważyłem wyraz ulgi. Pułkownik wszedł do łodzi i usiadł skulony na rufie.

Chwyłem leżące na dnie wiosła, a gdy z trudem udało nam się odbić od brzegu, uruchomiłem silnik i skierowałem łódź w kierunku pomostu, który dryfował coraz dalej od lądu. Kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od ostrych skał i nikt nie mógł nas usłyszeć, usadowiłem się tak, żeby osobom, które zostały na lądzie, zasłonić pułkownika.

– Muszę z panem porozmawiać – zawołałem. Wyłączyłem silnik i przysunąłem się bliżej niego.

Kiedy skończyłem, nabrałem głęboko powietrza, czekając na reakcję pułkownika, który przez cały czas patrzył mi w oczy. Jego nie były już takie wodniste i nieobecne jak przedtem. Dopiero teraz zrozumiałem, jaki szacunek musiał wzbudzać w dawnych czasach. Ktoś taki jak on wie, co trzeba zrobić.

– Jest pan tego absolutnie pewien? – spytał.

– Jak najbardziej – odparłem z nadzieją, że okaże się to prawdą.

Pułkownik odwrócił głowę, spojrzał na brzeg i cicho się roześmiał.

– Niech to szlag! – powiedział.

Potem wprawnym ruchem – jak gdyby robił to wiele razy wcześniej – rozkołysał łódź i przewrócił ją. Obaj znaleźliśmy się w lodowatej wodzie.

Anna

To prawda, zabranie broni z pokoju Henry'ego nie było mądrym posunięciem. Uświadomiłam to sobie, gdy leżąc w zamrażarce, w końcu się uspokoila. Podjęłam ryzyko i na pewno wzbudzę podejrzenia Henry'ego, bo przecież pistolet sam nie mógł zniknąć. Henry bez wątpienia dojdzie do tego samego wniosku. Po co jednak trzymał w pokoju broń? Od tego pytania nie da się uciec, podobnie jak od innego, a mianowicie, dlaczego znalazłam u niego moje akta osobowe. Rodzi to kolejne pytanie: jeśli wzięłam pistolet, to dlaczego nie zabrałam także moich akt?

Byłam na siebie zła, że działałam za szybko i za wolno. Henry nie był z pewnością zwykłym kandydatem na oferowane stanowisko, jego obecność na wyspie miała coś wspólnego ze mną. Tymczasem ja przez cały czas byłam przekonana, że mogę mu zaufać, że gramy w tej samej drużynie. Kiedy więc znalazłam w jego garderobie pistolet i moje akta osobowe, poczułam się tak, jakbym odkryła tylne drzwi do jego mózgu i natrafiłam w nim na coś, czego najmniej się spodziewałam.

Położyłam pistolet na stole i zaczęłam go dokładnie oglądać. Był to jakiś nowy rodzaj broni palnej, wcześniej nigdy takiej nie widziałam. Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, bo przez całe życie miałam do czynienia jedynie ze starymi mauzerami, rewolwerami i radzieckimi AK4, których używała milicja w Kyzył-kum. Broń leżąca przede mną znacznie się od tamtej różniła. Wyglądała na zupełnie nową konstrukcję. Wąska, mechaniczna, z pociskami w magazynku, bez żadnych zdobień, które kojarzyły mi się z bronią myśliwską. Myślę, że był to pistolet używany przez wojsko. Wiedziałam, że Henry służył kiedyś w armii, bo sam mi o tym przelotnie wspomniał. Rozmawialiśmy wtedy o sprawach związanych z przygotowaniem wyjazdu do Kyzył-kum. Tyle że wiele osób ma za sobą taką przeszłość i nic to nie znaczy. A może Henry nadal pracuje dla armii?

Na przykład jako szpieg? Wstrzymałam oddech. Jego milczenie zawsze wydawało mi się dziwne, czasem odnosiłam wrażenie, że jest wprost patologiczne. A może raczej profesjonalne? Przypomniłam mi się jego pedantycznie wysprzątany pokój, bezpretensjonalne ubrania i dyskrecja.

Wiedziałam o nim tylko tyle, ile sam mi o sobie opowiedział. A teraz jeszcze to... Myśli kłębiły mi się w głowie. Nie potrafiłam określić, czy to objaw paranoi, czy naiwności. Nie miałam żadnych wskazówek ani wzorców, które by mi podpowiedziały, jak powinnam zareagować w takiej sytuacji.

W końcu usiadłam i zaczęłam wpatrywać się apatycznym wzrokiem w ekrany monitorów. Próbowałam coś wymyślić, gdy nagle na jednym z ekranów pojawiła się cała grupa. Obserwowałam, jak wpadli do przedpokoju. Po chwili zauważyłam, że brakuje pułkownika. Nie zdążyłam się jednak nad tym zastanowić, bo ujrzałam, jak Henry idzie w kierunku schodów. Pewnie szedł do swojego pokoju. Cicho i szybko wbiegłam w ukryty korytarz i po chwili znalazłam się na wysokości jego pokoju. Henry zdejmował, a właściwie zdzierał z siebie mokre ubranie, jakby nie mógł się go odpowiednio szybko pozbyć. Zrzucił z siebie wszystko, co miał na sobie, i stanął zupełnie nagi. Patrząc na niego, trudno mi było zrozumieć, że niecałą dobę wcześniej kochaliśmy się w jego pokoju. W dziennym świetle jego ciało wydało mi się zarówno obce, jak i znajome. Dopiero teraz zobaczyłam, że całe jest w bliznach. Dłuższa z nich znajdowała się na udzie. Druga ciągnęła się w niebezpiecznie bliskiej odległości od serca, na wysokości mostka, i przypominała wlot po kuli. Wczoraj wyczułam dłonią bliznę na piersi, ale byłam zbyt zajęta Henrym, żeby się jej dokładnie przyjrzeć. Henry wszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Przesunęłam się trochę bliżej w tamtą

stronę, aż znalazłam się na wysokości łazienki. Przez chwilę stałam niezdeterminowana i zastanawiałam się, czy powinnam zajrzeć do środka. To, co czułam, obserwując obcych ludzi przez otwory w ścianie, było niczym w porównaniu z tym, co czułam na myśl o tym, że będę oglądać Henry'ego w łazience bez jego wiedzy. Nie tylko jednak niechęć sprawiła, że czułam się tak niezręcznie. Prawda była taka, że ja po prostu chciałam go zobaczyć pod prysznicem i było mi z tego powodu wstyd. Zaczęłam wodzić w ciemnościach palcami po ścianie, żeby odszukać otwór, ale po dłuższych poszukiwaniach zrezygnowałam, bo nic nie znalazłam. Najpierw się zdenerwowałam, potem lekko zezłościłam, a na końcu zaniepokoiłam.

Czyżby Henry został celowo umieszczony w pokoju, w którym nie można go obserwować? Czy o tym wiedział? I co to ma wspólnego z bronią?

Przyłożyłam ucho do ściany, ale słyszałam tylko szum wody, która spływała nieregularnym strumieniem, jak wtedy, gdy ktoś się myje pod prysznicem i powoli się pod nim porusza.

W końcu Henry zakręcił prysznic i wyszedł z łazienki, z ręcznikiem obwiązany wokół bioder. Z punktu, w którym stałam, nie widziałam garderoby, ale słyszałam, że do niej wszedł i zaczął czegoś szukać. Pewnie czystego ubrania. Nagle dźwięki dochodzące ze środka stały się jakby bardziej gwałtowne. Henry cofnął się o krok i rozejrzał się wokół siebie dzikim wzrokiem. Domyśliłam się, że zauważył brak pistoletu. Wyrzucił z garderoby wszystkie ubrania, zerwał pościel z łóżka, wyjął spod niego walizkę, rzucił ją obok ubrań i zaczął wśród nich grzebać. Obserwując jego zachowanie, miałam prawdziwy ubaw. W akcie desperacji Henry zajrzał nawet pod książkę leżącą na nocnej szafce. Wreszcie zrobił taką minę, jakby się poddał. Usiadł na brzegu łóżka ze wzrokiem wbitym przed siebie.

Siedział tak prawie minutę, aż w końcu coś chyba postanowił, bo szybko się ubrał i wyszedł z pokoju. Ruszyłam za nim tajnym korytarzem.

Ostatni raz Nour została przyjęta do szpitala po tym, jak zachorował dziadek.

Stało się to kilka lat po jego powrocie do kraju. Uzyskanie zgody na emigrację było długim procesem, ponieważ Bośnia nie należała już do Unii.

W końcu jednak dziadek dostał pozwolenie na wyjazd. Wcześniej nie był zbyt zaangażowany w działalność partii, a gdy się okazało, że gotów jest nawet zrzec się emerytury, ktoś uznał, że wypuszczenie go z kraju jest bardziej opłacalne niż trzymanie go tu na siłę. Nie wiem, czy Nour była z tego powodu nieszczęśliwa, bo w ogóle o tym ze mną nie rozmawiała.

Problem powstał dopiero wtedy, gdy dziadek zachorował. Nour chciała do niego pojechać, ale dostała zakaz. Usłyszała, że jest potrzebna tutaj, bo państwo nie może pozwolić, aby osoba o takich kwalifikacjach opuściła kraj.

Władze obawiały się, że nie wróci. Wszystko to działo się już po mojej wyprowadzce z domu, więc nie za bardzo wiedziałam, co było dalej.

Pamiętam tylko, że Nour słała jeden wniosek za drugim. „Prośba o zgodę na opiekę nad umierającym rodzicem”, napisała wielkimi, czerwonymi

literami na jednej z kopert, które wysłała do władz. Wiem, bo widziałam ją w przedpokoju przed wysłaniem. Już wtedy wiedziałam, że Nour ma kłopoty z załatwieniem wizy wyjazdowej, choć do sporów między nią a partią dochodziło także wcześniej. Chyba jednak nie przeczuwałam, jak bardzo była zdeterminowana.

Pewnego dnia przeprowadziłam z Nour dziwną rozmowę telefoniczną.

Poprosiła mnie, abym przyjechała do domu i zawiozła ją do szpitala. Była to dość nietypowa jak na nią prośba, bo na co dzień chlubiła się, że nigdy nie choruje. Kiedy po nią przyjechałam, drzwi były zamknięte, w mieszkaniu unosił się zapach stęchlizny. Zawołałam ją, ale nie odpowiedziała.

Zlewozmywak w kuchni zawalony był naczyniami, jakby zalegały tam niepozmywane od wielu dni. Na stole w kuchni leżała kostka lekko zjełczałego masła. Zajrzałam do sypialni i okazało się, że Nour leży w łóżku i śpi. Od czasu gdy byłam dzieckiem, nie widziałam jej śpiącej. Rysy twarzy miała łagodne i spokojne, zmarszczka między brwiami zniknęła, ale ogólnie wyglądała strasznie. Miała bladą, prawie oliwkowozieloną twarz, a skórę na ramionach tak zwiotczałą, jakby była o kilka numerów za duża.

Zrozumiałam, że Nour jest od dłuższego czasu chora. W pokoju unosił się mdły zapach niemytego ciała, na podłodze pod łóżkiem stały albo leżały szklanki, kubki, talerze i mnóstwo pustych opakowań po środkach przeciwbólowych. Usiadłam na brzegu łóżka i położyłam dłoń na jej ramieniu. Nie wiedziałam, czy ją obudzić, ale po chwili chyba poczuła, że jestem w pokoju, bo odwróciła głowę i spojrzała na mnie zaspanymi oczami.

– To ty? – spytała zdziwionym głosem.

– Od jak dawna jesteś chora? – odparłam.

Nour spojrzała na mnie, jakby nie do końca rozumiała, o co mi chodzi.

– Od jak dawna jesteś chora? – powtórzyłam pytanie.

Nour chrząknęła. Podałam jej szklankę z wodą, która wydała mi się najświeższa. Nour wzięła ją ode mnie i uniosła głowę, żeby się napić. Potem opadła na poduszkę i popatrzyła na mnie uważnie.

– Musisz mnie zawieźć do szpitala – powiedziała. – Czuję, że powinnam się poddać przeglądowi.

– Poddać się badaniu – poprawiłam ją. – Jesteś chora.

Nour pokręciła poirytowana głową.

– Nie, nie... muszę się poddać przeglądowi. Zamierzam przejść na wcześniejszą emeryturę.

Nour wypowiedziała te słowa zdecydowanym tonem. Na jej czole znowu pojawiła się zmarszczka. Nie bardzo rozumiałam, o co jej chodzi.

– Jesteś tylko chora. Po co miałabyś przechodzić na wcześniejszą emeryturę?

– Oni muszą to zrobić teraz – odparła, zaciskając usta jak uparte dziecko.

Dopiero teraz zrozumiałam, co chciała mi powiedzieć. Poczułam, jak przeszył mnie dreszcz.

– Nie – powiedziałam.

– Tak – odparła Nour, patrząc mi zdecydowanym wzrokiem w oczy.

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu i mierzyłyśmy się spojrzeniami.

Kiedyś słyszałam o takich przypadkach: ludzie posuwali się tak daleko, że na własne życzenie stawali się nieużyteczni dla partii tylko po to, aby uzyskać zgodę na wyjazd z kraju. Wtedy myślałam, że to jedna z tych historii, jakich wiele jest w obiegu.

– Usiądź, obejrzę cię – zaproponowałam.

– Nie trzeba. Zrobią to w szpitalu.

– Ale ja chcę. Usiądź, proszę.

Nour uniosła się z trudem i niechętnie. Podciągnęłam jej koszulę. W dolnej partii lędźwi miała przyklejony poplamiony kompres, od którego bił kwaśny zapach. Ostrożnie go poluzowałam i jęknęłam słabo, gdy od skóry oderwały się odklejone kawałki. W miejscu, gdzie był przyklejony plaster, pozostały drobne kawałeczki kleju. Rana, z której sączył się płyn mózgowo-rdzeniowy, znajdowała się między dwoma kręgami, na samym środku pleców. Płynęła z niej ropa.

– Mam problemy z chodzeniem – powiedziała nagle Nour. – Musisz mnie podeprzeć.

– A poza tym jak się czujesz? Coś cię boli?

– Głowa, ale wcale mnie to nie dziwi.

– A nie mogłaś sobie po prostu upuścić żelazka na nogę? – zażartowałam, głaszcząc ją delikatnie po włosach. Nour pokręciła głową.

– Nie żartuj. Złamanie nogi można wyleczyć. To musi być coś trwałego, przewlekłego.

Ostrożnie przemyłam jej ranę. Wyglądała naprawdę nieprzyjemnie.

Chciałam spytać, kto jej to zrobił, ale wiedziałam, że nic mi nie powie i nie ma sensu drażnić tematu. Temu, kto jej to zrobił, mogłaby się stać krzywda.

Gdybym i ja usłyszała prawdę, też mogłoby mi się przytrafić coś złego.

– Głupia jesteś – powiedziałam łagodnym głosem.

– Chodzi o mojego ojca – odparła cicho Nour. – Nie mogę mu pozwolić umrzeć w samotności.

Założyłam jej nowy opatrunek i pogłaskałam lekko po plecach.

Poprawiłam poduszkę, żeby najbardziej miękką część miała bezpośrednio pod plecami.

– Możesz się znowu położyć.

Nour opadła z głębokim westchnieniem na łóżko i popatrzyła na mnie surowym wzrokiem.

– Powinnaś wiedzieć, że ja też się tobą tak opiekowałam. A ty mną. To jedyna przyzwoita rzecz.

– Wiem – odparłam.

Potem już się nie odzywałam, tylko przez chwilę siedziałam na łóżku.

W szpitalu Nour zrobiła scenę. Pierwszy lekarz, który ją badał, wezwał następnego. Potem zjawiała się tajna policja. Zaprowadzono mnie do pokoju bez okien, gdzie przez długie godziny przesłuchiwał mnie jakiś człowiek w mundurze, o nieokreślonej randze. Czy wiedziałam, co Nour zamierzała

zrobić? Czy wiem, kto dokonał zabiegu? Nie musiałam odpowiadać na to drugie pytanie przecząco, bo sami się tego domyślili. Tak w każdym razie rozumiałam po ich pytaniach. Powiedziałam więc prawdę, a mianowicie, że jej obecny stan wiąże się z chorobą ojca w Bośni i że Nour chce przejść na wcześniejszą emeryturę, żeby tam pojechać i się nim zaopiekować. Te same pytania, na które udzielałam takich samych odpowiedzi, zadawano mi na okrągło, w mniej lub bardziej różnych wariantach. W końcu mnie wypuścili, ale nie pozwolili mi pożegnać się z Nour.

Potem się dowiedziałam, że przenieśli ją do szpitala więziennego.

Trzymali ją tam przez sześć tygodni. Powiedzieli jej (o czym dowiedziałam się znacznie później), że to ja ją zadenuncjowałam. Kiedy po sześciu tygodniach zadzwoniłam do więzienia, usłyszałam, że Nour jest już w domu.

Chodziła o kulach i przeszła na wcześniejszą emeryturę. Niestety, dziadek już nie żył, a Nour na zawsze stała się dysydentką, która wszędzie musiała chodzić o kulach. Nigdy więcej nie poruszałyśmy tego tematu, ale często wracam myślami do tej sprawy. Czego się nie robi dla rodziny...

W Kyzyl-kum widziałam wielu okaleczonych ludzi. Matki kaleczyły swoich synów, żeby zatrzymać ich w domu, mężczyźni strzelali sobie w nogi i stopy, żeby nie iść do wojska. Widziałam tam tyle martwych ciał, że z czasem ich widok stał się dla mnie czymś powszednim. Jednych w ogóle nie znałam, ale widok martwych znajomych sprawiał mi ból. Niektóre ciała były tak bardzo okaleczone, że prawie odczuwałam ulgę, iż te osoby nie żyją. Niektórzy ze zmarłych i zabitych wyglądali tak, jakby po prostu leżeli i spali. Jedne osoby były stare, inne zbyt młode. Nigdy by mi jednak nie przyszło do głowy, że czasem wolałabym mieć przed sobą zwłoki niż znaleźć się w sytuacji, gdy na odległej wyspie nagle znikają dwie osoby i nikt nie potrafi odnaleźć ich ciał.

Do takiego właśnie doszłam wniosku, gdy podsłuchiwałam rozmowę, którą Franziska, Post, Lotte i Henry prowadzili w kuchni; starali się dociec, co się tak naprawdę wydarzyło. Kiedy ponton się przewrócił, pułkownik zniknął pod wodą. Poszukiwanie zwłok było jednak niemożliwe, bo wiał zbyt silny wiatr. Poza tym straciliśmy ponton. Oznaczało to, że zostaliśmy całkowicie odcięci od świata. Post nie był zbyt zadowolony z odpowiedzi, których udzielił mu Henry.

– Co pułkownik powiedział, gdy płynęliście łodzią? – spytał Post.

– Rozmawialiśmy tylko o tym, jakim sposobem pomost mógł się obłuzować i odpłynąć – odparł Henry.

– I do jakiego doszliście wniosku?

– Do żadnego, bo żeby coś wywnioskować, musielibyśmy najpierw odzyskać pomost. Podejrzewaliśmy jednak, że ktoś go po prostu... odczepił.

– A niby po co ktoś miałby to zrobić? – spytał Post.

– To oczywiste: żeby nas odizolować – stwierdził Henry, który do tego momentu wpatrywał się w jakiś niewidzialny punkt. – Teraz już w ogóle nie

możemy się stąd wydostać. Nie można też dobić łodzią do brzegu, w każdym razie do czasu, aż ucichnie wiatr.

– Czy jednak... – próbował mu przerwać Post, ale Henry był bezlitosny.

– Oznacza to ni mniej, ni więcej, że na wyspie rzeczywiście przebywa ktoś, kto nie jest do nas zbyt życzliwie nastawiony, chociaż ciągle nie wiemy tego na sto procent. Nie znamy też odpowiedzi na kilka innych pytań, na przykład: czy pomost oderwał się sam, czy Annę zamordował pułkownik, czy to on doprowadził do zaginięcia Katji i czy to on uszkodził pomost.

Pułkownika też już z nami nie ma. Nie mamy pontonu, nie działa radiostacja w piwnicy...

Post w końcu przerwał Henry'emu.

– A czyja to wina, że straciliśmy łódź i pułkownika? Wygaduje pan różne rzeczy, a to przecież pańska wina...

– Jeśli ma pan jakiś pomysł na rozwiązanie naszych problemów, to chętnie go wysłucham – odparł stalowym głosem Henry.

Nikt się nie odezwał. W pokoju zapadła grobowa cisza. W końcu odezwała się Franziska. Po raz pierwszy jej głos nie brzmiał obraźliwie ani przymilnie.

Widać było, że jest wyczerpana tą sytuacją.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni i zszokowani, jak sędzę – zaczęła. – W każdym razie ja się tak czuję. Proponuję więc, żebyśmy teraz coś zjedli i trochę odpoczęli. Potem znowu się spotkamy i pomyślimy, co zrobić.

Była to rozsądna propozycja. Uświadomiłam sobie, że ja też od wielu godzin nic nie jadłam. Nogi miałam grube i spuchnięte, byłam wycieńczona, osłabiona i głodna. Podczas gdy Franziska i Post postanowili pójść do kuchni, żeby przynieść coś do jedzenia, a Henry i Lotte zostali w salonie, żeby rozpalić ogień na kominku i nakryć do stołu, ja powlekłam się do mojej piwnicy i zajrzałam do lodówki. Przygotowałam sobie jakąś monstrualną kanapkę, na którą położyłam wszystko, co się dało, a potem pożarłam ją w pół minuty. Następnie usiadłam ze wzrokiem wbitym w ekrany monitorów wyświetlających zamazany obraz. Po pewnym czasie Franziska i Post dołączyli do Lotte i Henry'ego w salonie.

Gdyby ktoś ich obserwował, jak siedzą wygodnie w fotelach przed płonącym kominkiem, mógłby odnieść wrażenie, że w salonie zapanowała całkiem przytulna atmosfera. Cała czwórka zajadała kanapki i dolewała sobie herbaty z pięknego samowara. Potem zostali na swoich miejscach. Myślę, że po prostu uszło z nich powietrze. Co jakiś czas wchodziłam do tunelu, żeby posłuchać, czy rozmawiają na jakiś ciekawy temat, ale przez większą część czasu siedzieli w milczeniu. Nie padła propozycja, żeby wyjść z domu i wznowić poszukiwania. Wyglądało raczej na to, że wszyscy chcą tę sytuację po prostu przeczekać. Wszyscy z wyjątkiem Franziski siedzieli pogrążeni w lekturze książek z dużego regału. Franziska usiadła w fotelu obok Posta i obojętnym wzrokiem wpatrywała się w ogień. Co jakiś czas wstawiała i chodziła niespokojnie po pokoju albo spoglądała przez okno na morze i obserwowała zachód słońca. Po pewnym czasie Henry i Post zeszli do punktu

medycznego, żeby sprawdzić, czy radiostacja działa, ale wrócili z niczym. Potężny wiatr uderzał w budynek z tak wielką siłą, że szyby dzwoniły w oknach.

Tuż po dziewiątej Franziska i Post oznajmili, że idą spać, i wyszli z salonu.

Lotte i Henry zrobili to samo i też udali się do swoich pokojów. Kiedy jakiś czas potem zajrzałam do każdej z osób, stwierdziłam, że już śpią. Post zajął kanapę u Franziski, Lotte i Henry leżeli w łóżkach. Postanowiłam, że też się prześpię. Wsunęłam się na wyrko i nastawiłam budzik z ambitnym postanowieniem, że za kilka godzin się obudzę i znowu do każdego zajrzę.

Przyłożyłam głowę do twardej, płaskiej poduszki i przykryłam się szarą kołdrą, zadałam sobie pytanie, dlaczego, do cholery, w wojsku musi być tak niewygodnie. Chwilę później całkiem odplynęłam i zasnęłam, jakbym wpadła do ciemnej studni.

Byłam znowu w Kyzyl-kum. Wprawdzie otaczały mnie ciemności, ale od razu o tym wiedziałam. Mroźne powietrze, zapach brunatnego węgla, którym palono w kominku, trzepotanie płóciennych namiotów szarpanych wiatrem...

Była noc. Na rękach miałam rękawice do spania, a na głowie czapkę, ponieważ nie do końca ufałam kominkowi. Nigdy nie byłam pewna, czy nie obudzę się z zimna w samym środku nocy. Tym razem obudziłam się z innego powodu. Usłyszałam, że ktoś chodzi po szpitalu. Nie były to jednak typowe szpitalne odgłosy, gdy na przykład ktoś przewraca się z boku na bok, bo nie może zasnąć z bólu albo z zimna. Tym razem od razu poznałam, że to coś innego. Odwróciłam się, próbując coś zobaczyć między dwiema cienkimi zasłonami, które oddzielały moje miejsce od reszty pokoju. Nagle ujrzałam zarys ludzkiego ciała. Ktoś poruszał się szybko i ostrożnie, żeby nie zdradzić swojej obecności. Wsunęłam dłoń pod materac i wyjęłam rewolwer.

Wiedziałam, że spanie ze starą, zawodną bronią może być groźne. Przecież któregoś dnia może się zdarzyć, że przypadkiem odbezpieczę mechanizm i we śnie zastrzelę siebie albo kogoś innego. Mimo to nie pozbyłam się pistoletu, bo dzięki niemu czułam się trochę bezpieczniej. Wyjęłam go spod materaca, powoli zsunęłam się z łóżka i stanęłam na podłodze. Cień znowu się poruszył, ale już w innym miejscu, gdzie było pełno cienkich zasłon. Szłam przed siebie bardzo powoli, cały czas w kierunku cienia. Im dalej jednak się przesuwałam, tym więcej zasłon musiałam przejść. Cień pojawiał się to tu, to tam, jak jakiś upiór, którego widziałam kątem oka. Pokój stał się nagle nieskończenie duży.

Ogarnęła mnie panika. Rozsuwałam wiszące płachty, ale były wszędzie, otaczały mnie z każdej strony. W końcu straciłam orientację. Nagle tuż za sobą usłyszałam ruch. Odwróciłam się i zobaczyłam, że zasłona wisząca metr za mną jest lekko uniesiona. Wystawała spod niej para dużych stóp, które stały w miejscu. Uniosłam broń i wycelowałam, a jednocześnie powoli wyciągnęłam przed siebie rękę, żeby rozsunąć zasłonę. I nagle to samo zrobił ten ktoś, kto stał po drugiej stronie. Ujrzałam chłopca w gigantycznych

butach. Ubranie miał podarte i cienkie, chociaż był środek zimy. Wokół niego wirowały płatki śniegu. Zamiast głowy miał duże czerwone jabłko.

Wystrzeliłam i jabłko rozpadło się na kawałki.

Zerwałam się tak gwałtownie, że głową uderzyłam w górne łóżko. Czułam, że coś jest nie w porządku. Ciało miałam wilgotne, cała się kleiłam, a prześcieradło było mokre, jakby ktoś wylał na nie wiadro wody. Musiałam wyłączyć budzik we śnie, bo upłynęło więcej czasu, niż się spodziewałam.

Wyskoczyłam z łóżka i powlekłam się do monitorów. Post ganiał po piętrze, co chwilę widziałam go na innym ekranie. Biegał po korytarzu i walił pięściami w drzwi pokoiów, krzycząc coś na cały głos. Nagle zbiegł po schodach, więc i ja, oblana zimnym potem, ruszyłam do tajnego korytarza, żeby się dowiedzieć, co się stało. Post kierował się do kuchni i cały czas coś wykrzykiwał. Wbiegając do tajnego korytarza, zdążyłam usłyszeć, jak przez cały czas powtarza jedno imię: Franziska.

Kilka minut później pozostałe trzy osoby też znalazły się w kuchni. Henry parzył kawę, podczas gdy Lotte próbowała uspokoić Posta, który wykazywał oznaki rozstroju nerwowego. Siadał z głową spuszczoną między nogi, jak ktoś, kto próbuje zapanować nad zawrotami głowy, zrywał się z krzesła, patrzył przez okno, chodził po kuchni, mówił coś gwałtownym tonem i znowu siadał. Trwało to przez jakiś czas. Lotte, która miała na sobie frotowy szlafrok, obserwowała Posta zatroskanym wzrokiem, gdy chodził po kuchni, albo głąskała go uspokajająco po plecach, gdy siadał na krześle. Co jakiś czas wymieniała porozumiewawcze spojrzenia z Henrym, który od przybycia na wyspę znacznie się postarzał. Zauważyłam jednak, że Lotte obserwuje go również zatroskanym wzrokiem, co Posta, zwłaszcza wtedy, gdy Henry stał odwrócony do niej plecami. Podejrzewałam, że Lotte doszła do wniosku, iż na wyspie nie ukrywa się żaden tajemniczy nieznajomy – co wydawało się coraz mniej prawdopodobne – tylko że jest nim Henry. Nagle Henry odwrócił się i spojrzał na ścianę. Wpatrywał się dokładnie w miejsce, w którym stałam ukryta w korytarzu. Drgnęłam i szybko odsunęłam się od otworu. Kolejny raz przyszło mi na myśl, że osoba, która uderzyła mnie w głowę po tym, jak znalazłam Katję, doszła do wniosku, że nadal żyję.

Może zrobił to Henry? Z drugiej strony to przecież Lotte zabrała na wyspę telefon satelitarny. Jak więc widać, cień podejrzenia padał w różnych kierunkach.

Henry podszedł do stołu z kubkami do kawy, rozdał je i też usiadł, a gdy pozostałe osoby spojrzały na niego uważnym wzrokiem, powiedział: – Myślę, że powinniśmy w końcu szczerze porozmawiać.

Henry

– Dzieje się tutaj coś, czego nie rozumiemy.

Powtórzyłem sobie to zdanie w myślach kilka razy, zanim powiedziałem je głośno, bo chciałem, żeby zabrzmiało tak, jak to sobie zaplanowałem.

Lotte i Post popatrzyli na mnie, a gdy nie zareagowali na moje słowa, kontynuowałem swoją wypowiedź.

– Wygląda na to, że jest tu ktoś, kto sprawia, że ludzie znikają. Na początku było nas siedmioro. Zostało nas troje. Jedna osoba leży w zamrażarce na półpiętrze, druga na dnie morza. Dwie osoby zaginęły. Czy możecie udzielić wyjaśnień, które pomogą nam zrozumieć, co tu się dzieje?

Tym razem też nie doczekałem się odpowiedzi. Lotte poruszyła się lekko, ale moja nadzieja na to, że coś powie, się nie spełniła. Mówiłem więc dalej.

– W takim razie ja zacznę. Na wyspę przybyłem ze specjalnym zadaniem.

Lotte zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

– Czy chciałaby pani coś powiedzieć, zanim rozwinę ten wątek?

Lotte pokręciła głową. Oczy miała rozbiegane i unikała mojego wzroku.

Przyłożyła do ust lewą dłoń i zaczęła obgryzać paznokcie. Minę miała nieobecna. Zacząłem mówić dalej, zanim Lotte zdążyła się pozbierać.

– Przybyłem na wyspę, żeby strzec Anny Francis – wyjaśniłem.

Lotte zrobiła wielkie oczy, ale nadal milczała.

– Chyba niezbyt się to panu udało – stwierdził zmęczonym i poirytowanym głosem Post. – Na czym ta ochrona miała polegać? Na upiciu się, poderwaniu jej i pójściu spać?

Post spojrział na mnie takim wzrokiem, jakby obwinił mnie o całą sytuację.

– Faktycznie, nie udało mi się jej ochronić. Nie sądziłem, że będę miał do czynienia z sytuacją, w której zagrożone będzie ludzkie życie. Myślałem, że będę raczej odgrywał rolę obserwatora.

– A dlaczego miał jej pan pilnować? – dopytywał się Post.

Lotte dalej obgryzała paznokcie i wpatrywała się w ciemność za oknem.

Starłem się używać grzecznego tonu, dokładnie doбираłem słowa.

Mówiłem tak, żeby nie powiedzieć ani za mało, ani za dużo.

– Podczas wstępnych rozmów odniosłem wrażenie, że Anna jest jednym z głównych kandydatów, ale istnieją wątpliwości co do tego, czy poradzi sobie w sytuacjach kryzysowych. Dlatego poproszono mnie, abym ją obserwował, żeby można było stwierdzić, czy w takich momentach się nie załamie.

Twarz Lotte wyrażała wątpliwość.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała. – Po co mieliby tu przysyłać kogoś, kto w trudnej sytuacji mógłby się załamać?

– Nic więcej nie wiem – odparłem. – Jej przeszłość zawiera niejasne punkty, ale z tego, co zrozumiałem, władze chciały ją poddać testowi w nadziei, że sobie poradzi. Anna była zbyt dobra, żeby odmówić.

Zauważyłem, że Post próbuje uporządkować w myślach to, co przed chwilą usłyszał.

– W takim razie... kim pan jest, Henry? Czy pan też jest jednym z kandydatów? A może pracuje pan dla tajnej policji?

– Myślę, że nie wolno mi o takich sprawach rozmawiać – odparłem i zanim Post zdążył skomentować moje słowa, dodałem: – Opowiedziałem o tym tylko dlatego, że w związku z tym zadaniem zabrałem ze sobą na wyspę

broń. Pozwolono mi jej użyć w celach służbowych, ponieważ posiadam odpowiedni stopień i stanowisko. Przed chwilą stwierdziłem, że ta broń zaginęła.

– O czym pan, do cholery, mówi? – wybuchnął Post.

– Zaginał mój służbowy pistolet. Muszę ustalić, czy ktoś z państwa go nie zabrał. Zapytam więc o to i mam nadzieję, że uzyskam szczerą odpowiedź.

Zanim jednak odpowiecie, przemyślcie sobie następującą rzecz: na wyspie znajduje się ostra, załadowana broń, cztery osoby zaginęły albo nie żyją. Nie muszę chyba wyjaśniać, że sytuacja jest poważna. Zapytam więc wprost: czy ktoś z państwa zabrał broń z mojego pokoju?

Post zerknął na mnie pustym wzrokiem i powoli pokręcił głową. Po długiej chwili Lotte spojrzała mi w oczy i odparła: – Nie brałam pańskiej broni. Muszę się jednak przyznać, że nie do końca byłam szczerą. Jestem tu wprawdzie jako kandydatka, ale mnie też zlecono pewne zadanie. Miałam was obserwować, aby potem zdać sekretarzowi relację z przebiegu testu.

Postanowiłem nawiązać do tego wątku.

– A na czym ta obserwacja miała polegać?

Lotte wierciła się niespokojnie na krześle.

– Wolałabym o tym nie mówić.

– I nie ma pani telefonu satelitarnego?

Lotte się wzdrygnęła.

– Skąd pan o nim wie?

– Proszę nie robić takiej podejrzliwej miny. Pierwszego wieczoru ja i Anna widzieliśmy panią za domem. Nie było to zbyt dyskretne.

Lotte zrobiła zakłopotaną minę.

– O co tu w ogóle chodzi? – wybuchnął Post, który najwyraźniej miał tego wszystkiego dosyć. – Przez cały czas miałaś telefon i nie zrobiłaś z niego użytku? Wyjmij go, na miłość boską, i wezwij pomoc! Na co jeszcze czekasz?

Na twarzy Lotte pojawił się wyraz rozpacz.

– Już go nie mam.

– Co takiego? A gdzie jest, u diabła?

– Ktoś mi go ukradł w czasie pierwszej doby naszego pobytu na wyspie.

Post wstał z krzesła i zaczął krążyć po kuchni. Nagle zatrzymał się i spojrzał na nas nienawistnym wzrokiem.

– Co się z wami dzieje? Pan miał pistolet, ty miałaś telefon... ukrywaliście je przed wszystkimi, a teraz się okazuje, że już ich nie macie! Jesteśmy na pieprzonej wyspie! Tutaj nie da się czegokolwiek zgubić!

Żadne z nas nie odpowiedziało na jego słowa. Odniosłem wrażenie, że tak nagły wybuch do końca nadwerżył siły Posta, bo usiadł na krześle i pełnym rezygnacji wzrokiem spojrzał na Lotte.

– Miałaś telefon... Dlaczego mi o nim nie powiedziałaś?

– Bo zabroniono mi mówić o nim komukolwiek.

Lotte wypowiedziała te słowa takim głosem, jakby właśnie skończyła długą, namiętną kłótnię i za chwilę miała się rozpłakać.

– Na co miała pani zwrócić szczególną uwagę i co miało się znaleźć w raporcie dla sekretarza? – spytałem.

Lotte spojrzała na mnie i zmrużyła oczy.

– Zabawne, że to właśnie pan mnie o to pyta.

– Dlaczego?

– Bo właśnie pana miałam obserwować.

Poczułem, że sytuacja wymyka mi się spod kontroli.

– Mnie?

– Tak, pana.

Musiałem zyskać trochę na czasie, aby odzyskać inicjatywę. Wstałem więc energicznie z krzesła i podszedłem do ekspresu do kawy. Stałem plecami do moich rozmówców, wziąłem dzbanek i powoli nalałem sobie kawy. Przez cały czas intensywnie się zastanawiałem, co począć w tej sytuacji.

– Dlaczego mnie? – spytałem, nadal odwrócony plecami.

– Z tego, co się dowiedziałam, to właśnie pan jest Czarnym Piotrusiem, tym niepewnym kandydatem – odparła Lotte głosem, w którym przebijała nutka złośliwego zadowolenia.

Zakryłem oczy dłonią. Tego już było za wiele. Czegoś takiego się nie spodziewałem. Przeklinałem w myślach sekretarza i jego matactwa. Powinien był mi o tym powiedzieć.

Tymczasem Lotte kontynuowała lekko histerycznym tonem.

– Przed chwilą usłyszeliśmy, że ma pan za sobą jakąś tajną służbę w wojsku i zabrał na wyspę pistolet. Jeśli tak, to jak nas pan przekona, że nie jest mordercą?

Zrozumiałem, że w tym momencie całkowicie straciłem kontrolę nad sytuacją i natychmiast muszę ją odzyskać. Zrobiłem krok w stronę Lotte, ale ona zaczęła się cofać, a jej głos przeszedł w falset.

– Niech się pan nie zbliża! To pan nim jest! Boże, to prawda! Byliśmy tacy głupi! Jak mogliśmy tego nie zauważyć? To pan był z Anną w pokoju i z pułkownikiem w łodzi... Pan, pan i nikt inny! Morderca! Pieprzony morderca!

Zrobiłem kolejny krok w jej stronę i wymierzyłem jej policzek. W kuchni zapadła kompletna cisza. Ująłem twarz Lotte w dłonie, zajrzałem jej głęboko w oczy i powiedziałem spokojnym głosem:

– Nie jestem mordercą.

Lotte popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, w których kryła się panika. Nie odrywając od niej wzroku, powtórzyłem cicho i spokojnie: – Nie jestem mordercą. Musi mi pani uwierzyć.

Lotte w jednej chwili oklapła i spuściła oczy.

– Przepraszam – szepnęła. – Tak bardzo się boję.

Trzymałem jej twarz w dłoniach, ale już nie tak mocno, jak przed chwilą.

Wyglądało to tak, jakbym podtrzymywał jej ciało, podpierając głowę rękami.

– Ma pani prawo się bać. To stresująca sytuacja, w której nie ma miejsca

na normalne reakcje. Jeśli jednak chcemy wyjść z niej żywi, powinniśmy zacząć współpracować. Musimy wytrzymać do czasu, aż nas stąd zabiorą.

Łódź przybędzie po nas jutro po południu. To nasza jedyna nadzieja.

– Pod warunkiem, że faktycznie przybędzie – rzucił załamany głosem Post.

– Kto tak naprawdę wie, co tu się dzieje? Może ktoś nas tutaj przywiózł tylko po to, żeby się nas pozbyć? Kto wie, co za kilka dni napiszą gazety?

Katastrofa lotnicza? Wypadek na morzu? Zastanawialiście się nad tym?

Może ktoś faktycznie chce nas wyeliminować i żaden test czy projekt nie istnieje?

Poczułem, że do kuchni znowu wkrada się panika. Lotte zaczęła drżeć na całym ciele. Postanowiłem przejąć inicjatywę, zanim okazja wymknie mi się z rąk.

– Bez względu na to, jaka jest prawda, teraz i tak nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Jest środek nocy, na dworze zrobiło się ciemno i nie możemy rozpocząć poszukiwań, nawet jeśli bardzo byśmy tego chcieli. Proponuję więc, żebyśmy poszli się trochę przespać. Każde w swoim pokoju, zamknięci na klucz, albo wszyscy razem w tym samym pomieszczeniu. Kiedy się rozjaśni, zaczniemy przeszukiwać wyspę, żeby znaleźć Franziskę i pozostałe osoby. Teraz jesteśmy na to zbyt zmęczeni i przerażeni. Żeby cokolwiek zrobić, potrzebujemy snu i światła.

Obserwowałem Posta i Lotte. Oboje byli przestraszeni, oczy mieli zaczerwienione. Post skinął głową. Lotte wciąż stała obok mnie, czułem nawet dotyk jej ramienia. Miałem nadzieję, że udało mi się ją uspokoić na tyle, iż przestanie mnie uważać za mordercę, który zamierza ją zgładzić.

– Czy mogę się przespać u pana? – spytała cichym głosem.

– Oczywiście. Jak pani sobie życzy – odparłem i odwróciłem się do Posta.

– Mam duży pokój, na podłodze jest sporo miejsca.

Post pokręcił głową.

– Wolę zostać w moim pokoju.

– Niech pan zamknie drzwi na klucz.

– Nie musi mi pan o tym przypominać.

Post wstał z krzesła i zdecydowanym krokiem wyszedł z kuchni. Ja i Lotte ruszyliśmy za nim schodami na piętro.

Anna

Kiedy wchodzili po schodach, nadal stałam w ukrytym korytarzu przy kuchni. Przez cały czas starałam się kontrolować oddech i myśli. Czy powinnam iść za nimi na górę? A może lepiej będzie wrócić do mojego pomieszczenia, żeby zastanowić się nad tym, co przed chwilą usłyszałam?

Nie bardzo wiedziałam, jak się do tego wszystkiego odnieść. Czułam się jak na balu maskowym, na którym zaproszeni goście zdjęli nagle maski i okazało się, że pod spodem mają inne, jeszcze bardziej groteskowe. Czy Lotte obserwowała Henry'ego? Czy on obserwował mnie? A może, jak sugerował

Henry, ktoś chce się nas pozbyć? Jeśli tak, to dlaczego? Wydawało mi się to niedorzeczne, ale podobne wrażenie robiły na mnie wszystkie inne wyjaśnienia. W głowie roilo mi się od różnych teorii, które chwilę potem pękały jak mydlane bańki. W pewnym momencie zaczęłam coraz gwałtowniej oddychać, jakbym za chwilę miała zemdleć. Korytarz zrobił się nagle bardzo ciasny, jakby jego ściany zaczęły mi powoli miażdżyć klatkę piersiową. Ogarnęło mnie znane mi uczucie, jakbym zapadała się we własnym ciele.

Zrozumiałam, że muszę się stąd jak najszybciej wydostać, zanim panika zaatakuje mnie z całą siłą. Drobnymi krokami ruszyłam do pokoiku w piwnicy. Wypadłam z korytarza na czworaka i zaczęłam głośno dyszeć.

W głowie mi się kręciło, tchawicę miałam jak zasznurowaną. Im więcej powietrza próbowałam wciągnąć, tym bardziej szumiało mi w głowie. Wargi mi zdrętwiały, straciłam czucie w rękach. Zrozumiałam, co się ze mną dzieje, ale było już za późno, żeby to powstrzymać.

Położyłam się na podłodze w pozycji embrionalnej i próbowałam wodzić wzrokiem wzdłuż przypodłogowego cokołu. „W takiej sytuacji zastosuj metodę o d d y c h a n i a w k w a d r a c i e”, przeczytałam kiedyś w poradniku pierwszej pomocy. Dostałam go od kogoś w Kyzył-kum, gdy ataki paniki zaczęły mi się zdarzać coraz częściej. Czasem pomagało, ale tym razem na taką sztuczkę było już za późno. Położyłam się na boku, ale zrobiło mi się od tego niedobrze. Spróbowałam przewrócić się na brzuch, ale to tylko pogorszyło sytuację. Czułam się tak, jakby każda cząstka mojego ciała, każdy organ i komórka chciały nagle zwymiotować. Próbowałam usiąść, ale za bardzo kręciło mi się w głowie, więc dalej leżałam na plecach, z uniesionymi nogami. Pocierałam twarz dłońmi, aby się upewnić, że nadal jest na swoim miejscu.

Zółtawe światło wypełniające moją piwniczną jamę sprawiło, że pomieszczenie wydawało się jeszcze bardziej ciasne i zamknięte, niż było.

Staralam się nie myśleć o tym, że kończy mi się zapas tlenu, ale nie umiałam się wyzbyć takich obaw. Najgorsze były nawroty paniki: w chwili gdy o niej myślałam, prawie od razu się pojawiała, bez względu na to, jak bardzo niezrozumiały i nierealistyczny miała powód. Sufit coraz bardziej się obniżał, coraz trudniej było mi oddychać, przed oczami pojawiły się czarne plamy.

Ponownie ułożyłam się w pozycji embrionalnej i próbowałam skupić uwagę na zegarze ściennym. Minęło dziesięć, piętnaście, trzydzieści minut. Lęk odchodził i wracał, ale cały czas we mnie tkwił.

W pewnej chwili przypomniałam sobie o pudełku tabletek, które wzięłam z punktu medycznego. A może przez cały czas podświadomie o nich myślałam i tylko skorzystałam z okazji, żeby po nie sięgnąć? Świetna wymówka.

Po powrocie z Kyzył-kum okazało się, że jestem uzależniona od FLL. Tak przynajmniej stwierdzili lekarze. Ja nie byłam tego aż taka pewna. Pierwszą

dawkę FLL dał mi lekarz polowy, gdy mu się poskarżyłam, że mam problemy z koncentracją. Im bardziej chaotyczna stawała się sytuacja na miejscu, tym trudniej było mi się zajmować poszczególnymi sprawami. Po każdej eksplozji ból się utrzymywał, niekiedy przez kilka tygodni. Czułam się tak, jakby przez cały czas coraz głośniejszemu szumiało mi w głowie. Lekarz, który dał mi FLL, wyjaśnił, że lek znajduje się dopiero na etapie testowania i przeznaczony jest dla ludzi, u których zdiagnozowano duże kłopoty z koncentracją. Ostrzegł mnie, że testy trwały dość krótko i chociaż w większości przypadków dały pozytywny wynik, to jednak nikt nie potrafi jeszcze ocenić, jakie są długofalowe efekty działania specyfiku. Najgorsze nie było jednak to, że liczba testów klinicznych była zbyt mała, aby skierować lek do powszechnego użytku, tylko to, że tak dobrze działał. Po każdym zażyciu szum w głowie ustępował, a wszystkie elementy rzeczywistości wracały na swoje miejsce i układały się we wzorowy porządek. Nagle okazywało się, że mogę pracować i skupić uwagę na kilku sprawach jednocześnie. Wszystko stawało się jasne, chociaż wokół mnie panował chaos.

Na początku brałam te tabletki tylko wtedy, gdy sytuacja była naprawdę stresująca. Nie było w tym nic niezwykłego, a przynajmniej tak mi się wówczas wydawało. Inni pili alkohol, ja nie. W przeszłości leczyłam się alkoholem, ale w Kyzył-kum nie odważyłam się na to, bo stawałam się nieporadna, rano miałam kaca i ogarniał mnie lęk. Poza tym po alkoholu jeszcze bardziej bolała mnie głowa. Tymczasem FLL nie miało takich skutków ubocznych. Przeciwnie, polubiłam tę cienką błonę, która oddzielała mnie od rzeczywistości i sprawiała, że potrafiłam uporządkować wszystkie sprawy i nabierałam do nich dystansu, dzięki czemu stawałam się spokojniejsza i bardziej skupiona. Myśli, które wywoływały w mojej głowie zamęt i sprawiały mi kłopoty, znikaly. Z czasem tak się do tych tabletek przyzwyczaiłam, że zaczęło mi się wydawać, iż jeśli ich nie zażyję, zrobię głupio, bo w końcu dzięki nim lepiej funkcjonowałam. A przecież oczekiwano ode mnie, że będę funkcjonować normalnie. I chociaż z czasem zaczęłam brać tabletki prawie codziennie, nigdy nie czułam się od nich uzależniona. Jeśli zdarzał mi się spokojny dzień, mogłam je bez problemu odstawić.

Dopiero po pewnym czasie okazało się, że skutki uboczne jednak istnieją.

Nie mogłam zasnąć. Zamiast się odprężyć leżałam w łóżku, gapiałam się w sufit i rozkładałam swój codzienny byt na tysiące małych, wewnętrznych pudełeczek. Byłam coraz bardziej przemęczona, więc żeby zwolnić tempo i zasnąć, zaczęłam brać tabletki nasenne. Mniej więcej w tym samym czasie sytuacja zaczęła mi się wymykać spod kontroli. Moje myśli stawały się coraz bardziej mętne, coraz mocniej drżały mi ręce. Zaczęłam więc brać kolejne tabletki, aby się tego drżenia pozbyć. W tym samym okresie sytuacja na naszym terenie zaczęła robić się coraz bardziej niebezpieczna, i to zarówno wokół nas, jak i w samym obozie. Stale wyklócałam się o różne sprawy z naszymi wojskowymi, którzy najchętniej zbombardowaliby całą okolicę i

zrównali ją z ziemią. Ludzie zaczęli mnie unikać, a ja popełniałam coraz więcej błędów. Najpierw takich, które można było wybaczyć, ale potem pojawiły się pomyłki nie do wybaczenia.

W końcu odesłano mnie do kraju, osadzono w zamkniętym ośrodku i skierowano na kurację odwykową. Podporządkowałam się tej decyzji, ale w głębi duszy nie wierzyłam, że moim największym problemem było właśnie FLL, zwłaszcza że odstawienie tabletek przyszło mi bez większego trudu.

Uprowadzono mnie, że jeśli nie przejdę Dwunastu Stopni do Trzeźwości (to taka kuracja dla towarzyszy partyjnych), na zawsze odbiorą mi Siri. Centrum odwykowe, do którego mnie przeniesiono, było chyba najbardziej deprymującym miejscem, do jakiego kiedykolwiek trafiłam, nawet w porównaniu z obozem w Kyzył-kum. Spotykaliśmy się na grupowych sesjach terapeutycznych, podczas których górnicy z Kiruny z czerwonymi od alkoholu nosami opowiadali płaczącym głosem, jak przepili rodzinne volvo.

Młodzi partyzanci wypłakiwali się na głos, że z powodu nałogu (kokaina) tracili szanse na zdobycie superpracy.

Kiedy przychodziła moja kolej, kłamałam jak najęta. Odgrywałam najwybitniejszą rolę w swoim życiu: płakałam, drżałam i zaprzeczałam faktom, a za swoje wystąpienia dostawałam owacje na stojąco. Nikt się niczego nie domyślał. A może mnie przejrzeni, tylko nikogo to już nie obchodziło? Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia, więc kłamałam zarówno podczas całej kuracji, jak i po opuszczeniu ośrodka. Po pewnym czasie wróciłam do swojego mieszkania i dawnej pracy. Stało się to w październiku, gdy było jeszcze ciemno. Stanęliśmy w kręgu i każdy miał mi coś powiedzieć na pożegnanie. Wyściskaliśmy się i wymieniliśmy się numerami telefonów, co było obowiązkowe. Po powrocie do domu wszystkie te kartki od razu wyrzuciłam do kosza, a worek zniosłam do zsyphu.

Chciałam się ich jak najszybciej pozbyć. Stałam i wsłuchiwałam się, jak czarna dziura zasysa worek ze świstem, jakby ktoś otworzył tunel wiodący w kosmos.

Mijały kolejne, bezbarwne dni. W pracy dość szybko poprosiłam o mniej wymagające obowiązki, tłumacząc się stanem zdrowia. Można powiedzieć, że każdego dnia zajmowałam się zwykłymi duperelami. Moi koledzy próbowali udawać, że wszystko jest po staremu, ale zauważyłam, że mnie obserwują i unikają. Czasem jakaś gazeta chciała przeprowadzić ze mną wywiad albo dzwonił ktoś z telewizji, prosząc o skomentowanie sytuacji w Kyzył-kum. W takich momentach od razu odkładałam słuchawkę. Czasem udawałam moją sekretarkę i wysyłałam maila z wyjaśnieniem, że z pewnych względów (nie do końca sprecyzowanych) potrzebuję spokoju. Czasem odpisywałam, że jestem w podróży. Było mi obojętne, czy ktoś mnie uzna za kłamczuchę. Po pracy od razu wracałam do domu i samotnie spędzałam wieczory. Co jakiś czas rozmyślałam o Henrym. Była zima, na dworze panowały ciemności.

W weekendy i wtorki jechałam odwiedzić Siri i Nour. Za każdym razem szukałam pretekstu, żeby odwołać wizytę (choć bardzo za Siri tęskniłam) i

za każdym razem do niej jechałam. Nigdy nie rozmawiałam z Nour na poważnie o tym, kiedy Siri się do mnie przeprowadzi. Czasem przyłapywałam Nour na tym, że mnie bacznie obserwuje. Robiła to wtedy, gdy jej się wydawało, że tego nie widzę. Zauważyłam też, że niechętnie zostawiała mnie z Siri na dłużej. Zrozumiałam, że jej nie udało mi się oszukać.

Dopełzłam do ubrania, wyjęłam pudełeczko z tabletkami i wysypałam całą garść na dłoń. Ich kształt wydał mi się znajomy, jak gdyby powinny się tu znaleźć dawno temu... jak gdyby znajdowały się tam od zawsze.

Jasnoniebieskie i okrągłe... Kosztowały mnie mnóstwo zdrowia. Lekarze i terapeuci w centrum leczenia uzależnień pewnie by powiedzieli, że prawie zniszczyły mi życie. Odpędziłam od siebie te myśli i włożyłam tabletki do ust. Z trudem je przełknęłam, nie mogłam się doczekać, aż zaczną działać.

Ich działanie przynosiło mi wyzwolenie i było jak przypływ, który w końcu się cofa, albo jak burza, która przechodzi. Położyłam się na boku i czekałam.

Po pewnym czasie panika zaczęła stopniowo ustępować, ale nie było to uczucie, jakiego się spodziewałam. Czułam się dziwnie, głowę miałam lekką jak balonik. Prawie straciłam orientację w pokoju. Domyśliłam się, że mam teraz zupełnie inną tolerancję na tabletki niż kiedyś, gdy zażywałam je każdego dnia, a czasem nawet kilka razy dziennie. Tym razem połknęłam ich całą garść, choć nie do końca wiedziałam, jak na mnie podziałają. W każdym razie poczułam się lepiej niż przed chwilą.

Położyłam się na plecach i wygodnie oparłam głowę. Stopniowo wyrównałam oddech. Całą uwagę skupiłam na suficie. Leżąc na podłodze, przesuwając po nim wzrokiem. W pewnej chwili zauważyłam to, czego szukałam: czarne, małe, ale wyraźnie widoczne „oko”. Kamerę. Stałam na chwiejnych nogach i podeszłam do ściany. Kamera wisiała zbyt wysoko, żeby jej dosięgnąć, więc przyniosłam krzesło i wspięłam się na nie na drżących nogach. Rzeczywiście, „oko” przypominało obiektyw kamery.

Pomachałam przed nim ręką, tak jak to robią dzieci, gdy widzą się na obrazach emitowanych przez kamery obserwujące klientów w sklepie. Nie wiedziałam jednak, czy kamera była włączona.

Zeszłam z krzesła i rozejrzałam się po pokoju. Był w nim między innymi metalowy stołek o trzech nogach. Przyniosłam go, wdrapałam się na krzesło i z całej siły walnęłam stołkiem w ścianę obok kamery. Okazało się, że zbyt słabo, bo po uderzeniu został tylko mały ślad. Odwróciłam więc stołek, żeby użyć jego nóg, i tym razem poszło mi lepiej, bo rozkruszyłam ścianę.

Zaczęłam uderzać w to samo miejsce coraz mocniej i po kilku razach zrobiłam dziurę. Włożyłam do niej rękę i wysunęłam kamerę w moją stronę.

Okazało się, że były do niej przymocowane kable. W tylnej części kamery, którą ukryto w ścianie, świeciła niebieska lampka. Wyglądało więc na to, że urządzenie jest włączone. I chociaż byłam w kiepskim stanie, od razu zrozumiałam, w jakiej sytuacji się znajduję – ktoś mnie obserwował.

Nagle poczułam, że mam tego wszystkiego dość. Szybko podjęłam decyzję. Chwyciłam kamerę, pociągnęłam ją i wyrwałam ze ściany. Razem z nią wydobyłam na wierzch płatanię kabli, które tworzyły jakby jeden wspólny organizm przypominający rojące się robaki. Niebieska lampka powoli zgasła. Położyłam kamerę na podłodze, chwyciłam stołek i uderzyłam. Za pierwszym razem trafiłam w podłogę, jakieś dziesięć centymetrów od kamery. Za drugim poszło mi lepiej. Od kamery odpadł kawałek czarnego plastiku. Wiedziałam, że jeśli ktoś mnie obserwuje, od razu się zorientuje, że znalazłam kamerę, ale ponieważ postanowiłam się wycofać, nie miało to dla mnie znaczenia. Potem się ubrałam, na plecach pod koszulą ukryłam pistolet i weszłam przez szczelinę do zamrażarki, żeby wrócić na górę.

W zamrażarce spędziłam trochę czasu, bo nie mogłam sobie przypomnieć kodu. W końcu jednak udało mi się otworzyć pokrywę. Przeszłam przez punkt medyczny i zagłębiłam się w tajny korytarz. W domu panowała kompletna cisza, jakby był pogrążony w głębokim śnie, podobnie jak przebywający w nim ludzie. Otworzyłam drzwi wejściowe i poczułam się jak nastolatka, gdy próbowałam się wślizgnąć niepostrzeżenie do domu, żeby Nour mnie nie zauważyła. Tym razem chciałam się dla odmiany wymknąć.

Po wyjściu na dwór poczułam, jak jest zimno. Wprawdzie wiatr nie wiał już z siłą orkanu, ale nadal był zimny i nieprzyjemny. Dla kogoś, kto był ubrany w koszulę i dżinsy, temperatura była zdecydowanie za niska, ale wcale się tym nie martwiłam. Oto bowiem po raz pierwszy od dwóch dni znalazłam się poza domem i każdy mógł mnie zobaczyć. Czułam się mniej więcej tak, jakbym się przebierała na środku rynku w obecności gapiów.

Stałam boso na trawniku przed domem i spoglądałam na morze. Było zupełnie puste, jak okiem sięgnąć. Nie miałam dokąd pójść, nie mogłam zapukać do drzwi innego domu ani zadzwonić na numer alarmowy. Czułam się tak, jakbym wróciła do obozu w Kyzył-kum. A może nigdy z niego nie wyjechałam?

Stopy drętwiały mi z zimna, a ja stałam i próbowałam sobie przypomnieć, co zamierzałam zrobić. Zastanowiło mnie, że chciałam porozmawiać z Postem. Doszłam do wniosku, że bez względu na to, co działo się na wyspie, akurat on nie ma z tym nic wspólnego. A jeśli ma, to jest o wiele lepszym aktorem, niż mogłam przypuszczać. Sposób, w jaki zachowywał się po moim zniknięciu, wskazywał na to, że był całkiem zagubiony i szczerze zrozpaczony tym, co się stało. Odwróciłam się więc i weszłam z powrotem do domu. Zaczęłam się zastanawiać, jak mu wyjaśnię, że żyję, ale doszłam do wniosku, że sam się domyśli. W związku z tym postanowiłam, że niczego wyjaśniać nie będę.

Tak cicho i ostrożnie, jak to tylko było możliwe, wślizgnęłam się na schody, a gdy znalazłam się na korytarzu, skręciłam w lewo, w kierunku przeciwnym do tego, w którym swoje pokoje mieli Henry i Lotte. Podeszłam

do grubych drewnianych drzwi pokoju Posta, wstrzymałam oddech i zapukałam. Nikt nie odpowiedział. Bałam się zapukać drugi raz, żeby zbytnio nie hałasować, i dlatego położyłam dłoń na klamce. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Uchyliłam je, zajrzałam do środka i otworzyłam na całą szerokość. Lekko zaskrzypiały i pozostały w tej pozycji. Łóżko było niepościelone, wszędzie leżały porozrzucane ubrania, ale pokój okazał się pusty. Zrobiłam kilka kroków i weszłam do środka. Drzwi łazienki też były szeroko otwarte, ale tam również nikogo nie znalazłam. Na brzegu umywalki leżał czarny przyborek na kosmetyki, na podłodze kilka ręczników. Kłapa i deska sedesu były podniesione. Posta nigdzie nie było.

Nagle usłyszałam jakiś dźwięk, ale nie potrafiłam określić, skąd dochodzi. Sięgnęłam pod koszulę i ujęłam w dłoń pistolet. Był chłodny i ciężki.

Ostrożnie wróciłam na korytarz. Zobaczyłam uchylone drzwi do pokoju Henry'ego. Poczułam, że głowa robi mi się dziwnie lekka, a serce bije jak młot. W pewnej chwili obraz stał się lekko niewyraźny i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to pot spływa mi z czoła i zalewa oczy. Całe moje ciało było nim zlane. Lotte leżała w łóżku, nakryta kołdrą.

– Lotte! Lotte! – szeptałam, choć nie byłam pewna, czy faktycznie wypowiedziałam te słowa. Lotte leżała nieruchomo. Zrobiłam kilka kroków w stronę łóżka. Lotte była odwrócona do mnie plecami, spod kołdry wystawał kawałek szlafroka. Dotknęłam jej ramienia. Zero reakcji.

Potrząsnęłam nią trochę mocniej, a ona przewróciła się bezwładnie na plecy.

Zawołałam głośno jej imię i znowu nią potrząsnęłam, ale nie zareagowała.

Serce waliło mi tak mocno, jakbym stała obok przejeżdżającego pociągu towarowego. Próbowałam zebrać myśli, ale czułam, że to nic nie da. Istniała tylko jedna odpowiedź na wszystkie pytania. Nagle usłyszałam za sobą jakiś dźwięk. Odwróciłam się, trzymając w ręku rewolwer.

W progu stał Henry. Wymierzyłam w niego broń, a ponieważ ręce mi drżały, musiałam chwycić pistolet dwiema dłońmi. Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem.

– A więc to ty – powiedziałam, przerywając milczenie. Dziwnie to zabrzmiało w moich uszach.

– Tak, to ja – odparł cicho Henry. – Ale nie jest tak, jak myślisz. Odłóż broń, wszystko ci wyjaśnię.

Mówiąc to, zrobił w moją stronę pół kroku. Odbezpieczyłam pistolet.

– Ani kroku dalej. Nie ruszaj się z miejsca.

Henry się zatrzymał.

– Anno – zaczął spokojnym, skupionym głosem. – Odłóż broń i pozwól mi wyjaśnić. Nie jesteś sobą. Co ty wyprawiasz?

I znowu zrobił pół kroku w moją stronę.

– Nie zbliżaj się do mnie! – krzyknęłam. Pot zalewał mi oczy, było mi zimno, ciało kleiło mi się do ubrania. Pistolet wydawał mi się niewiarygodnie

ciężki, ręce ciągle mi drżały. – Moje akta osobowe, broń w tajnej skrytce, znikające osoby... Wiedziałeś, przez cały czas wiedziałeś... To ty uderzyłeś mnie w głowę w punkcie medycznym, prawda?

– Tak, to ja.

– To, że reszta osób zniknęła, to też twoja sprawka?

– Tak, ale posłuchaj, co ci chcę powiedzieć. Nie jest tak, jak myślisz.

Odlóż pistolet, a ja...

Henry nie dokończył zdania, bo w tym samym momencie rzucił się gwałtownie w moją stronę, żeby wyrwać mi pistolet. Zamknęłam oczy i pociągnęłam za spust.

Siła pocisku odrzuciła Henry'ego na ścianę. Opadł i skulił się wpół. Po czole płynęła mu strużka krwi. Ściana za jego plecami zabarwiła się na czerwono, jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, po którym jeszcze bardziej się skulił. Zastygł w pozycji na wpół leżącej, jak lalka, którą ktoś rzucił w kąt pokoju. Rzuciłam broń na podłogę i wybiegłam na korytarz.

Zeszłam schodami na parter i wyszłam przed dom.

Zapowiadał się ładny dzień. Wiatr osłabł, w gęstej pokrywie chmur pojawiły się pierwsze szczeliny. Na trawnik padły pojedyncze promienie wschodzącego słońca, które miało niezwykle, srebrnoszary kolor. Przeszłam boso przez trawnik i podeszłam do krawędzi skały, do której była przymocowana drabina. Nad wodą krążyły ptaki, promienie słońca wędrowały po spienionym morzu, jak gdyby tuż pod powierzchnią wody pływała ławica złotych rybek. Dopiero teraz zauważyłam, że moje stopy i dół nogawek są spryskane krwią. Białe grzywacze przewalały się przez kamienie i płataninę wodorostów zalegających na brzegu. Fale wdzierały się na plażę jak jakieś *perpetuum mobile*. Rozejrzałam się po morzu. W oddali, na horyzoncie, ujrzałam nadlatujący helikopter. Najpierw jeden, potem drugi.

SZTOKHOLM

PROTEKTORAT SZWECJI

MAJ 2037 ROKU

Pułkownik

Pułkownik Per Olof Ehnmark usiadł naprzeciwko osób, które miały go przesłuchać. Wyglądał na wyczerpanego. Oczy miał zaczerwienione, skóra wisiała mu na kościach jak cienki koc na kruchej gałęzi. Wyglądał, jakby z trudem trzymał się w pozycji wyprostowanej. Wokół niego unosił się słaby, choć trudny do ukrycia zapach wypitego alkoholu. Ehnmark zachowywał się jednak tak, jakby w ogóle go to nie obchodziło.

Zaczął Pierwszy Śledczy. Tak się umówił ze swoją partnerką, bo z ich doświadczeń wynikało, że starzy wojskowi wolą rozmawiać z mężczyznami.

Przysunął sobie magnetofon, wcisnął klawisz i pochylił się nad mikrofonem, jakby nie w pełni ufał, że uda mu się zarejestrować dźwięk w tym pomieszczeniu.

– Uruchamiam funkcję nagrywania. Pierwsze przesłuchanie pułkownika Ehnmarka. Na początku chciałbym podziękować, że znalazł pan dla nas czas i wyraził zgodę na współpracę.

– I tak nie miałem zbyt dużego wyboru – odparł pułkownik. Jego głos brzmiał mniej więcej tak, jak on sam wyglądał.

– Może pan w każdej chwili wyjść z pokoju – wtrąciła kobieta siedząca obok Pierwszego Śledczego.

– To wielce wspaniałomyślne z waszej strony – odparł pułkownik i zamilkł. Najwidoczniej nie zamierzał ułatwiać im zadania. Przez chwilę panowała cisza, aż w końcu kobieta dała Pierwszemu Śledczemu dyskretny znak, jakby chciała mu przypomnieć, żeby przeszedł do konkretów.

– A więc...? – spytał śledczy, patrząc wymownie na pułkownika.

– A więc?

– Muszę otrzymać potwierdzenie. Czy oświadcza pan, że dobrowolnie bierze udział w tym przesłuchaniu?

Pułkownik zrobił jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę.

– Czy musimy przez to przechodzić? Ja...

– Tak czy nie?

– Tak. Oświadczam, że dobrowolnie uczestniczę w przesłuchaniu dotyczącym wydarzeń, które miały miejsce na Isoli. Domyślam się bowiem, że właśnie o tym chcecie ze mną porozmawiać.

Widać było, że Pierwszy Śledczy jest zakłopotany tym pytaniem.

– Żałuję, ale...

– Oczywiście, rozumiem... Tylko ja podczas tej rozmowy mam udzielać wyjaśnień. Jasne. Tak, biorę dobrowolny udział w tym przesłuchaniu. Czy możemy już przystąpić do rzeczy?

Pierwszy Śledczy i kobieta trochę się rozluźnili.

– Oczywiście. W takim razie zaczęń od następującego pytania: kiedy pan się dowiedział, że to Anna Francis była obiektem?

– Obiektem?

– Prawdziwym kandydatem.

Pułkownik zrobił taką minę, jakby się nad czymś zastanawiał. Trudno

było ocenić, czy rzeczywiście potrzebuje na to trochę czasu, czy raczej próbuje się z nimi podrażnić, przedłużając oczekiwanie na odpowiedź.

– Podejrzywałem to od samego początku. Po analizie projektu doszedłem do wniosku, że Anna jest idealną kandydatką. Poza tym dochodziły mnie plotki, że zastosowano wobec niej...

Pułkownik przerwał w pół zdania, ale śledczy nie odpuszczał.

– Co takiego?

– Jak by to nazwać... że wywierano na nią naciski.

– Czy może pan to doprecyzować?

– Nie jestem pewien... Chodziło o jakieś dawne historie.

– A konkretnie?

Pułkownik zrobił zakłopotaną minę i zmienił pozycję na krześle.

– Podobno pod sam koniec pobytu w Kyzył-kum Anna wpadła w jakieś tarapaty i narobiła sobie poważnych kłopotów.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o tarapatach?

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Pewnie to, co zawsze. Zespół stresu pourazowego, narkotyki, załamanie nerwowe, samowolne podejmowanie decyzji?

Wszystko to, z czym wcześniej lub później musi się zmierzyć każda osoba, która pracuje w takich warunkach.

– Pan też tam przebywał przez dłuższy czas...

Pytanie zostało zadane pozbawionym emocji tonem, ale pułkownik od razu wyczuł ukryte w nim niebezpieczeństwo.

– Tak. Jestem jednak pewien, że czytaliście moje akta osobowe i dokładnie wiecie, co jest w nich napisane. Jeśli jednak ta rozmowa ma dotyczyć błędnych decyzji, które kiedykolwiek podjąłem, to od razu się skończy.

Proszę więc dać sobie spokój z takimi sztuczkami. Z pewnością mógłby mi pan uprzykrzyć życie na wiele różnych sposobów, ale jestem za stary, żeby się tym przejmować. Straciłem większość z rzeczy, które cokolwiek dla mnie znaczyły, a z tego, co się zorientowałem, to jednak w y chcieliście rozmawiać ze mną, nie odwrotnie. Rozumie pan tę różnicę? To pan chce się czegoś ode mnie dowiedzieć. Jeśli jednak zrobicie cokolwiek, żeby mnie wyprowadzić z równowagi, po prostu wstanę i wyjdę.

– Proszę o wybaczenie, panie pułkowniku.

Pierwszy Śledczy miał w tym momencie taką minę, jakby pułkownik faktycznie utarł mu nosa.

– Przyjmuję przeprosiny – odparł pułkownik, chociaż po jego twarzy widać było, że wcale tak nie myśli.

Pierwszy Śledczy dał dyskretny znak kobiecie, jak gdyby chciał ją zachęcić, żeby to ona kontynuowała rozmowę, ale na próżno. Najwidoczniej uznała, że jest na to za wcześnie. Pierwszy Śledczy wrócił więc do przerwanej wątku.

– Powiedział pan, że dochodziły pana plotki na temat Anny Francis. Czy słyszał pan coś, czego nie określiliby pan mianem plotek?

– Myślę, że można by w tym kontekście wymienić... – Pułkownik się zawahał.

– Proszę kontynuować.

– Mam na myśli tamtego chłopca.

– Jakiego chłopca?

– Podobno Anna go zastrzeliła i właśnie dlatego całkowicie się załamała.

– Czy mógłby nam pan to wyjaśnić bardziej szczegółowo?

Pułkownik westchnął głęboko, jak gdyby był już zmęczony swoimi rozmówcami i ich pokrętnymi technikami prowadzenia przesłuchań.

– Nie bardzo, ale podejrzewam, że o tamtych wydarzeniach wie pan o wiele więcej niż ja. Uważam więc, że spekulacje na ten temat to strata czasu.

Pierwszy Śledczy zerknął na rozłożone papiery, ale w rzeczywistości popatrzył na dłonie kobiety, która wykonała palcem okrężny ruch, jakby chciała mu dać do zrozumienia, żeby kontynuował przesłuchanie.

Najwidoczniej mieli opracowany system znaków, który służył im do porozumiewania się w takich sytuacjach. Lekkie uniesienie palca wskazującego oznaczało: „moja kolej”; wysunięcie go do przodu: „pytaj o to dalej”. Kobieta najwyraźniej sugerowała koledze, aby dalej zadawał pytania i nie denerwował pułkownika bez powodu. Poza tym i tak już dostali to, co chcieli.

– No dobrze, zostawmy to. Stwierdził pan, że od samego początku podejrzewał, iż to właśnie Anna była tym konkretnym kandydatem, którym interesowali się organizatorzy testu. Czy coś się zmieniło?

– Oczywiście. Po tym, jak zniknęła, a właściwie zginęła. Zresztą sam nie wiem.

– Czy po tym, jak do tego doszło, był pan przekonany, że Anna nie żyje?

– Tak. Poza tym ta lekarka... Katja... to ona ją znalazła. Otumaniliście mnie narkotykiem, prawda? Domyślam się, że tak.

Pułkownik uniósł wzrok i spoglądał zaczerwienionymi oczami to na śledczego, to na kobietę. Kobieta wykonała palcem znak, który oznaczał: „nie odpowiadaj”.

– Przykro mi, panie pułkowniku, ale nie jestem upoważniony do udzielania panu informacji na temat tej operacji.

Pułkownik roześmiał się głośno, ale nie był to radosny śmiech.

– Jestem pewien, że tak właśnie było. Myślę, że to sprawka Anny. Pewnie zrobiła to podczas kolacji, prawda? Świetna robota, nic nie zauważyłem. To oczywiste, że wybraliście właściwą kandydatkę. Pomysł z upozorowaniem jej śmierci i pokazaniem „zwłok” był genialny. Gdyby nie to, nabrałbym podejrzeń.

– Czy przed przybyciem na Isolę spotkał się pan kiedykolwiek z Anną?

– Nie, ale to też wiecie, prawda? Na Isoli widzieliśmy się po raz pierwszy.

– Jakie zrobiła na panu wrażenie?

Pułkownik oparł się o krzesło i przez chwilę milczał. Kiedy się w końcu odezwał, bardzo ostrożnie ważył słowa.

– Odniosłem wrażenie, że jest jakaś spięta. Widać było, że działa pod silną

presją. Nawet gdybym nic o niej nie wiedział, podejrzewałbym, że jest w stanie wojny. Widać to było po jej oczach.

– Co pan ma na myśli?

– Trudno to dokładnie opisać, ale zauważyłem, że jest bardzo czujna.

Nigdy nie odwracała się do nas plecami, nie pokazywała nam swoich słabych stron. Ja też taki jestem, więc od razu wyczuwam takie zachowanie.

Człowiek postępuje tak w sytuacjach, gdy musi strzec swoich tyłów.

– Czy określiłby pan ją mianem osoby stabilnej emocjonalnie?

– Myślę, że tak. Nie była wariatką ani neurotyczką, jeśli o to pan pyta.

Sprawiła na mnie wrażenie osoby dobrze zorganizowanej, która kontroluje swoje zachowanie i zawsze zachowuje czujność.

– Jak określiłby pan jej stosunek do Henry’ego Falla?

– Nie mogłem ich rozgryźć. Traktowali się tak, jakby byli dwoma obcymi osobami, a mimo to odniosłem wrażenie, że świetnie się znają. Wydawało się, że Anna zachowywała wobec niego szczególną czujność. On zachowywał się podobnie wobec niej. Kiedy Anna zaginęła, zacząłem się zastanawiać, czy to nie Henry był tym właściwym kandydatem. To by wyjaśniało jej czujność wobec niego. Potem doszedłem jednak do wniosku, że mogło chodzić o coś innego.

– Na przykład o co?

Pułkownik zrobił rozbawioną minę i znowu zaczął im się na zmianę przyglądać.

– Myślę, że nawet ktoś taki jak pan nie jest zepsuty grammi wojennymi i taktyką na tyle, żeby nie móc się domyślić, dlaczego mężczyzna i kobieta poświęcają sobie aż tyle uwagi.

– Tak pan uważa? Rozumiem – odparł Pierwszy Śledczy.

– Jest pan tego pewien? – spytał pułkownik, patrząc rozbawionym wzrokiem na kobietę.

– Słucham?

Pierwszy Śledczy zadał to pytanie obrażonym tonem. W tym momencie kobieta doszła do wniosku, że powinna przejąć od niego ster przesłuchania, ponieważ pułkownik zaczął zdobywać nad nimi przewagę. Teraz to on kierował ich rozmową. Kiedy ze zboląłą miną wszedł do pokoju i usiadł naprzeciwko nich na krześle, trudno jej było dopatrzeć się w nim energicznego pułkownika, o którym czytali w raporcie na temat wydarzeń na Isoli. Dopiero teraz zaczęła w nim dostrzegać cechy prawdziwego pułkownika.

Pierwszy Śledczy postanowił podjąć kolejną próbę.

– Czy choć przez chwilę podejrzewał pan, że Anna żyje?

– Nie na początku. Zaczęło mnie to zastanawiać dopiero wtedy, kiedy zniknęła Katja. Zbyt dobrze to wyglądało, żeby było prawdziwe.

– Zbyt dobrze?

– Na pewno pan wie, co mam na myśli. Na takich testach ludzie nie znikają na lewo i prawo. Sam o tym wiem, bo w niejednym teście uczestniczyłem.

Pierwszy Śledczy zaczął przeglądać papiery.

– Wróćmy do momentu, gdy Anna zniknęła. Jak zareagowały pozostałe osoby?

– Były skonsternowane, jak podejrzewam.

– Czy któraś z tych osób zareagowała jakoś inaczej?

– Myślę, że najbardziej wstrząśnięty był Fall.

– Czy któraś z osób okazywała to w zbyt przesadny sposób?

Pułkownik chyba się domyślił, do czego zmierza śledczy.

– Jeśli pan pyta, czy ktokolwiek powziął wtedy jakieś podejrzenia, moja odpowiedź brzmi „nie”. Henry znakomicie się maskował. Ich rzekomy romans był świetną przykrywką. Czy to było zaplanowane?

– Niestety, nie wolno mi...

– Może pan sobie darować szczegóły. Sprytne, bez względu na to, kto to wymyślił.

Kobieta uznała, że powinna się w końcu włączyć w rozmowę. Chciała zmienić temat, ale najlepiej tak, żeby pułkownik tego nie zauważył.

– Idźmy dalej. Co działo się później?

– Postanowiliśmy przeszukać wyspę.

– Kto wystąpił z taką inicjatywą?

– Nie pamiętam.

Kobieta oparła się o krzesło i nie spuszczała z pułkownika wzroku. Starła się rozmawiać z nim spokojnym tonem.

– Osoby, z którymi rozmawialiśmy, twierdziły, że ten pomysł wyszedł od pana.

– Całkiem możliwe, chociaż każdy mógł to zaproponować. Wydawało się to całkiem oczywiste.

– Chciałabym dokonać skoku w czasie. Proszę nam opowiedzieć o sytuacji, kiedy Henry poinstruował pana, jak zniknąć.

Pułkownik przez moment milczał, jak gdyby szukał czegoś w pamięci. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy w jego głosie nie słychać było pewności siebie.

– Ktoś zawołał, że pomost oderwał się od brzegu. Później doszedłem do wniosku, że to Henry obluzował naciągi, gdy my byliśmy zajęci przeszukiwaniem terenu wokół domu.

– Co pan wtedy zrobił?

– Podbiegliśmy do krawędzi skały i spuściliśmy na wodę ponton. Fall zorganizował to tak, żebyśmy tylko my dwaj odpłynęli od brzegu. Chciał do nas dołączyć von Post, ale Fall mu odmówił.

– Odbiliście więc od brzegu...

– I dowiedziałem się o instrukcjach.

– Jak brzmiały?

– Henry poinformował mnie, że celem operacji jest Anna Francis. Wyjawił mi, że Anna żyje i teraz nas obserwuje, a test polega na tym, że wszyscy mamy po kolei zniknąć, bo ci, którzy ten test zorganizowali, chcą sprawdzić, czy Anna radzi sobie ze stresem i czy nadal będzie wypełniać ich

rozkazy.

Mówiąc wprost: czy to wytrzyma i czy sobie poradzi.

– Jak brzmiały instrukcje techniczne?

– Miałem włożyć do ust rurkę od pojemnika z tlenem, który Henry zabrał ze sobą, rozkołysać i przewrócić ponton, odczekać pod nim przez jakiś czas, a gdy pozostałe osoby wejdą do domu, z powrotem położyć ponton na wodzie, opłynąć wyspę i w wyznaczonym miejscu spotkania, po drugiej stronie wyspy, przyłączyć się do Katji.

Kobieta wyjęła ze stosu papierów mapę i rozłożyła ją na środku stołu.

– Proszę nam opisać, którędy pan płynął.

Pułkownik pochylił się nad stołem, przez chwilę studiował mapę, a potem pokazał palcem, jak opłynął połowę wyspy i wpłynął do małej, wąskiej zatoki przy cyplu położonym na północny wschód od budynku. Z domu nie było go widać, bo znajdował się dokładnie pod węglem. Gdyby ktoś chciał się tam dostać drogą lądową, musiałby przejść przez gęste krzaki rosnące wzdłuż krawędzi.

– Tutaj wszedłem, a tędy dostałem się na umówione miejsce.

– Chce pan powiedzieć: do pomieszczenia w skale?

– Tak. Tęgo, które znajduje się w tylnej części wyspy, pod budynkiem.

– Czy trudno było się dostać na umówione miejsce, żeby nikt tego nie zauważył?

– Przeciwnie, wszystko poszło jak z płatka. Pozostałe osoby przebywały w tym czasie w domu, a Katję zastałem już we wspomnianym pomieszczeniu.

– A ponton? Czy nie istniało ryzyko, że ktoś go zauważy?

Pułkownik zrobił zmęczoną minę.

– Jak państwo pamiętacie, ponton był nadmuchiwany. Wypuściłem z niego powietrze, a potem zabrałem ze sobą.

– Można więc powiedzieć, że dopóki był pan w stanie aktywnym, operacja przebiegała prawidłowo?

– Można tak powiedzieć. Przy całym jej nieludzkim wymiarze tak właśnie było.

W tym momencie do rozmowy ponownie włączył się śledczy. Kobieta zerknęła na niego poirytowanym wzrokiem. Inaczej zaplanowali to przesłuchanie. Nie spodobało jej się, że jej kolega odszedł od uzgodnionego planu.

– Co pan czuł, widząc, jak dołączają do was kolejne osoby? Czy wtedy też wszystko zdawało się funkcjonować tak, jak powinno?

– Takie odniosłem wrażenie.

– I nikt nie wyrażał wątpliwości co do sposobu działania Henry'ego?

– Jakie wątpliwości ma pan na myśli?

– To ja zadaję pytania.

– Trudno jest odpowiedzieć na pytanie, którego się nie rozumie.

– W takim razie spytam inaczej: czy cokolwiek wskazywało na to, że Fall traci kontrolę nad przebiegiem operacji?

Kobieta doszła do wniosku, że w tym momencie powinna przerwać

Pierwszemu Śledczemu. Próbowwała mu zasygnalizować palcem, żeby przestał zadawać takie pytania, ale było już za późno.

– Nie bardzo rozumiem, co pan chce ze mnie wyciągnąć? Dlaczego nie spyta pan o to wszystko Falla?

Śledczy dopiero teraz spostrzegł, że skierował tę rozmowę na niewłaściwe tory. Oparł się o krzesło i zrobił niechętną minę.

– Z przykrością muszę powtórzyć, że nie wolno mi...

Ale pułkownik miał coraz bardziej zatroskany wyraz twarzy.

– Czyżby coś się stało? Coś poszło nie tak?

– Panie pułkowniku...

– Czy coś się stało Annie? Nie żyje?

– Anna Francis żyje.

W tym samym momencie kobieta kopnęła śledczego w kostkę. Wiedziała, że musi przerwać tę dyskusję, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Pułkownik siedział pochylony nad stołem. Wyglądało to tak, jakby to on przesłuchiwał śledczego, a nie odwrotnie.

– A więc to Fall stanowi kłopot... Co się z nim stało? Czy wyjawiał wszystkim prawdziwy powód swojej obecności na wyspie?

Śledczy rozłożył ręce w geście rozpacz.

– Przykro mi, ale nie mogę...

Pułkownik wstał z krzesła, ale nadal był pochylony nad stołem. Zbliżył twarz do twarzy śledczego i prawie krzyknął: – Niech mi pan natychmiast odpowie, bo inaczej sam go poproszę o wyjaśnienia!

– Obawiam się, że to niemożliwe. Henry Fall nie żyje.

Pułkownik stał ze wzrokiem wbitym w śledczego. Kobieta walczyła ze sobą, żeby nie ukryć twarzy w dłoniach.

– Nie żyje? A co, u diabła...

– Przykro mi, ale sądziłam, że pan wiedział – przerwała mu cichym głosem kobieta, chociaż wiedziała, że pułkownik nie miał o tym fakcie pojęcia.

A nawet gdyby to było możliwe, wolałby o tym w ogóle nie wiedzieć.

– Niech to szlag... niech to szlag... Co wyście mu zrobili?

Kobieta pochyliła się nad magnetofonem i powiedziała do mikrofonu: – Koniec przesłuchania. Godzina dwunasta trzydzieści sześć.

Potem wyłączyła urządzenie. Pułkownik zerwał z krzesła kurtkę przewieszoną przez oparcie i nie patrząc na nich, wyszedł z pokoju. Kobieta zauważyła, że drżały mu ręce.

Katja

Katja spotkała pułkownika w korytarzu. Szedł szybkim krokiem, ze spuszczoną głową i prawie na nią wpadł. Kiedy na nią spojrzął, Katja wykonała ruch, jakby chciała się z nim przywitać. Widząc jednak wyraz jego twarzy, rozmyśliła się. Pułkownik pochylił się w jej stronę.

– Czy pani też brała udział w tym paskudnym teście?

Pułkownik prawie wypluł z siebie te słowa. Strażnik, który za nim szedł,

chwycił go za ramię.

– Przykro mi, panie pułkowniku, ale świadkom nie wolno ze sobą rozmawiać.

Pułkownik wpatrywał się twardym wzrokiem w Katję, ale ta milczała.

Stracił z siebie rękę strażnika.

– Niech to diabli – powiedział. Spojrzał na Katję rozgniewany i ruszył korytarzem, robiąc długie kroki. Katja przełknęła ślinę i skierowała się w stronę drzwi prowadzących do pokoju przesłuchań.

– Na którym etapie włączyła się pani w operację?

Jak zwykle zaczął Pierwszy Śledczy. Kobieta siedziała w milczeniu, z długopisem w ręce. Notes rozłożyła w taki sposób, żeby Katja nie mogła zobaczyć, co w nim zapisuje. Katja zastanawiała się, czy w tej taktyce chodziło o to, żeby straciła pewność siebie. Chrząknęła i odpowiedziała na pytanie: – To było po tym, jak zdecydowano się na Annę.

– Co pani wie o trybie podejmowania tej decyzji?

– Domyślałam się, że jest kilku kandydatów, ale zapadła decyzja, aby postawić na nią.

Pierwszy Śledczy zajrzał do papierów i coś mruknął.

– Co pani wiedziała o przeszłości Anny?

„Masz tylko odpowiadać na pytania – upominała się w myślach Katja. – Niezbyt szczegółowo, ale i niezbyt ogólnie. Masz tylko odpowiadać na pytania”.

– Wszyscy ją znaleźliśmy, mniej lub bardziej.

– Skąd ją pani знаła?

– Z gazet, z telewizji... Wiedziała o jej pracy w Kyzył-kum.

– Na pewno wiedziała pani o niej więcej niż to, co podawały media, prawda?

Tym razem pytanie zadała siedząca obok śledczego kobieta. Uśmiechała się do Katji, a w jej głosie było coś, co wzbudzało zaufanie. Jakby chciała potwierdzić to, co obie już wiedziały. Katja zwlekała przez moment z odpowiedzią.

– Czytałam raport o jej pobycie w Kyzył-kum.

– I czego się pani dowiedziała?

– Sądzę, że to niewłaściwe miejsce do rozmowy o takich sprawach. Część z tych materiałów jest przecież...

– ...opatrzona klauzulą tajności? – przerwała jej kobieta. Nadal uśmiechała się do Katji w sposób, który wzbudzał zaufanie.

– Nie wiem, czy wolno mi odpowiedzieć na to pytanie.

Kobieta pochyliła się nad magnetofonem i powiedziała do mikrofonu: – Koniec taśmy.

Po zmianie taśmy ponownie uruchomiła magnetofon i kontynuowała przesłuchanie.

– Katerina Ivanovitj zapoznała się z treścią dokumentu, w którym

Przewodniczący upoważnia zarówno ją, jak i mnie do rozmowy na temat materiałów znajdujących się w opatrzonym klauzulą tajności raporcie numer *SOR 234:397 Klass 3*. Pytam więc ponownie: co znajdowało się w dokumentacji, z którą zapoznała się pani przed przybyciem na wyspę?

– Sporo tam tego było. Anna cierpiała przecież na PTSD...

– To znaczy zespół stresu pourazowego...

– Tak. Później się zorientowałam, że miała też problemy z powodu używania FLL.

Kobieta uniosła brwi i spojrzała na Katję z zainteresowaniem.

– Dlaczego powiedziała pani „używania” zamiast „nadużywania”?

Katja poruszyła się na krześle. Wiedziała, że to pytanie w końcu padnie, i dlatego odpowiednio się do niego przygotowała.

– Trudno to jednoznacznie określić. Anna przez długi czas żyła w dość ekstremalnych warunkach. Moim zdaniem leczenie się na własną rękę poprzez zażywanie wywołujących narkotyczne wizje medykamentów albo środków antylękowych jest czymś normalnym. Może to świadczyć o tym, że człowiek nadal funkcjonuje. Za to brak reakcji na takie bodźce należałoby uznać za rzecz nienormalną.

– Rozumiem – powiedziała kobieta, chociaż zrobiła przy tym taką minę, jakby nie chciała się zgodzić z takim rozumowaniem albo go nie pojmowała.

– To dlatego zgodziła się pani na to, żeby Anna miała do dyspozycji na wyspie FLL?

– Tak... nie... Nie. Uważałam, że to nie najlepszy pomysł.

– Z tego, co wiemy, zaprotestowała pani przeciwko temu na piśmie.

Dlaczego?

Pytanie zostało zadane tym samym swobodnym głosem, chociaż Katja zauważyła, że pojawiło się w nim trochę nowych, twardych tonów.

– Uważałam, że to niepotrzebne okrucieństwo. Osoba, która pozbyła się nałogu, nie powinna ryzykować, że do niego wróci. Przynajmniej nie w tak stresujących warunkach.

Kobieta przekrzywiła głowę, jakby nie wszystko zrozumiała.

– I mimo to twierdzi pani, że Anna nie była lekomanką? Nawet w świetle tego, co się wydarzyło?

– Nie. Uważam, że to zbyt mocne i mylące słowo.

– Czy pani wiedziała, że Anna przechodziła kurację odwykową?

– Tak. Wiedziałam też, że kuracja zakończyła się sukcesem.

– Kto pani o tym powiedział?

– Sekretarz Nordquist. Dowiedziałam się o tym z jego raportu.

Kobieta zanotowała coś i kontynuowała przesłuchanie.

– Dlaczego zgodziła się pani na stosowanie FLL w szpitalu?

– Sekretarz powiedział nam, że Anna jest już wyleczona i nie wróci do dawnego nał... że bez względu na okoliczności już nigdy nie będzie przyjmować tylu leków. Wyjaśnił, że w tej robocie nie stać nas, aby postawić na niewłaściwego konia.

Kobieta uniosła wzrok znad papierów.

– Czy właśnie tego określenia użył? „Postawić na niewłaściwego konia”?

– Z tego, co pamiętam, tak.

Kobieta znowu zapisała coś w notesie. Katja przez cały czas się zastanawiała, co ją tak bardzo interesuje.

– Czy to oznacza, że ostatecznie wyraziła pani zgodę na to, aby dostarczyć FLL na wyspę i potraktować to jako coś w rodzaju testu charakteru?

– Tak. A czy cały ten eksperyment nie był swego rodzaju testem charakteru? – spytała Katja i od razu pożałowała tych słów.

Sekretarz

– Kto zaproponował, aby na wyspę dostarczyć FLL?

Pytanie zadała kobieta, która siedziała obok Pierwszego Śledczego.

Sekretarz wolałby jednak rozmawiać z nim, bo zawsze łatwiej wychodziło mu to z mężczyznami. Być może oni też o tym wiedzieli i dlatego zdecydowali, że to ona rozpocznie przesłuchanie. Sekretarz postanowił, że nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać, ale nie miał ochoty rozmawiać z upierdliwą babą w mundurze.

– Co pani ma na myśli?

– Właśnie to, o co spytałam. Kto zaproponował, aby na wyspę dostarczyć FLL?

– Jeśli chce pani poznać odpowiedź na to pytanie, będę musiał wrócić do biura i sprawdzić w notatkach. Nie przypomnę sobie tego tak na poczekaniu.

Na twarzy kobiety pojawił się rozbijający uśmiech, jakby się spodziewała, że sekretarz udzieli właśnie takiej odpowiedzi.

– Nie ma problemu! Mamy tu cały materiał dowodowy. Możemy zrobić przerwę, żeby pan do niego zajrzał.

Sekretarz pokręcił głową. „Niech was szlag!”

– To by nam zabrało zbyt wiele czasu. Ja nawet nie pamiętam, gdzie ta notatka może być.

Kobieta uśmiechnęła się do niego jeszcze szerzej. Sekretarz pomyślał, że przypomina węża, który zamierza połknąć zdobycz.

– Możemy zrobić przerwę, żeby znalazł pan to, czego potrzebuje, i mógł odpowiedzieć na moje pytanie. To pana własny protokół ze spotkania, więc odnalezienie go nie zabierze nam chyba zbyt wiele czasu? Zresztą nie musimy się nigdzie spieszyć... Dlatego...

Kobieta spojrzała na Pierwszego Śledczego, który tylko skinął głową.

– No dobrze – powiedziała do mikrofonu kobieta. – Godzina szesnasta czterdzieści dziewięć, przerwa w przesłuchaniu...

Sekretarz pokręcił głową i machnął ręką.

– Nie, nie... nie ma takiej potrzeby. Kontynuujmy.

Kobieta spojrzała na niego ze skrzywioną głową, a potem zrobiła taką minę, jakby na coś się zdecydowała.

– W takim razie powtórzę to pytanie trzeci raz: czyja to była propozycja?

Teraz sekretarz musiał odpowiedzieć. Chrząknął więc i odparł: – Na tamtym spotkaniu dyskutowaliśmy o wszystkich słabych stronach, które

należało przetestować u naszego kandydata. W trakcie dyskusji pojawił się niespodziewanie problem uzależnienia. Musieliśmy sprawdzić, czy i na ile jest poważny. W pewnym momencie ktoś zaproponował, żeby dostarczyć na wyspę FLL. Chodziło o to, żeby sprawdzić, czy w stresującej sytuacji kandydat sięgnie po ten środek.

Kobieta nie ustępowała.

– A więc to była pańska propozycja?

– Nie pamiętam, kto to zaproponował.

Kobieta wzięła ze stosu leżących przed nią papierów kilka kartek. Zrobiła to z tym samym radosnym uśmiechem, który od początku rozmowy gościł na jej twarzy. Widząc, że znalazła to, czego szukała, wybrała jedną kartkę i zaczęła czytać na głos jej treść:

– „Sekretarz proponuje, abyśmy dostarczyli na wyspę FLL. Chodziło o sprawdzenie, czy podczas tej stresującej sytuacji AF wróci do nałogu”.

Notatka pochodzi ze spotkania szesnastego stycznia. Przypomina pan sobie?

– Jak już wspomniałem, to była dyskusja – odparł kwaśnym tonem sekretarz. – Nie pamiętam, kto wystąpił z tą propozycją: ja czy może ktoś inny.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego powinniśmy wątpić w rzetelność tych notatek?

Sekretarz zmełł w zębach jakieś przekleństwo. Kobieta nadal spoglądała na niego z wysoko uniesionymi brwiami. Sekretarz spojrział na Pierwszego Śledczego, ale ten siedział ze wzrokiem skierowanym w zupełnie inną stronę i sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. Sekretarz zrozumiał, że nie ma co liczyć na pomoc z jego strony.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Kobieta nie zamierzała odpuścić.

– Nie. Taką powód nie istnieje – odparł krótko sekretarz.

Pierwszy Śledczy wykonał taki ruch, jakby dopiero w tym momencie obudził się z letargu i zaczął zbierać leżące przed nim papiery. Kobieta pochyliła się ku niemu i szepnęła mu coś do ucha. Śledczy skinął głową i powiedział:

– Chciałbym przez chwilę porozmawiać o sposobie wyboru Anny Francis.

Czy to prawda, że głosował pan przeciwko jej kandydaturze, ale przeważało zdanie Przewodniczącego?

– To prawda. Jej kandydaturę zaproponował Przewodniczący.

– Pan był odmiennego zdania?

– Mieliśmy do wyboru kandydatów z innymi kwalifikacjami.

– Co pan uznał za słabe strony Anny Francis?

– W takiej organizacji jak RAN najważniejsze jest ukierunkowanie na cel.

Trzeba działać pragmatycznie. Proszę na to spojrzeć w szerszym kontekście.

W tej dziedzinie sekretarz czuł się o wiele pewniej. Słyszał to po własnym głosie, który brzmiał bardziej zdecydowanie.

– Anna nie pasowała do tego wzorca?

Kobieta znowu uniosła brwi w geście zdziwienia. Sekretarz udał, że nie dosłyszał jej wtrętu i odpowiedział, patrząc na Pierwszego Śledczego: – Powiedzmy, że już wcześniej miała z tym pewne kłopoty.

– Co pan ma na myśli?

Kobieta nadal nie ustępowała.

– Ta sokratejska metoda, którą tu pani stosuje, jest naprawdę irytująca – syknął sekretarz. – Czy nie może mnie pani spytać wprost?

Kobieta nadal się do niego uśmiechała. Sekretarz miał już po dziurki w nosie jej szyderczej miny.

– Chętnie... Pod warunkiem, że zacznie pan odpowiadać bardziej wyczerpująco. Co pan miał przeciwko Annie?

– Miała obsesję na punkcie zasad moralnych.

Tym razem to Pierwszy Śledczy uniosł wysoko brwi.

– I uważał pan, że to takie nietypowe? Chce pan przez to powiedzieć, że RAN nie stosuje się do reguł moralnych?

– Istnieje różnica między stosowaniem się do zasad moralnych a kompleksem jezuickim. Czasem trzeba podjąć trudną decyzję zamiast oddać się sentymentalnym rozterkom.

Sekretarz znowu zerknął na Pierwszego Śledczego, ponieważ odniósł wrażenie, że mężczyzna lepiej go rozumie niż jego koleżanka po fachu.

Śledczy nie odezwał się jednak i nie przerywał jej w dalszym przesłuchaniu.

– Czy Anna była taka sentymentalna?

– W Kyzył-kum pokazała, że do niektórych drażliwych sytuacji ma zbyt sentymentalne podejście.

– O jakich sytuacjach pan mówi?

W tym momencie sekretarz uznał, że ma już tego wszystkiego dość.

– Do jasnej cholery, niech się pani tak nie uśmiecha i nie udaje, że nie wie, co się stało, gdy Francis przestała wypełniać polecenia.

Sekretarz od razu pożałował swojego wybuchu, bo kobieta zaczęła się do niego uśmiechać jeszcze szerzej niż poprzednio.

– Wiem, co tam zaszło, ale interesuje mnie coś innego: proszę mi podać konkretny przykład na jej przesadnie sentymentalne podejście do jakiejś sprawy.

Sekretarz zamilkł. Był na siebie zły, że dał się wyprowadzić z równowagi.

W tym momencie do rozmowy ponownie włączył się Pierwszy Śledczy.

– A czy nie było tak, że do nieszczęścia doszło tylko dlatego, iż nie posłuchano jej rad?

Sekretarz westchnął głęboko.

– Ja tak nie uważam. To ona stanowiła problem. Tak podrzędna osoba nie jest od podejmowania decyzji w terenie, tylko ma wypełniać polecenia swoich wojskowych przełożonych.

– Także wtedy, gdy się mylą?

Sekretarz skrzyżował ręce na piersi i nie odpowiedział. Pierwszy Śledczy

zajrzał do notatek i spytał:

– Z tego, co pan powiedział, wynika, że nie był pan zwolennikiem kandydatury Anny Francis?

– Ona miała zarówno słabe, jak i mocne strony. Tak jak pozostali kandydaci, którym się przyglądaliśmy.

Po tych słowach sekretarz zacisnął usta i odwrócił głowę.

Katja

– Z tego, co wiemy, zniknęła pani zaraz po Annie. Jak do tego doszło?

Pierwszy Śledczy odstawił kubek z kawą, który przyniósł mu do pokoju przesłuchań umundurowany strażnik. Chwilę wcześniej zrobili sobie krótką przerwę. Katja poszła do toalety, podczas gdy kobieta siedząca obok Pierwszego Śledczego wyszła z pokoju, żeby zamówić dla całej trójki kawę.

Katja doszła do wniosku, że oboje wyglądają na zmęczonych. Zastanawiała się, z kim już rozmawiali i kto pozostał na liście. Nadal nie umiała dojść, dlaczego ustalenie wszystkich najdrobniejszych szczegółów jest dla nich aż tak ważne. Nie mogła też zrozumieć, dlaczego jest przesłuchiwana w tym pomieszczeniu przez funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa. Domyśliła się, że coś poszło nie tak, jak powinno, ale nie wiedziała co. Dzisiaj znowu ją tu wezwali, więc starała się stosować tę samą metodę, co poprzednio – odpowiadać konkretnie na pytania. Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewała. Odnosiła wrażenie, że udzielając tak zwięzłych odpowiedzi, przez cały czas jakby się prześlizguje obok tego, co stanowi istotę sprawy.

Na pytanie postawione przez Pierwszego Śledczego mogła odpowiedzieć bez wahania.

– Plan był bardzo prosty, bo na Poziomie Strategicznym zamontowano kamerę. Henry odbierał emitowane przez nią obrazy na swoim zegarku.

Jakość nie była oczywiście najwyższa, ale za to przez cały czas wiedzieliśmy, gdzie Anna się znajduje. Henry pomajstrował trochę przy pomoście, gdy przeszukiwał tę część wyspy razem z Franziską i Postem. Oboje byli wtedy w hangarze na łodzie. Poszłam na Poziom Strategiczny przed nim, a Henry zjawił się przy pierwszej nadarzającej się okazji. Zaaranżowaliśmy bójkę, a gdy Anna zaczęła wchodzić, położyłam się na podłodze w kałuży krwi.

Pierwszy Śledczy pokiwał ze zrozumieniem głową, jakby chciał pokazać, że o tym wszystkim wie. I chyba faktycznie tak było.

– Co się stało, gdy Anna tam przyszła?

– Mieliśmy nadzieję, że gdy zobaczy mnie na podłodze, dojdzie do wniosku, że nie żyję, i wróci na dół. Miała mnie tylko zobaczyć. Nic więcej.

– Ale? – spytał Pierwszy Śledczy, żeby bardziej pociągnąć Katję za język.

– Ale ona podeszła bliżej, żeby mnie zbadać. Henry musiał ją więc zabrać.

– Jak to zabrać?

Tym razem pytanie zadała kobieta, która każdą sylabę zaakcentowała oddzielnie. Katja chrząknęła.

– Musiał ją uderzyć w skroń. Nie było to niebezpieczne, bo Henry jest profesjonalistą.

– I nie martwiło was, jakie to może mieć konsekwencje dla jej zdrowia? – spytała kobieta. Nadal mówiła spokojnym tonem, za to jej spojrzenie jakby stwardniało.

– Jak już wspomniałam, Henry jest profesjonalistą, a ja lekarzem. Byliśmy przygotowani na taką sytuację i mieliśmy w zanadrzu rozwiązanie, które nie naraziłoby Anny na bezpośrednie zagrożenie.

Kobieta pochyliła się nad stołem i coś zapisała. „Te jej notatki... Co ona tak ciągle pisze?“, zastanawiała się Katja. Kobieta zadała jej kolejne pytanie, nie odrywając wzroku od notesu.

– A jak już ją stamtąd „zabraliście“... co było dalej?

– Posprzątałyśmy, a ja odczekałam do momentu, aż Anna zaczęła odzyskiwać przytomność. Wtedy wyszłam, a Henry ukrył mnie przy wejściu do kuchni, nad węglem. Kiedy pozostałe osoby wróciły tylnym wejściem do budynku, zeszałam do podziemnego pokoju i tym sposobem wyłączyłam się z gry.

– Interesujące... Chciałabym poruszyć inny temat. Wróćmy do raportu, który dostała pani przed przybyciem na wyspę. Czego więcej dowiedziała się pani o Annie Francis?

– Że doszło do jakichś problemów, bo nie chciała wypełniać poleceń.

– Czy może nam to pani bliżej wyjaśnić? – spytał Pierwszy Śledczy.

– Kazano jej zerwać kontakty z miejscową milicją.

– I co się stało?

– Z tego, co wiem, nie zrobiła tego. Z milicją kontaktowała się bez zgody swoich przełożonych, a gdy się o tym dowiedzieli, doszło do kłótni.

– Jakiej kłótni?

– Kazali jej raz na zawsze zaprzestać wszelkich rozmów z tamtejszą milicją. A potem doszło do tragedii...

Katja zawahała się, a Pierwszy Śledczy skinął zachęcająco głową.

– Proszę kontynuować.

– Po tym, jak jej przełożeni zjawili się w jej biurze i przerwali negocjacje z milicją, oddziały milicji zaczęły atakować transporty z chorymi. W krótkim czasie zmarło wiele osób.

– Skąd pani to wszystko wie?

Do rozmowy znowu włączyła się kobieta. Z jakichś powodów niepokoiła Katję bardziej niż Pierwszy Śledczy. Trudniej się było obronić przed jej taktyką.

– Wersja zdarzeń spisana przez Annę znajduje się w raporcie. Jest tam też wersja jej przełożonych.

– Jakie były konsekwencje tego sporu?

– Chyba właśnie wtedy Anna zaczęła zdradzać pierwsze symptomy załamania. O ile dobrze zrozumiałam treść raportu, zaczęła też zażywać poważne dawki FLL. Po tym, co się wydarzyło, najwyraźniej przestała sobie radzić.

Kobieta znowu coś zapisała. Przez chwilę jakby się zastanawiała, czy poruszyć nowy temat, i w końcu spytała:

– Czy pani zdaniem Anna powinna była wypełniać tamte polecenia, czy nie?

– Ocena takich zdarzeń nie należy do mnie – odparła szybko Katja. „Nie snuj rozważań, odpowiadaj na pytania”, dodała w myślach.

– Chcieli ją oddać pod sąd wojenny i już wtedy odesłać do domu.

Wiedziała pani o tym?

– Nie – odparła Katja. Już chciała dodać, że powinni tak byli zrobić, bo dzięki temu Anna uniknęłaby wszystkich późniejszych kłopotów, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Kobieta obserwowała ją przez pewien czas, jakby czekała na dalsze wyjaśnienia, a potem szepnęła coś do Pierwszego Śledczego; ten zaczął przeglądać leżące przed nim papiery, aż w końcu znalazł to, czego szukał, i podał kobiecie, która wróciła do zadawania pytań.

– Chciałabym z panią porozmawiać o tym, co się wydarzyło na wyspie.

Miała tam pani sprawować opiekę medyczną. Czy pani kwalifikacje były na tyle szerokie, aby poradzić sobie z poważną traumą? Na przykład taką, jaka powstaje po odniesieniu rany postrzałowej?

– Nie.

– Czy wiedziała pani, że na wyspie jest broń?

Takiego pytania Katja się nie spodziewała.

– Nie wiedziałam.

– Rozumiem – stwierdziła kobieta, nie spuszczać z niej wzroku. – Co by pani powiedziała, gdyby ktoś poprosił panią o ocenę?

– Powiedziałabym, że coś takiego jest głęboko niestosowne.

– A jak skomentuje pani fakt, że nikt pani o to nie spytał?

Katja zwlekała przez moment z odpowiedzią. Informacja o broni na wyspie ją zaskoczyła, ale przez cały czas starała się pamiętać o tym, żeby nie rozwodzić się nad sprawami, które nie wiązały się bezpośrednio z jej zeznaniami. Wiedziała jednak, że nie uda jej się uniknąć odpowiedzi na tak postawione pytanie. Dlatego starała się dokładnie ważyć słowa.

– Jak pani słusznie zauważyła, na wyspie odpowiadałam jedynie za opiekę medyczną. Uważam więc, że rozstrzygnięcie o takich sprawach nie leży w zakresie moich kompetencji. Jeśli jednak chce pani poznać moje zdanie, to uważam to za zły pomysł.

– Dlaczego? – spytała kobieta. Przez cały czas nie spuszczała z niej wzroku, jakby chciała ją zahipnotyzować.

– Nigdy nie wiadomo, do jakich zachowań zdolny jest człowiek, który działa w warunkach stresu i w odizolowaniu od świata zewnętrznego.

– Jeśli jednak odpowiadała pani za opiekę medyczną, to czy nie jest słuszne stwierdzenie, że do pani obowiązków należało zadbanie o to, aby na wyspie znalazły się takie środki medyczne, za pomocą których można sobie poradzić z wszelkimi rodzajami obrażeń? Czy nie powinna pani wiedzieć więcej?

- Można tak powiedzieć.
- A jakie jest pani zdanie?
- Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

Kobieta przestała się w nią wpatrywać i oparła się o krzesło. W tym samym momencie Pierwszy Śledczy się pochylił. Nie miał już tak przyjaznej miny, jak przed chwilą. „Dobrzy są – pomyślała Katja. – Sporo musieli trenować”.

– No dobrze. W takim razie wróćmy do poprzedniego pytania. Czego dowiedziała się pani o Annie wcześniej? Czy jest coś, o czym warto wspomnieć?

Katja zastanawiała się, jak na to odpowiedzieć. Te ciągłe skoki w czasie i zmiany tematów zaczęły ją niepokoić. Nie bardzo wiedziała, do czego zmierzają te wszystkie pytania i jak na nie zareagować. Pewnie o to im chodziło.

- Tak.
- Co mianowicie?

– Chodzi mi oczywiście o... Przepraszam, ale to niezbyt przyjemna sprawa.

Katja nabrała powietrza. Pierwszy Śledczy zaczął ją ponaglać.

– Rozumiem panią, ale musimy zbadać tę sprawę od podstaw.

– No tak... jasne... Miałam na myśli tamten strzał.

– Proszę nam opowiedzieć, co pani wie o tej sprawie.

– Anna postrzeliła cywila, który znajdował się na terenie szpitala. Pewnie dlatego odesłano ją w końcu do domu.

– Kim była ta osoba?

Śledczy mówił cichym i neutralnym głosem, ale język ciała zdradzał, że jest w tym momencie bardzo skoncentrowany. Kobieta znowu wbiła w nią wzrok.

– To był pewien chłopiec ze wsi.

– Co się wtedy wydarzyło?

– Włamał się nocą do szpitala. Anna myślała, że to złodziej, który chce ukraść lekarstwo.

– Lekarstwo? A może FLL? – spytała kobieta, która też pochyliła się nad stołem.

– Wszystkie lekarstwa przechowywano w jednym miejscu – wyjaśniła Katja, próbując sobie przypomnieć, co zawierał raport. „Po co ja jej bronię?”, pomyślała.

– Potem się okazało, że chłopak nie był złodziejem?

– Z tego, co zrozumiałam, szukał po prostu jedzenia. Anna strzeliła w głowę trzyletniemu chłopcu, który ukradł jabłko.

Pierwszy Śledczy uśmiechnął się do niej ujmująco.

– Na dzisiaj to wszystko. Na koniec zadam pani kilka pytań uzupełniających. Rozumiem, że to dla pani stresujące, ale musimy wyjaśnić wszystkie szczegóły.

– Po co wam to potrzebne?

Pierwszy Śledczy udał, że nie usłyszał pytania. Spytał tylko, czy zamówić dla niej taksówkę. Uniósł słuchawkę czarnego telefonu stojącego na biurku obok magnetofonu i wydał dyżurnemu polecenie. Katja poczuła ulgę.

Kobieta siedziała w milczeniu i zachowywała się tak, jakby zatopiła się w notatkach. Nie odrywając wzroku od kartek, spytała spokojnym tonem: – Czy wiedziała pani, że na wyspie przebywał jeszcze jeden kandydat?

Katja się zawahała.

– Słucham?

– Czy pani o tym wiedziała?

– Nie... Przepraszam, ale czy jest pani tego pewna?

Nagle poczuła, że serce wali jej w piersi jak młot. Co tu jest grane?

Kobieta i Pierwszy Śledczy wpatrywali się w nią czujnym wzrokiem i obserwowali jej reakcje, jakby nie chcieli uronić najdrobniejszego gestu, z którego mogliby wywnioskować, czy Katja mówi prawdę, czy kłamie.

– Czy mamy rozumieć, że pani nie wiedziała o tym fakcie?

– Nie. To znaczy... Nie, nie wiedziałam. Kto nim był?

– Tego niestety nie wolno nam powiedzieć – odparła kobieta.

Katja pokręciła odruchowo głową.

– I co się stało z tym drugim kandydatem?

Jon von Post

– Przejdźmy do końcowej fazy operacji. Czy możemy o tym porozmawiać?

Post otarł z czoła pot, który znowu zaczął mu zalewać oczy. Powietrze w pomieszczeniu było ciężkie, w środku zrobiło się duszno.

Post siedział w jasnym pokoju z ciemnymi oknami i się pocił. Bolały go kolana. Naprzeciwko niego siedzieli mężczyzna i kobieta po czterdziestce, Pierwszy Śledczy i Śledcza. Jak jakieś rodzeństwo. Wypytywali go o najdrobniejsze szczegóły: kiedy się o tym albo o tamtym dowiedział? Kto to powiedział? Czy przypomina sobie, co wydarzyło się najpierw, a co potem? Starał się odpowiadać na ich pytania jak najdokładniej, ale ogarniała go coraz większa niecierpliwość. Przewodniczący przekonał go, że jego zeznania są konieczne, więc się zgodził. Nigdzie nie jest jednak powiedziane, że musi mu się to podobać.

Pierwszy Śledczy odwrócił się do kobiety i szepnął jej coś do ucha.

Kobieta skinęła głową, sięgnęła po skoroszyt leżący na stole i podała mu go.

Mężczyzna przerzucił kilka kartek, odłożył skoroszyt na stół i czekał na odpowiedź.

– Jeśli to naprawdę konieczne... – odparł Post.

Pierwszy Śledczy przekrzywił lekko głowę.

– Zabrzmiało to tak, jakby pan wolał uniknąć przesłuchania.

– Po prostu nie mam na nie ochoty.

– A dlaczego to dla pana takie trudne?

Pytanie zadała mu kobieta, jak gdyby nie dosłyszała jego odpowiedzi.

A może jego reakcja nie miała dla niej znaczenia?

– A dlaczego miałbym ponownie przechodzić przez to bagno? Czy wiecie, że od powrotu z tej pieprzonej wyspy nie przespałem w spokoju ani jednej nocy? Zniszczyliście mi życie. Chyba jesteście świadomi, że niszczyacie ludzi?

– Jesteśmy wdzięczni, że zechciał pan z nami współpracować – stwierdził mechanicznym głosem Pierwszy Śledczy. Za każdym razem, gdy Post wyrażał sprzeciw, wypowiadał tę samą formułkę. – Musimy ustalić, co się wydarzyło na wyspie. To dla nas ważne. Czy moglibyśmy zacząć rozmawiać o końcowej fazie operacji?

– Tak. Poproszę trochę wody.

Kobieta wzięła dzbanek, nalała wody do szklanki i podała ją Postowi, który od razu się napił.

– A nie lepiej byłoby spytać Lotte? – zapytał.

– Lotte Colliander została wyłączona z przesłuchań. Podlega bezpośrednio Przewodniczącemu. Jest obecnie zatrudniona w jego sztabie – odparł

Pierwszy Śledczy. Kobieta spojrzała na niego poirytowanym wzrokiem, jakby chciała go skarcić, że za dużo mówi. Post podał śledczemu szklankę, żeby dolał mu wody. Ten zrobił to i spytał: – W jaki sposób Henry Fall przekazał panu instrukcje?

Post odebrał szklankę i opróżnił ją trzema łykami.

– Przyszedł do mojego pokoju i oznajmił, że jest agentem. Powiedział, że ma mi więcej do powiedzenia niż to, o czym mówił w kuchni. Wyjaśnił całą sytuację i wyjawiał, że to on uspił Lotte... rzekomo po to, żeby się nie załamała. Obiecał, że zaraz przeniesie ją do ukrytego pokoju w tylnej części domu, gdzie czekają już inne osoby. Kazał mi tam od razu pójść. Miałem obejść dom, przebić się przez krzaki, przejść wzdłuż skalnej ściany i wejść do pomieszczenia w skale, które znajduje się poniżej północno-zachodniego narożnika budynku. Powiedział, że to nie my zostaliśmy poddani testowi, tylko Anna, która nadal żyje. Ponieważ jednak ktoś mu ukradł pistolet, sytuacja stała się niepewna i dlatego powinniśmy jak najszybciej udać się w bezpieczne miejsce. Poprosił mnie, żebym zszedł schodami do kuchni, poszedł w dół korytarzem, a następnie miałem wyjść przez kuchenne drzwi na tyły domu. Fall obiecał, że zaraz dołączy do mnie z Lotte, ale najpierw musi zebrać swoje rzeczy.

– Jak pan na to zareagował? – spytał Pierwszy Śledczy.

– Zrobiłem, jak kazał. Czy miałem inny wybór?

– A więc uwierzył mu pan – stwierdził Pierwszy Śledczy.

– Tak. To, co powiedział, brzmiało wiarygodnie, przynajmniej tak, jak powinno brzmieć w tamtych okolicznościach. Z ulgą przyjąłem wiadomość, że Franziska... chciałem powiedzieć: wszystkie pozostałe osoby... są całe i nic im nie dolega.

Wymieniając jej imię, Post dziwnie się poczuł. Po powrocie z wyspy próbował się z nią skontaktować, ale za każdym razem słyszał tę samą odpowiedź: jest zajęta albo wyjechała za granicę, „aby się zrelaksować”.

Zastanawiał się, co taka odpowiedź może znaczyć. Od powrotu z Isoli Franziska przestała pojawiać się w telewizji, ale gdy dzwonił do studia, za każdym razem słyszał podobną odpowiedź: po wydarzeniach na wyspie Franziska „odpoczywa”. Najwidoczniej znalazła się pod opieką szwagra.

Jeśli ktoś ma w rodzinie ministra spraw wewnętrznych, nie musi przychodzić na przesłuchania, jeśli nie chce.

– Poszedł pan do ukrytego pomieszczenia w skale. Jaki tam panował nastrój?

– Było dość spokojnie. Franziska trafiła tam tą samą drogą kilka godzin przede mną. Wszystko wydało mi się takie nierzeczywiste...

– Co pan ma na myśli?

– Czuję się, jakbym trafił na sąd ostateczny. Ujrzałem ludzi, którzy mieli być martwi, a tymczasem ukrywali się w skale.

Post aż wzdrygnął się na samo wspomnienie. Przypomniawszy sobie, jak dziwnie się czuł w małym, oświetlonym pomieszczeniu. Wszyscy się na niego gapili. Mieli nietęgą minę, bo nie byli do końca pewni, czy na pewno żyją, czy raczej są martwi. Czasem budzi się po nocach i sam tego nie wie.

– Zaraz skończymy – powiedziała kobieta. – Jeszcze tylko jedna sprawa.

Henry rozmawiał z panem o swoim zadaniu dwa razy. Za pierwszym razem był pan w towarzystwie Lotte, za drugim w swoim pokoju. Czy mam rację?

Post skinął głową. Kobieta kontynuowała:

– Jak Henry się przedstawił, gdy za drugim razem przyszedł do pańskiego pokoju?

– Powiedział, że jest oficerem wywiadu, a jego zadanie polega na obserwowaniu i chronieniu Anny.

– Nic więcej? – spytała kobieta, patrząc na niego spod uniesionych brwi.

– Nie – odparł Post. – A było coś więcej?

Sekretarz

Zaczęła się druga tura przesłuchań. Kobieta przerzucała kartki na biurku, jakby czegoś wśród nich szukała.

– Długo to jeszcze potrwa? – spytał sekretarz i spojrzał poirytowanym wzrokiem na rękę, chociaż nie miał na niej zegarka.

– To zależy tylko od pana – odparła kobieta, nie odrywając wzroku od kartek.

– Poproszę o kawę – powiedział sekretarz. Zabrzmił jak marudne dziecko.

Kobieta udała, że nie dosłyszała jego prośby, i przeszła do kolejnego tematu.

– W którym momencie zapadła decyzja o wyborze dwóch kandydatów?

Mam na myśli Annę Francis i Henry'ego Falla.

Sekretarz przełknął ślinę. Usta mu wyschły i marzył o kawie.

– Od samego początku uważałem, że operacja jest zbyt skomplikowana i ryzykowna, aby stawiać tylko na jednego kandydata.

- Czy pozostałe osoby też tak uważały?
- Co pani ma na myśli?
- Czy wszyscy zgodzili się, aby na wyspę wysłać dwóch kandydatów zamiast jednego?

Sekretarz próbował odgadnąć, co kryje się w tym pytaniu, ale bez powodzenia.

– Co pani sugeruje? – spytał. Kobieta zebrała leżące przed nią papiery i ułożyła je w taki sposób, że utworzyły równy czworokąt.

– No dobrze, w takim razie spytam inaczej: czy Przewodniczący został poinformowany, że wysłał pan na wyspę dwóch potencjalnych kandydatów: Annę i Falla?

Sekretarz poczuł, że atmosfera w pokoju robi się coraz gęstsza. Jak przed burzą.

– Śmieszne pytanie. Nie rozumiem, co pani sugeruje.

Kobieta spojrzała na niego uważnie. Uśmiech zniknął jej z twarzy.

– Niech pan łaskawie odpowie na pytanie – rzucił Pierwszy Śledczy, jakby chciał przypomnieć o swojej obecności.

– Oczywiście, że poinformowałem Przewodniczącego o tym fakcie.

Przecież nie mógłbym podjąć takiej decyzji samowolnie.

– Przewodniczący twierdzi, że nie wiedział, iż miał pan na wyspie jeszcze jednego kandydata – stwierdziła rozwlekłym tonem kobieta. – Myślał, że Henry był jedną z osób, które miały sprawdzić kwalifikacje Anny Francis.

Sekretarz nie wierzył własnym uszom.

– Co takiego?

Kobieta postanowiła powtórzyć to, co powiedziała, jak gdyby sekretarz rzeczywiście nie dosłyszał jej słów.

– Przewodniczący twierdzi, że nie wiedział...

Sekretarz zerwał się z krzesła. Aż się trząsał z oburzenia.

– Co tu jest grane, do cholery? O czym pani mówi? Niech pani wyłączy ten pieprzony magnetofon.

Kobieta pochyliła się nad magnetofonem i bez słowa go wyłączyła. Na jej twarzy malowało się zadowolenie.

Chwilę później ponownie włączyła magnetofon.

– Wznawiam przesłuchanie. Wracamy do poprzedniego pytania. Czy poinformował pan Przewodniczącego, że zamierza wysłać na wyspę więcej niż jednego kandydata?

Tym razem sekretarz odpowiedział szybko i nieskładnie.

– Chyba błędnie zrozumiałem pani pytanie. Odpowiedź brzmi: nie. Ja sam podjąłem decyzję o wysłaniu na wyspę większej liczby kandydatów.

Uznałem, że leży to w zakresie moich kompetencji, że wolno mi podjąć taką decyzję bez informowania o niej Przewodniczącego.

– Czy ktokolwiek inny wiedział, kim jest drugi kandydat?

– Wiedziało o nim zaledwie kilku moich podwładnych.

Kobieta wyciągnęła rękę i Pierwszy Śledczy podał jej skoroszyt. Kobieta

nie spuszczała wzroku z sekretarza. „Zwęszyła krew”, pomyślał.

– Posiadamy dokumenty, w których potwierdza pan, że istnieje drugi kandydat, i nawet wymienia go pan z nazwiska – kontynuowała kobieta. – Jeśli więc była to oficjalna decyzja, to dlaczego nie poinformował pan o niej Przewodniczącego? Czy nie uznał pan za słuszne potwierdzić jej na wyższym szczeblu?

– Jak już wspomniałem, błędnie zrozumiałem pani pytanie. Wydawało mi się, że chodziło pani o to, czy p o w i n i e n e m b y ł poinformować Przewodniczącego o takim fakcie. Tak, oczywiście, powinienem był to uczynić. Ale nie zrobiłem tego.

– Czy Henry wiedział, że on też jest kandydatem?

– Nie. Ani Anna, ani Henry nie wiedzieli, że przechodzą test związany ze wstąpieniem do grupy RAN. Za to Henry wiedział, że Anna ubiega się o to miejsce. Wiedział też, że jej śmierć została upozorowana.

– Na czym polegał plan związany z obecnością na wyspie dwojga kandydatów?

– Chodziło o ustalenie, które z nich lepiej poradzi sobie w trudnej sytuacji.

– Jak zamierzał pan to rozstrzygnąć?

– Na podstawie późniejszej oceny.

Kobieta uniosła brwi. Sekretarz żałował, że nie ma pod ręką cegłówki.

Chętnie by jej przywalił.

– W jaki sposób zamierzaliście dokonać tej oceny?

– A jak się coś takiego robi? Chcieliśmy przeanalizować przebieg akcji, wysłuchać, co mają nam do powiedzenia jej uczestnicy, ogarnąć całość, że tak powiem. Nic szczególnego. Standardowe postępowanie.

Sekretarz próbował mówić takim samym lekkim tonem jak kobieta, ale jego głos zabrzmiał niepokojąco ostro.

– Nic więcej?

– Oczywiście. A może ma pani jakieś inne informacje na ten temat?

– To znaczy, że nieprawdziwe jest twierdzenie, jakoby pan powiedział, cytując: „Zobaczymy, kto z nich wróci z wyspy żywy”?

Sekretarz poczuł, jak po plecach spływa mu strużka potu. Dopiero teraz zrozumiał, do czego zmierza ta rozmowa. Przewodniczący postanowił go poświęcić, zrobić z niego kozła ofiarnego. Przypomniawszy sobie rozmowy, które odbył z nim przed przesłuchaniami. „Lepiej będzie, jeśli weźmie pan to na siebie – zasugerował Przewodniczący. – Oczywiście tylko dla pozorów, bo z czasem oczyścimy pana z zarzutów. Może pan liczyć na moje pełne poparcie”.

Czy Przewodniczący już wtedy nie zachowywał się dziwnie? Nie unikał jego wzroku? Sekretarz dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo był głupi i łatwowierny. Teraz został sam.

– A kto twierdzi, że tak powiedziałem?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy to były pańskie słowa?

– Nie pamiętam.

– Nie pamięta pan?

– Nie. Człowiek mówi tyle różnych rzeczy. To mógł być żart. Nie wszyscy rozumieją moje poczucie humoru.

Kobieta lekko się skrzywiła. Zajrzała do papierów i znowu coś zapisała.

– Czyj to był pomysł, aby zabrać na wyspę broń? – spytał nagle Pierwszy Śledczy.

– Nie pamiętam – odparł sekretarz.

– Czy to pan zaproponował Fallowi, żeby zabrał ze sobą pistolet?

– Nie pamiętam.

– Panie sekretarzu – powiedział wyniosłym tonem śledczy. – Muszę panu przypomnieć o powadze sytuacji. Henry Fall, jeden z kandydatów, którego postanowiliście sprawdzić w ekstremalnych warunkach, wysokiej klasy oficer służby bezpieczeństwa, leży martwy w kostnicy. Druga kandydatka przebywa na oddziale zamkniętym, bo próbowała odebrać sobie życie.

Wynik tego „testu”, jak go pan nazywa, można określić tylko w jeden sposób: to była totalna porażka, zarówno pod względem ludzkim, jak i organizacyjnym. Ktoś będzie musiał ponieść konsekwencje swych decyzji.

Rozumie pan, do czego zmierzam? Twierdzenie, że się czegoś nie pamięta, w takiej sytuacji nie wystarczy.

– Mogę tylko wyrazić swoje najwyższe ubolewanie, ale ja naprawdę nie pamiętam każdego swojego słowa i czynu.

Kobieta uniosła wzrok. Odłożyła papiery na stół i pochyliła się w stronę sekretarza.

– W takim razie zapytam inaczej – powiedziała. – Czy pański plan przewidywał, że tylko jeden z kandydatów wyjdzie z tego testu żywy? I że właśnie na tym polegał test?

Sekretarz też pochylił się w stronę kobiety. W tym momencie ich twarze dzieliło nie więcej niż dziesięć centymetrów. Na pytanie odpowiedział cichym głosem:

– Możecie pytać, ile tylko chcecie, a moja odpowiedź będzie zawsze taka sama: starałem się dbać o bezpieczeństwo Unii. O nic więcej. Czy wy możecie powiedzieć to samo o sobie?

Kobieta nie spuszczała go z oczu. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

– Was też oszukano – szepnął sekretarz. – Nie rozumiecie? Oszukano was wszystkich.

– Panie sekretarzu – przerwał mu śledczy. – Muszę panu przypomnieć, że...

Sekretarz cofnął się nagle, oparł o krzesło i skrzyżował ramiona. Jego więzienna koszula lekko się pomarszczyła.

– Nie będę już odpowiadał na żadne pytania. Odprowadźcie mnie do celi.

Kobieta pochyliła się nad magnetofonem i powiedziała do mikrofonu: – Koniec przesłuchania.

KONIEC

(ALBO POCZĄTEK)

Anna

Obudził mnie śpiew ptaków. Leżałam w białym pokoju. Przed oczami ujrzałam jakiś lśniący przedmiot, a gdy odzyskałam ostrość widzenia, zobaczyłam, że to wyciąg, który montuje się przy szpitalnych łózkach, aby ułatwić osłabionym pacjentom podniesienie się do pozycji siedzącej.

Promienie słońca odbijały się od łańcucha, który lekko się poruszał, jakby przed chwilą ktoś go użył. Powoli odwróciłam głowę. Na brzegu łóżka siedział Przewodniczący i przeglądał jakiś damski magazyn. Zaczęłam się zastanawiać, od jak dawna tu przebywa i ile godzin przespałam... Zresztą co to był za sen. Podano mi tyle środków nasennych, że nie miałam pewności, czy nie jestem w stanie śpiączki farmakologicznej. Lekarze powiedzieli, że wolą nie ryzykować i powinnam wypocząć. Nie chcieli się przyznać, że robią to ze strachu, abym nie popełniła samobójstwa, i że właśnie to jest prawdziwa przyczyna. Pytanie brzmiało, czy rzeczywiście chciałam popełnić samobójstwo. Ale tego nie wiedziałam.

Spróbowałam się poruszyć, ale przyszło mi to z wielkim trudem. Prawie nie czułam rąk.

– Anno? Obudziła się pani?

Przewodniczący odłożył gazetę i pochylił się nade mną z ojcowskim uśmiechem na twarzy.

– Poproszę trochę wody – powiedziałam.

Przewodniczący podszedł do umywalki przy drzwiach i nalał wody do plastikowego kubka. Przez cały czas go obserwowałam. Potem podszedł do łóżka, podał mi kubek i usiadł koło mnie na krześle.

– Pomyślałem, że dobrze byłoby sprawdzić, jak się pani czuje.

Spojrzałam przez okno, które było uchylone po wewnętrznej stronie kraty.

Po błękitnym niebie płynęły białe chmury. Próbowалам sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam, jak chmury przemieszczają się po niebie tak szybko, i doszłam do wniosku, że było to na wyspie, gdy razem z Henrym staliśmy za domem. Na samą myśl o tym całe moje ciało zeszywniało i poczułam dziwny niesmak. Przewodniczący spojrzał na mnie i powiedział przyjacielskim tonem:

– Martwimy się o panią. Chcę, żeby pani o tym wiedziała.

Próbowałam zrozumieć, dlaczego Przewodniczący użył liczby mnogiej, ale nie dał mi dojść do głosu.

– Mam na myśli nie tylko tych, którzy biorą udział w projekcie RAN, ale także pani mamę i córkę. Potrzebują pani, nie chcą pani stracić. My zresztą też nie.

Przełknęłam ślinę. Usta miałam tak wyschnięte, że od razu napiłam się trochę wody z kubka. W nogach łóżka stał bukiet wyschniętych kwiatów z bilecikiem od Siri. Widniały na nim wykaligrafowane starannie dziecięcą dłonią słowa: „Kuruj się, mam!” Zastanawiałam się, co Siri wie o stanie mojego zdrowia. Miałam nadzieję, że nie poznała prawdy. Odwróciłam się do Przewodniczącego.

– Po co pan tu przyszedł?

Przewodniczący zwlekał z odpowiedzią.

– Po co tu przyszedłem...? Chciałem sprawdzić, jak się pani czuje...

Przekonać się na własne oczy, że tak powiem.

Po tych słowach wskazał ręką na pudełko czekoladek leżące na parapecie okiennym.

Widniał na nim złocony portret Przewodniczącego.

Zastanawiałam się, czy to spełnienie jego marzeń: pudełko czekoladek z własnym portretem. Przewodniczący siedział przy mnie w swoim odwiecznym garniturze. Po jego minie zorientowałam się, że moje zdrowie nie było jedynym powodem jego wizyty w szpitalu. Nie odzywałam się jednak, tylko tak długo się w niego wpatrywałam, aż w końcu sam się odezwał.

– Myślę, że nadszedł czas, aby wszystko wyjaśnić i powiedzieć, jak się sprawy mają. Dalsze ukrywanie pewnych rzeczy i pomijanie prawdy tylko wszystko pogorszy. Lekarze są innego zdania, ale ja uważam, że jest pani twarda i poradzi sobie z prawdą. Uważam, że...

Przewodniczący nabrał powietrza. Wcześniej rozmawiał ze mną takim tonem, jakby chciał się przede mną usprawiedliwić. W jego głosie było coś prowokującego. Przeczuwałam, że zwiastowało to coś złego.

– Uważam, że tylko prawdziwa wzajemna szczerłość pozwoli pani szybciej wyzdrowieć, szczerłość wobec pani i nas samych. Myślę, że powinna się pani dowiedzieć o pewnych sprawach i uwzględnić je przy podejmowaniu decyzji dotyczących przyszłości. Czy wyrażam się jasno?

Skinęłam głową.

– To dobrze. Proszę mi w takim razie odpowiedzieć na dwa pytania: czy wie pani wystarczająco dużo o tym, co się wydarzyło na Isoli i co poszło nie tak?

Skinęłam w odpowiedzi głową. Tak, zapoznałam się z raportem. Jest w całości nie do zaakceptowania.

– W takim razie szczerze proszę o wybaczenie. Jak pani wie, wiele z tych rzeczy nie powinno się zdarzyć. To wprowadzie ja ponoszę główną odpowiedzialność, ale muszę przypomnieć, że sekretarz przyznał się do samowolnego działania. Na dodatek o swoich decyzjach nie poinformował przełożonych, chociaż zobowiązywał go do tego odpowiednie procedury.

Stanie za to przed sądem. To prawda, Henry miał się udać na wyspę, żeby panią chronić, ale nie podjęto żadnej oficjalnej decyzji w sprawie broni. Nie było też formalnego postanowienia, że to on będzie drugim kandydatem, podobnie jak nie z mojej inicjatywy dostarczono na wyspę FLL. Fakt, że do tego doszło, obciąża w pewnym sensie mnie, jako że wszystkie te nieszczęśliwe decyzje podjął mój bezpośredni podwładny. Chcę jednak panią zapewnić, że nigdy nawet nie przypuszczałem, iż cała ta historia może się zakończyć w ten sposób.

– Gówno prawda – odparłam.

Przewodniczący się wzdrygnął.

– Co pani ma na myśli?

– Próbuje mi pan wmówić, że sekretarz odważyłby się tak postąpić na własną rękę? Nie informując pana o niczym? „Nic nie wiedziałem”...

Oczywiście, że o wszystkim pan wiedział, a teraz jest panu głupio, że sprawy wymknęły się spod kontroli, bo trzeba to będzie posprzątać.

Przewodniczący oparł się o krzesło i uniósł rękę, jakby chciał mnie powstrzymać. Usta mu się zwięziły i przypominały cienką kreskę.

– Bardzo się cieszę, że odzyskała pani dawny wigor, chociaż jest mi przykro, że przestała mnie pani darzyć tak wielkim zaufaniem, jak przedtem.

W pewnym sensie potrafię to zrozumieć. Porozmawiajmy jednak szczerze.

Przyszedłem tutaj, żeby zaoferować pani pracę.

– Słucham? – spytałam. Chyba się przesłyszałam.

– To prawda. Poddaliśmy panią testowi w najbardziej ekstremalnych warunkach. Uważam, że decyzje, które pani podejmowała w tamtych okolicznościach, były w pełni uzasadnione. To prawda, cena była wysoka, ale jesteśmy zdania, że poradziła pani sobie z wyzwaniem dzięki energii, wytrwałości i racjonalnym wyborom, których trzeba było dokonać w tak trudnej sytuacji.

Nie wierzyłam własnym uszom. Poczułam, że nagromadzona we mnie wściekłość zaraz eksploduje. Miała siłę wulkanu i napełniła mnie mocą, której nigdy bym się po sobie nie spodziewała.

– O czym pan bredzi? Zastrzeliłam przyjaciela, który był niewinny! – krzyczałam, czując, jak oczy zachodzą mi łzami. Tłumiłam je w sobie od chwili, gdy na wyspie ujrzałam dwa nadlatujące helikoptery. Od razu poczułam, że zwiastują coś złego. Jeden wylądował obok mnie, drugi poleciał na drugą stronę wyspy. Z tego pierwszego wyskoczyli pielęgniarze, dwaj okryli mnie kocem, trzeci podał mi coś do picia. Próbowaliśmy im powiedzieć, że w domu leży Henry, ale oni już tam pędzili z noszami i apteczką. Wołałam za nimi, ale to, co się ze mnie wydobywało, było kompletnie nieskładne, więc chyba nie bardzo mnie rozumieli. „Niech pani to wypije i uważa, żeby nie zmarznąć”. Tylko tyle mieli mi do powiedzenia.

Zaczęłam się zastanawiać, co drugi helikopter robi na tyłach domu. W tej samej chwili z budynku wyszła Lotte, podtrzymywana przez dwóch pielęgniarzy. Poderwałam się, żeby do niej podbiec, ale powstrzymali mnie ruchem ręki. Próbowaliśmy coś do niej zawołać, ale ona wpatrywała się we mnie zamglonym wzrokiem. Powoli wlokła się na tył domu, podtrzymywana przez dwóch pielęgniarzy.

– Ona żyje! Ona żyje!

Z radości wpadłam w histerię, a mój przegrzany mózg nie mógł pojąć, jak to możliwe. Głowę miałam pełną chaotycznych impulsów, po całej wyspie, jak na jakimś filmie, biegali wojskowi pielęgniarze, a ja nadal nie mogłam zrozumieć, co się dzieje.

W pewnym momencie drugi helikopter uniósł się w powietrze. To była otwarta maszyna, więc zdążyłam zauważyć, że w środku są ludzie. Między innymi pułkownik, któremu wiatr rozwiewał włosy. Uniósł rękę, jakby chciał

mnie pozdrowić, ale zanim zdążyłam zareagować, śmigłowiec wykonał zwrot i odleciał w kierunku stałego lądu. Chwyciłam jednego z pielęgniarzy za kołnierz, przyciągnęłam go do siebie i krzyknęłam mu prosto w twarz: – Dlaczego oni żyją?

– Niech się pani uspokoi – odparł pielęgniarz. – Jest pani w nie najlepszym stanie. Musimy panią stąd zabrać.

W tej samej chwili zobaczyłam coś jeszcze. Inni pielęgniarze wynieśli z domu przykryte nosze. Tak to właśnie wygląda, gdy leży na nich martwy człowiek, na przykład z raną postrzałową głowy. Nie docierało do mnie, jak i dlaczego do tego doszło, ale wtem odzyskałam świadomość tego, co się stało, jakby ktoś nagle uchylił zasłonę, zza której ukazał się piękny, a zarazem przerażający obraz. Nagle do mnie dotarło, co zrobiłam i co powinnam uczynić teraz.

Nabrałam głęboko powietrza, wypuściłam je i cała się rozluźniłam.

W pewnej chwili poczułam, że pielęgniarze lekko zwolnili uchwyt. Znowu nabrałam powietrza, wyrwałam im się z rąk, podbiegłam do krawędzi skały i rzuciłam się w dół.

Zapamiętałam tę sytuację zarówno w postaci jednego dużego obrazu, jak i tysiący szczegółów przypominających pojedyncze klatki z filmu. Szpitalny korytarz i lampy na suficie, igła wbita w rękę, gorset unieruchamiający mi głowę, stół operacyjny, zamazane sylwetki Nour i Siri za szybą, pielęgniarka, która zmieniała mi opatrunek gipsowy, skalpel odłożony na stole, łazienka, krew... całe mnóstwo krwi. Kolejne igły wbijane mi w rękę, nowe bandaże, opaski wokół ramion, sen, ciemność. I nowy obraz: ciche i niespokojne głosy, ktoś poprawia mi poduszkę, ktoś podaje mi tabletki i zagląda pod język, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście je połknęłam, ktoś mnie zmusza, żebym to zrobiła. Nieznośne chwile na jawie, więcej snu i jeszcze większa ciemność. A dzisiaj śpiew ptaków i Przewodniczący przy moim łóżku.

Wszystko to przemknęło mi przed oczami, gdy leżałam w łóżku. Pojedyncze łzy zamieniły się w rześisty potok; nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam. Miałam wrażenie, że płacze całe moje ciało i że ów płacz dociera z takich głębin, że nawet nie wiedziałam o ich istnieniu. Przewodniczący nawet nie próbował mnie pocieszać. Siedział w milczeniu i dał mi się wypłakać. W końcu mi przeszło.

– Czy możemy kontynuować? – spytał cichym głosem.

Skinęłam głową.

– W takim razie przedstawię moje warunki. Dostanie pani tę pracę, jeśli tylko zechce. Zanim pani odmówi, proszę posłuchać, co chcę zaproponować.

Chodzi o stałą posadę w RAN. Praca będzie tajna i sądzę, że uzna ją pani za obiecującą i wymagającą. Od tego momentu wszelkie troski materialne raz na zawsze się skończą. Kwota, którą wymieniłem wcześniej, to stałe roczne wynagrodzenie. Dzięki temu Siri będzie mogła uczęszczać do najlepszych szkół. Zniszczymy stare raporty dotyczące pani matki. Pokryjemy wszystkie wasze koszty związane z utrzymaniem, mieszkaniem i przejazdami, zarówno w czasie wykonywania obowiązków służbowych, jak i podczas urlopu. Nie

będzie pani musiała pracować przez cały czas. Może się zdarzyć, że wezwiemy panią po upływie kilku tygodni albo miesięcy. Za okres przerw wypłacimy pełne wynagrodzenie, ale przez cały czas będzie pani na służbie.

Wezwiemy panią tylko wtedy, gdy będzie to konieczne. Taka sytuacja może być uciążliwa, ale na pewno nie gorsza od tej, w której znajdowała się pani do tej pory. Czy brzmi to rozsądnie?

Skinęłam w milczeniu głową. Przewodniczący mówił dalej cichym głosem, ze wzrokiem skierowanym w stronę drzwi, jakby chciał się upewnić, że nikt nie wejdzie nagle do pokoju i nam nie przerwie.

– Muszę też uprzedzić, że jeśli odrzuci pani naszą ofertę, konsekwencje nie będą zbyt przyjemne. Zostanie pani zwolniona ze służby, a tym samym pozbawiona unijnego immunitetu, co oznacza, że oskarżymy panią o zabójstwo albo o zamordowanie byłego kolegi z pracy, Henry’ego Falla.

Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. Może pani oczywiście zatrudnić adwokata, który w sądzie da z siebie wszystko, ale ośmielę się stwierdzić, że dowody w tej sprawie są przytłaczające i szanse na uniewinnienie znikome.

Być może znajdzie pani jakieś okoliczności łagodzące i doprowadzi do tego, że zamiast na dożywocie albo karę śmierci sąd skaze panią na przykład na dziesięć lat więzienia. Albo na więcej. Albo na mniej. *A propos*, ile lat ma pani córka?

Przewodniczący spojrzał na mnie, a ponieważ milczałam, kontynuował.

– Muszę też ostrzec, że jeśli popełni pani samobójstwo, córka nie tylko zostanie sierotą, ale także straci wszystko, co posiada. Odebranie sobie życia w sytuacji, gdy zostanie pani oskarżona i trafi przed sąd, uznamy za zdradę stanu. W języku prawa nazywamy to „utrudnianiem śledztwa”. Karą za takie przestępstwo jest konfiskata mienia, którą sąd orzeka wobec rodziny. To taka pozostałość z okresu drugiej zimnej wojny. Rzadko po nią sięgamy, ale w tym konkretnym przypadku będzie to jak najbardziej zasadne. Poza tym będziemy musieli zbadać, jak bardzo w pani plany była zaangażowana pani matka. Być może trzeba będzie przejrzeć całą dokumentację związaną z faktem opuszczenia przez nią partii i zbadać przyczyny takiej decyzji.

Przewodniczący wbił we mnie wzrok.

– Rozumie pani, o czym mówię? – spytał. Zauważyłam, że włożył rękę do kieszeni, jakby chciał z niej coś wyjąć. „Ma tam pistolet, zaraz mnie zastrzeli”, pomyślałam. Na szczęście to nie była broń, tylko dwie koperty, które przewodniczący rzucił na kołdrę.

– W jednej jest umowa o pracę, w drugiej nakaz aresztowania. Proszę wybrać.

Nie patrzyłam ani na niego, ani na koperty, tylko na zwiędły bukiet kwiatów leżący na łóżku. Właściwie nie bukiet, tylko wiechę z trawy i liści.

Domyśliłam się, że to prezent od Siri. Pewnie zerwała je na podwórku domu, w którym mieszka Nour. Między kostkami bruku rośnie tam pełno chwastów.

Nour wystawia co roku kilka doniczek z kwiatami i próbuje uprawiać pomidory, chociaż miejsce jest zbyt chłodne i zacienione, więc za każdym

razem jej eksperymenty kończą się porażką. Nour ma szorstkie dłonie, które co roku robią się coraz starsze, coraz bardziej pomarszczone i drżące. Pod cienkimi paznokciami porobiły jej się czarne obwódki. Być może już wkrótce stanie się niezdolna do wspólnego grzebania w ziemi z Siri. Kiedy moja córka była niemowlaczkiem, miała drobniutkie rączki z okrągłymi paluszkami i dołeczkami przy kostkach. Przypominały wypchane, pękate poduszki. Obejmowała rączkami moje palce, wsuwała mi je we włosy.

Czułam bicie jej serduszka... Teraz jej palce są szczupłe i silne, ale tak samo drobne jak kiedyś. Bardzo drobne.

Nagle wszystko zrozumiałam.

– Chciałbym usłyszeć pani odpowiedź na moją propozycję. Którą kopertę mam zostawić? Czy przyjmie pani oferowane stanowisko?

– Ja wiem, że nie było żadnego testu.

Mój głos zabrzmiał obco, był suchy i skrzeczący. Przewodniczący nie skomentował moich słów. Nie ruszał się, nie odzywał.

– Nigdy nie było żadnego testu, prawda? Ani wobec mnie, ani żadnej innej osoby. Bo gdybym musiała w takim teście uczestniczyć, poległabym w każdym punkcie. Moim zdaniem była to pułapka. Dostał pan to, co chciał.

Zamierzał pan postawić mnie w sytuacji, w której nie będę miała wyboru.

Chodziło o to, żebym przyjęła tę pracę. Nie bardzo rozumiem dlaczego, ale tak właśnie było. Wiedział pan, że w żadnych okolicznościach nie zechcę przyjąć jej dobrowolnie, więc doprowadził pan do sytuacji, w której nie mam wyboru. Przy okazji pozbył się pan sekretarza. Nie wiem dlaczego, ale na pewno miał pan swoje powody. Sekretarz dostanie dożywocie i ulotni się jak kamfora.

Roześmiałam się, bo dziwnie to zabrzmiało. Przewodniczący nadal siedział bez ruchu. Słyszałam tylko mój własny oddech.

– Nie rozumiem tylko jednej rzeczy: dlaczego chciał się pan pozbyć Henry’ego? Co on panu zrobił?

Chciałam, żeby Przewodniczący mi to wyjaśnił, chociaż wiedziałam, że raczej nie usłyszę odpowiedzi na moje pytania. Przewodniczący dopiero po dłuższej chwili odezwał się swobodnym tonem: – Przedstawiła pani dość ciekawą hipotezę i kto wie, może na niektóre pytania doczeka się pani odpowiedzi. Rzeczywiście, istnieją powody, dla których zależy nam na pani udziale w projekcie RAN. W tej chwili nie mogę ich wyjawić, ale z czasem staną się jasne. Oczywiście pod warunkiem, że przyjmie pani moją propozycję. Jeśli nie, nadal pozostaną tajemnicą. Dlatego jeszcze raz spytam: jak brzmi pani odpowiedź?

Spojrzałam Przewodniczącemu prosto w oczy. Źrenice miał czarne i rozszerzone. Na ich dnie kryło się zimne, nierzeczywiste szaleństwo.

Wiedziałam, że nie mam innego wyboru. Podświadomie przez cały czas czułam, że tak się to skończy. Nie miałam innego wyboru i dlatego skinęłam głową. Na twarzy Przewodniczącego rozkwitł promienny uśmiech. Zabrał z łóżka jedną z kopert, włożył ją do kieszeni i podał mi rękę.

– Wspaniale! Anno Francis, witam panią serdecznie w grupie RAN!

SZTOKHOLM

PROTEKTORAT SZWECJI

MARZEC 2037 ROKU

Henry

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, co mam tam robić? O co tu chodzi?

Sekretarz wyjął jakąś kopertę i mi ją podał. Spojrzałem na niego pytająco, ale on tylko skinął głową.

– Proszę ją otworzyć.

Otworzyłem kopertę, wyjąłem z niej teczkę z dokumentami i jeden z nich odwróciłem na drugą stronę. Z przyklejonej w lewym górnym rogu kserokopii zdjęcia paszportowego spoglądała na mnie twarz Anny Francis.

– To nasza kandydatka – wyjaśnił sekretarz. – Pana zadanie będzie polegało na tym, aby ją obserwować i chronić.

Spojrzałem na niego i nie wiedziałem, co powiedzieć.

– To nie będzie trudne – kontynuował sekretarz. – Przez większą część testu będzie martwa... A przynajmniej tak będą myśleć jego pozostali uczestnicy. Wszyscy, z wyjątkiem pana i jeszcze jednej zaufanej osoby.

Spojrzałem na zdjęcie. Musiał je zrobić jakiś zawodowy fotograf, bo Anna była do siebie zupełnie niepodobna. Wyglądała ładnie, w ugrzeczniony sposób, jak gdyby nie miała duszy. Zastanawiałem się, jakie pytania powinienem jeszcze zadać sekretarzowi.

– Jak to się odbędzie?

– Anna zniknie po zainscenizowanym morderstwie. Potem będzie pan „zabierał” kolejne osoby.

Widząc moje pytające spojrzenie, sekretarz wyjaśnił, co ma na myśli.

– Oczywiście nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Anna musi uwierzyć, że uczestnicy testu zaczęli nagle znikać, jeden po drugim. Chcemy sprawdzić, co wtedy robi, jak zareaguje i czy posiada słabe strony. Głównie jednak zależy nam na sprawdzeniu, czy potrafi wykonać rozkaz i czy się od tego nie uchyli, nawet jeśli okoliczności mogą sugerować, że powinna zrobić coś zupełnie przeciwnego. Mówiąc wprost: chcemy zobaczyć, jak się zachowa w warunkach stresu.

Wszystko to wydało mi się bardzo dziwne. Próbowałem zebrać myśli i wyobrazić sobie, jak to będzie przebiegać. Sekretarz spojrzał na mnie pełnym oczekiwania wzrokiem, jakby spodziewał się jakichś pytań z mojej strony.

– Rozumiem, że na samym końcu zostaniemy tylko ja i Anna? Co wtedy?

– Może jej pan wyjaśnić, jak sytuacja wygląda naprawdę. Ale nie wcześniej.

W tym momencie przyszło mi coś do głowy.

– Jeśli na końcu nie pozostanie nikt oprócz nas, Anna może dojść do wniosku, że to ja jestem mordercą. Może nie uwierzyć w to, co jej powiem.

– Dlatego powinien jej pan to jak najlepiej wyjaśnić. Z tego, co wiem, Anna panu ufa i lubi pana. Zna ją pan i wie, jakimi kategoriami rozumuje.

„Ciekawe, kto cię o tym poinformował”, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno. Sekretarz chyba się domyślił, że nie dociera do mnie sens tego, co chciał mi przekazać.

– Czy w dzieciństwie bawił się pan w grę o nazwie Morderca?

Pokręciłem głową, więc sekretarz zaczął mi wyjaśniać jej reguły.

– Zasady są następujące: w drodze losowania jedna osoba staje się mordercą, druga detektywem. Pozostali uczestnicy gry są ofiarami. Wiedzą, kto jest detektywem, ale nie wiedzą, kto jest mordercą. Zaczynają chodzić po pokoju, a „morderca” mruga dyskretnie okiem do wybranych przez siebie ofiar. W chwili gdy to robi, jego ofiara pada martwa na podłogę. Jeśli detektyw odgadnie, kto jest mordercą, oskarży podejrzanego o dokonanie zbrodni. Jeśli jego przypuszczenia okażą się słuszne, wygrywa.

W przeciwnym razie zwycięża morderca.

Sekretarz wbił nóż w łososia leżącego na talerzu. Mięso było różowe, w środku prawie surowe. Przez chwilę wydawało mi się, że kroi na kawałki niemowlę.

– Znakomite – westchnął z zadowoleniem, nie unosząc wzroku znad talerza. – Pańskie zadanie nie jest aż tak trudne. Może je pan potraktować jako coś w rodzaju gry w Mordercę.

Po tych słowach wsunął do ust kawałek mięsa i połknął je bez gryzienia.

Zanim mu odpowiedziałem, chrząknąłem.

– Nigdy nie bawiłem się w tę grę. A pan?

Sekretarz spojrział na mnie znad talerza.

– Ja lubiłem ją najbardziej ze wszystkich.

Podziękowania od autorki.

Anna Francis nie istnieje, podobnie jak nie istnieje wyspa Isola. Nie istnieje też Unia Przyjaźni, w przeciwieństwie do Sztokholmu i szkieł, które nadal są na swoich miejscach. Pozwoliłam sobie wykorzystać je w mojej książce.

Wszystkie podobieństwa do prawdziwych osób, urzędów państwowych i instytucji są przypadkowe i nie warto zawracać sobie nimi głowy. Krótko mówiąc: wszystko wymyśliłam. Taki był właśnie sens napisania powieści *Eksperyment Isola*.

Do powstania zmyślonej wizji świata przyczyniło się wiele osób. Dziękuję im z całego serca!

Na moje szczególne podziękowania zasługują: – Stephen Farran-Lee, Hanna Skogar-Sundström, Molly Uhlman Lindberg, Bonnie Halling i Richard Herold z wydawnictwa Natur och Kultur; – Astri von Arbin Ahlander, Christine Edhäll, Kaisa Palo z Ahlander Agency;

– Klub Książki Kulturkoftorna i Klub Książki Lilla Bokklubben; – Anna Berg, moja pierwsza czytelniczka i najlepsza przyjaciółka; – Mats Strandberg – myślę, że to Ty spakowałeś mój chlebak i dałeś mi kompas, gdy postanowiłam zagłębić się w dziki las, bo właśnie tym jest pisanie książki. Zawsze byłam zadziwiona, a zarazem uszczęśliwiona twoją życzliwością, pod każdym względem;

– Anna Andersson – nie tylko za Twoją przyjaźń i mądrość, ale i za to, że nauczyłaś mnie, jak odcedzać makaron;

– Mathias Andersson – za gorące serce i chłodny umysł; – Jenny Jägerfeld – jedyna osoba, która z prawdziwym entuzjazmem przyjmuje zaproszenie na „lunch strachu”; – Sonja Holmquist – powinniśmy zawsze znać jakiegoś lekarza, który potrafi zdiagnozować nawet te choroby i kuracje, które wymyśli autor; – wszyscy pozostali kochani przyjaciele, którzy wspomagali mnie w dobre i złe dni. Sami wiecie najlepiej, jacy jesteście; – przede wszystkim dziękuję jak zwykle trzem osobom: F., A. i M. Bez Was nic by mi się nie udało.

- [1](#) D. Tartt, *Tajemna historia*, przeł. P. Witkowski, Warszawa 1994, s. 653.
- [2](#) N. Gaiman, *Amerykańscy bogowie*, przeł. P. Braiter-Ziemkiewicz, Warszawa 2002 s. 151.